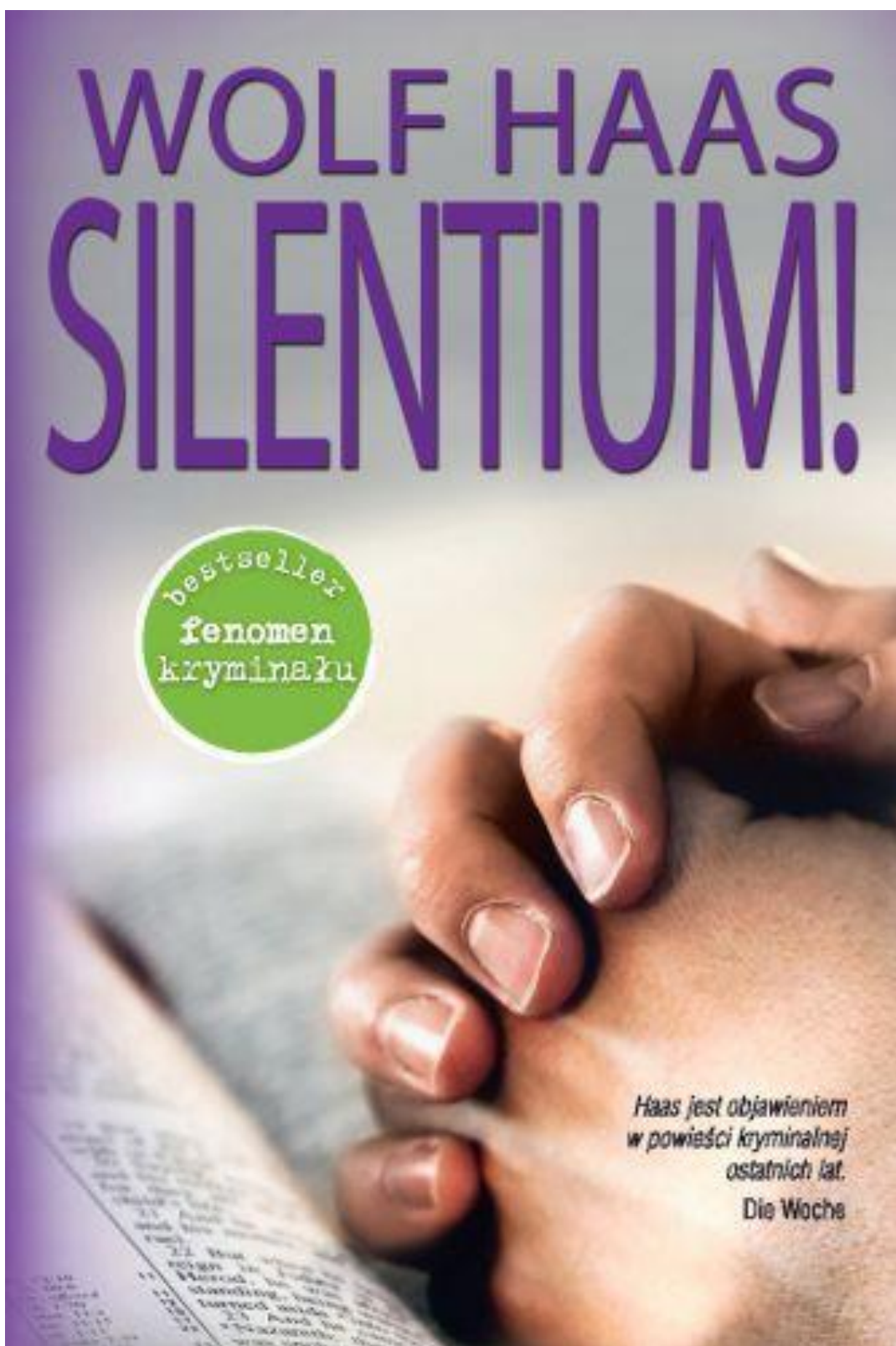


WOLF HAAS SILENTIUM!

bestseller
fenomen
kryminału

*Haas jest objawieniem
w powieści kryminalnej
ostatnich lat.*
Die Woche



Wolf Haas

Silentium



1

No i znowu się coś wydarzyło. I to akurat w Marianum, gdzie, wiadoma sprawa, chłopski dzieciak wchodzi z jednej strony jako dziesięciolatek, a po ośmiu latach wyskakuje z drugiej strony już prawie jako ksiądz. Nic dziwnego, że przez tyle czasu nikt niczego nie podejrzewał. No bo właściwie nie do pojęcia, żeby coś takiego było możliwe w najczystszej szkole z internatem w całym Salzburgu.

Czekaj, powiedziałem najczystszej. Oczywiście nie chodzi mi o higienę w dosłownym znaczeniu. W internacie zawsze trochę cuchnęło, czytaj: wyziewy wyrostków to nie ogród różany. A jak któregoś dnia nagle wezwali detektywa, to ten najpierw zwrócił uwagę na dziwne zapachy. No wiesz, w takim internacie masz zapachy, jakich nigdzie indziej nie uświadczysz.

Pewnie, że w klasach zawsze śmierdzi, nauczyciele dostają nawet specjalny dodatek za uciążliwe warunki pracy i uważam, że to jest w porządku. Bo jak cię zamkną w klasie z dwudziestoma czy trzydziestoma wyrostkami, to nie ma siły, masz ochotę tego czy owego ucznia, który i tak nie kapuje, co się do niego mówi, zamienić na rabatkę.

A zapachy w internacie to znowu co innego. Jak Brenner przyjechał do tego Marianum i wprowadził się do pustego pokoju prefektów pomocniczych, od razu mu się przypomniał komisariat. Dziewiętnaście lat był policjantem, zanim się usamodzielił, no to nic dziwnego, że potem przez całe życie wszystko ci się z policją kojarzy.

Nie uwierzysz, ale każde piętro tego starego zamczyska miało inny zapach. Tylko że tego zapachu się tak dokładnie nie dało określić. Kuchnia i jadalnia mieściły się wprawdzie na parterze, ale zapachy zjełczałego jedzenia czułeś na każdym piętrze, i chociaż nową kaplicę postawili na poddaszu, czyli cztery piętra wyżej, wydaje się, jakbyś był w restauracji.

Ta kaplica to był majstersztyk architektury, dziesięć lat temu na starych murach klasztornych nadbudowali prawdziwe gniazdo ptasie, jak wchodzisz, to mało apopleksji nie dostajesz, no bo sufit cały szklany, można powiedzieć - niebo na wyciągnięcie ręki. Lecz pod względem zapachów - katastrofa. Jako że z niewiadomego powodu kaplica wsysała wszystkie

wyziewy kuchenne.

Ale to wprost nie do wiary, jak szybko człowiek przyzwyczaja się do nowych zapachów, już po trzech dniach Brenner praktycznie ich nie wyczuwał. Oczywiście to żaden problem, bo szkoła nie zatrudniła go po to, żeby analizował zapachy. Ksiądz rektor nie potrzebował wcale detektywa od zapachów! Uważaj tylko, co ci powiem.

Brenner nie był specjalnie przewrażliwiony na punkcie zapachów. Dziewiętnaście lat pracy w policji to dostateczna okazja, żeby się pozbyć takich fanaberii. Zresztą on w ogóle nie należał do ludzi wydelikacyonnych. No bo weź tylko jego aparycję. Przysadzisty koleś o twarzy, w której najgładsze były blizny po ospie, dwie pionowe bruzdy wrzynały się w policzki na głębokość centymetra. Niby pytanie za pięć złotych: czy to austriacki eksplinierz, czy słynny francuski kiper perfum.

To, że akurat w internacie nagle zainteresowały go zapachy, to znów była sprawa, jak by tu rzecz ująć, nie zamierzam upiększać prawdy. No bo to właśnie był cały Brenner. Zawsze mu ta cecha przeszkadzała w dochodzeniach. Najbardziej zwracał uwagę na rzeczy mało ważne. To była jego choroba, nigdy się z tego nie wyleczył. Zawsze zaczynał siodłać konia od ogona. Przełożeni w policji próbowali go od tego odzwyczaić, ale gdzie tam. Brenner ani na milimetr nie odstąpił od swojej metody. A najgorsze, że to jest zaraźliwe. Bo widzę, że ja też zacząłem od rzeczy najmniej ważnych. Koniec końców cztery trupy, więc trudno się w nieskończoność zajmować zapachami. No ale skoro się o tym zgadało, jeszcze ci szybko opowiem, jak to się stało, że Brennera na stare lata zaintrygowały zapachy.

Zaraz pierwszego dnia młody ksiądz rektor Marianum zaprosił go do swojego gabinetu na rozmowę na dziesiątą wieczór. Uważaj, rzecz łatwo zapamiętać: rektor to szef, a prefekci - zastępcy szefowie. W pierwszej chwili Brenner się zdziwił, że taki młody człowiek może być już księdzem, a do tego szefem archidiecezjalnego niższego seminarium duchownego, wiadomo, delikatna misja. Ale młody rektor świetnie się trzymał roli, godność i takie tam. To on zdecydował, że tak dalej być nie może, że trzeba wezwać detektywa, który wszystko wyjaśni.

Kiedy cyferki na zegarku elektronicznym, który mu sprezentowali na pożegnanie trzy lata temu koledzy policjanci, przeskoczyły na 22.00, Brenner zapukał do drzwi. Ale nie

otworzył mu rektor osobiście, bo ten nie był sam w gabinecie. W drzwiach ukazał się ten sam stary prefekt z zajęczą wargą, który po południu przydzielił mu pusty pokój prefektów pomocniczych na trzecim piętrze. Nosił krótko przyciętą siwą bródkę i wąsy, pod którymi na pierwszy rzut oka trudno było dostrzec kalectwo. No ale z tym ukrywaniem wad to jest diabelska sprawa, to tak jak z łysymi, którzy sobie zasłaniają łysinę „pożyczką” z resztki włosów, a przez to tylko jeszcze bardziej ją widać. Albo jak z mordercami, którzy się starają zachowywać jak najostrożniej, a tu ledwie powiedzą do policjanta: ładną mamy pogodę dzisiaj - już kajdanki pobrzękują.

No i tej zajęczej wargi rzeczywiście prawie się nie widziało, ale wada wymowy była tym bardziej uderzająca. W dzieciństwie pewnie operacje i tak dalej, a teraz stary prefekt miał trochę dziwną wymowę, mniej więcej tak jak ludzie z trzecim uzębieniem, jak już odłożą na noc do szklaneczki ze środkiem dezynfekcyjnym swoją wspaniałą sztuczną szczękę. Brennerowi się wydawało, że i głos miał jakiś dziwny, kiedy w gabinecie regensa przedstawiał mu drugiego prefekta:

- Nasz prefekt od wychowania fizycznego. Sterczące włosy prefekta chwiały się jak anteny, gdy potrząsał dłonią Brennera, niby: serdeczne powitanie. Brennera uderzyło, że w przeciwieństwie do pozostałych dwóch przełożonych nie miał na sobie typowego dla księży austriackich czarnego garnituru z przypinanym srebrnym krzyżem, tylko dżinsy i białą koszulę. Wyjaśnienie jest proste - nie był duchownym, tylko świeckim prefektem. A ponieważ przełożony od wufu siedział między rektorem a prefektem z zajęczą wargą, Brenner miał przed sobą interesujący obraz. Z lewej czarny, z prawej czarny, a w środku biały, czyli: symetrycznie! A postacie prawie tak samo sztywne jak na starych obrazach olejnych zdobiących korytarze seminarium, których zapach zmieszany z wonią oleju kuchennego i pasty do podłogi natłuszczał powietrze, słowem: muzeum.

Ale Brenner nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie to, że nad trzema głowami przełożonych widniał sporządzony złożonymi literami napis:

„Silentium!”.

Napis umieszczony był bezpośrednio na ścianie gabinetu i dlatego w tej chwili cała ta sceneria wydała się Brennerowi troszkę nie z tego świata. Chociaż z drugiej strony już

przedtem oglądał te napisy na wszystkich korytarzach i we wszystkich salach lekcyjnych, a nawet w umywalniach, bo seminarzyści na każdym kroku byli upominani: „Silentium!” tu, „Silentium!” tam. No i powiem ci, że ja to doskonale rozumiem, bo w takiej szkole dla chłopców musisz się bez przerwy strasznie pilnować, żeby ci ten hałas po prostu nie uderzył do głowy, taki tam wrzask przez cały dzień, nauczyciel mógłby łatwo stracić cierpliwość i zacząć strzelać w ten rozwrzeszczany tłumek, a w tym hałasie, jaki uczniowie podnoszą na przerwach, nawet by nie słyszał terkotania karabinu maszynowego.

No ale w naszym Marianum zdusili to niebezpieczeństwo w zarodku, nie dopuścimy do takiej sytuacji, powiedzieli, przez większość czasu uczniowie mają mówić tylko szeptem, a przez resztę czasu - w ogóle silentium! Fakt, że to wygląda trochę niesamowicie, kiedy kilkaset dzieciaków pary z gęby nie puści. I może to był jeden z powodów, że te zapachy tak się wybijały na pierwszy plan.

I ciekawa rzecz: za to silentium był odpowiedzialny w pierwszym rzędzie prefekt od wufu. To nie tak jak w polityce albo w telewizji, że mówią: najgłupszy niech obejmie dział sportowy, nie, wręcz przeciwnie: w szkole z internatem dla chłopców wychowanie fizyczne jest w gruncie rzeczy najważniejsze. Bo taki młodociany osobnik ma nieprawdopodobną energię, którą musi jakoś wyładować, inaczej zbikuje, możesz sobie pisać silentium! na ścianach, ile zechcesz, bez sportu ani rusz, i możesz mówić o szczęściu, jak nie rozerwie posługaczki na sztuki.

Ale dzisiaj młody rektor sam był posługaczką, niby: nakrywał do stołu, i to tak, że stół konferencyjny po prostu tonął w smakołykach, solone orzeszki ziemne - opakowanie dla całej rodziny, chipsy - opakowanie dla całej rodziny, paluszki soletti - opakowanie dla całej rodziny, słone ciasteczka - opakowanie dla całej rodziny. Wydaje mi się, że dzisiaj, jak ktoś nie może mieć własnej rodziny, to przynajmniej od czasu do czasu musi zniszczyć opakowanie dla całej rodziny, niby: napad szału.

Na widok młodego duchownego szefa rozrywającego jedno po drugim opakowanie rodzinne Brennerowi przypomniał się napis na automacie z prezerwatywami w policyjnej kantynie w Linzu: „Ekonomiczne opakowanie rodzinne”. Fatalny dobór słów, no bo ten produkt ma właśnie zapobiegać powstaniu rodziny. Na wszelki wypadek Brenner zapchał sobie usta solonymi orzeszkami, żeby się nie wyrwać z tym wspomnieniem. W obecności

dwóch księży byłoby to może odrobinę niestosowne.

I to jest kolejny dowód, co taki napis na ścianie może. Bo bez złoconego „Silentium!” Brennerowi na pewno by się wyrwało o tym opakowaniu dla rodziny.

Zauważył, że artysta zadał sobie wiele trudu, litery były misternie wymalowane, a zamiast „t” w środku wyrazu wstawił prosty krzyżyk.

No ale jak nie opowiesz historyjki o prezerwatywach, to może się zdarzyć, że w ogóle nikt nic nie powie. I trzej szefowie seminarium rzeczywiście milczeli. Jednak możesz mi wierzyć, że mimo to nie panowało prawdziwe silentium, naokoło słychać było chrupanie słonych paluszków, niech się schowa przyjęcie urodzinowe dla dzieci.

- Może piwo? - odezwał się wreszcie młody ksiądz rektor.

Prefekt z zajęczą wargą, rozczapierzywszy palce, pokręcił dłońmi niezdecydowany, ale w końcu wystękał swoim osobliwym głosem:

- Łyczek by można.

W pierwszej chwili Brenner pomyślał, że to jakaś specjalna kościelna maniera, że się wyrzuca twarde „t” w wyrazie „konnte” i wypowiada własną chęć w formie pośredniej „konne”. Ale prawdziwym powodem braku „t” w wypowiedzi prefekta był oczywiście rozszczep podniebienia. Nie zapominaj o jednym. Dzisiaj zajęczą wargę można bez śladu usunąć, ale prefekt był już pewnie po sześćdziesiątce, a w tamtych czasach chirurgami zostawali tylko najgorsi szewcy. Mogłeś mówić o szczęściu, jak w ogóle trafiał skalpelem tam, gdzie trzeba.

Kiedy rektor wnosił skrzynkę piwa, Brenner zauważył, że mimo młodego wieku miał już zadatki sadełka. Chociaż ogólnie rzecz biorąc, był to przystojny, wysoki mężczyzna o czarnych włosach i bladej karnacji, jak aktor w niemych filmach. Jak go biskup parę lat temu przeniósł do seminarium na stanowisko rektora, krążyły nawet plotki, że to z powodu dewotek w dawnej parafii. Nie masz pojęcia, jak one wtedy adorowały świeżo wyświęconego księdza. Miało się wrażenie, że to nie ołtarz, tylko plaża nad Adriatykiem, i że to nie ksiądz,

tylko organizator imprez w klubie... i że adorują nie tylko Ciało Chrystusa, lecz też troszeczkę ciało jego zastępcy.

Ale, jak mówiłem, to było ileś lat temu, a teraz proszę, najmłodszy rektor w historii szkoły. Niesamowite, jakie ten człowiek zrobił postępy. Jego jedyna słabość to łakomstwo, które też zrobiło niesamowite postępy. Co prawda w czasie Wielkiego Postu brał się w garść, może z tobą godzinami gadać o najnowszej diecie proponowanej przez magazyn „Brigitte”, jednak sadełka tak do końca się nie pozbył.

Po prostu między postami za dużo grzeszył - tu zgrzeszył czekoladą, tam zgrzeszył lodami, a dzisiaj na przykład grzech ciężki z powodu piwa i słonych paluszków. Wielebny doił piwo, że aż się w oczach troiło.

- Słone paluszki wywołują pragnienie - kiwał głową, jakby sam sobie przyznawał rację, i znowu napelniał kufle.

Ale ja myślę, że to nie była tylko sprawa słonych paluszków. Chodziło też trochę o nieprzyjemny temat, do którego nie wiedział, jak się zabrać. Bo w końcu musiał przecież powiedzieć Brennerowi, po co go w ogóle wezwał. Ale najpierw jeszcze kufelek, nie do wiary, ile ten człowiek wypił.

No wreszcie zaczął klarować Brennerowi, czego od niego chce. Tyle że musiał zacząć od Adama i Ewy, bo przecież ten nawet nie wiedział, że ma być mianowany nowy biskup.

- Jesteśmy oczywiście bardzo dumni z tego - podkreślił - że wybór Ojca Świętego padł na kandydata, który wyszedł z naszego seminarium.

- Bardzo dumni - kiwnął głową stary prefekt.

Tym razem, nie wiem jakim sposobem, udało mu się wymówić „t” w słowie „stolz”, może się rozluźnił pod wpływem wypitego piwa.

- Chociaż gwoli skromności trzeba powiedzieć... - wtrącił prefekt Fitz, przy tym skurczył się nieco w sobie, niby: uosobienie skromności. I z tej całej skromności zapomniał

powiedzieć, co trzeba powiedzieć gwoli skromności.

- Oczywiście - skinął głową młody rektor.

Jasne, że wiedział, co kolega chciał powiedzieć, normalnie - rozumieli się w pół słowa. I Brenner też to w końcu skapował. Że ta duma jest względna, bo od pokoleń, a może od stuleci wszyscy biskupi wywodzili się w mniejszym lub większym stopniu z Marianum, a do tego świeccy oficjele od burmistrza po premiera rządu krajowego.

No i jeszcze ten drugi problem z dumą. Albo powiedzmy inaczej. Ten drugi problem, w związku z którym nie można było być tak do końca dumnym.

- Zapachy - wyrzekł stary prefekt, unosząc wskazujący palec.

Myślę, że to był właściwy powód, dla którego w ciągu następnych dwóch dni Brenner tyle się zajmował zapachami w internacie. Chodzi o to, że stary prefekt musiał mieć już mocno w czubie, bo powtarzał w kółko jak hipnotyzer bulgocącym głosem:

- Zapachy!

Prefekt Fitz wyniósł pustą skrzynkę po piwie, ale bynajmniej nie z powodu zapachów. Nie uwierzysz, wrócił z najprawdziwszą małą beczką z piwem. A trzeba ci wiedzieć, że w tym Marianum mieli prawdziwą kulturę. Piwa z beczki nie pili w tych samych szklankach co piwo butelkowe. Prefekt Fitz postawił na stole cztery zabytkowe litrowe kamionkowe kufle, prawdziwe dzbany z herbem klasztoru kapucynów. Pewnie dar od jakiegoś opata, bo w seminarium byli tylko księża diecezjalni w czarnych garniturach, nie uświadczyłeś tam zakonnika w habicie.

Kiedy dzbany zostały napelnione i czterej mężczyźni stuknęli się, że aż zahuczało, Brenner spytał:

- Co za zapachy?

Rektor i prefekt Fitz spojrzeli na niego skonsternowani i Brenner najpierw pomyślał,

że może jednak przez nieuwagę wypaplał tę historyjkę o opakowaniu dla całej rodziny. Zakłopotany podniósł szybko kufel do ust, ale prefekt tak niezdarnie nalewał piwo, że połowa kufła to była piana. I kiedy ocierał oczy z tej piany, jego wzrok padł na napis na ścianie nad głową rektora i na złoty krzyżyk w środku wyrazu Silentium.

No i dopiero wtedy spadły mu łuski z oczu, bo ten krzyżyk był jakby znakiem od Boga.

- Co za pogłoski? - powtórzył tym samym tonem, jakby za pierwszym razem też powiedział „Geruchte”, a nie „Geruche” z brakującym feralnym „t”.

- Pogłoski - powiedział prefekt Fitz.

Ledwie już poruszał językiem, ale w przeciwieństwie do starszego kolegi „t” wychodziło mu znakomicie: „Geruchte”. Nie ulegało wątpliwości, że miał najsłabszą głowę ze wszystkich trzech szefów szkoły. Kto wie, może święcenia chronią też troszkę człowieka przed szatanem alkoholu, bo młody rektor wciąż siedział sztywny i wyprostowany, a po zajęcej wardze też nic nie można było poznać, tyle tylko, że raz wymawiał „t”, a raz nie, bez ładu i składu.

- Co za pogłoski? - spytał znowu Brenner.

Normalnie stawianie precyzyjnych pytań nie było jego najmocniejszą stroną, zwykle gubił się w ubocznych, nieważnych zagadnieniach. No i myślę, że teraz upojenie alkoholowe pomogło mu w tym pytaniu. Bo alkohol często okazuje się pomocny, jak jesteś w takiej sytuacji, że musisz z uporem maniaka powtarzać w kółko to samo.

Ale prefekt z zajęczą wargą nie odpowiedział. Prefekt Fitz też siedział milczący, tylko lewa noga drgała mu jak terkocząca maszyna do szycia albo jak u człowieka, który siedzi w ścisku. Rektor też się nie odezwał. Brenner czuł się tak, jakby rozmawiał ze ścianą. No bo ściana przynajmniej coś mówiła, chociaż cały czas nic tylko: Silentium!

Kiedy poznał już te pogłoski, to doskonale zrozumiał, że trzech panowie musieli złapać do białego rana, zanim mu zdradzili wszystkie szczegóły. O czwartej wiedział już wszystko.

O kandydacie na biskupa Schornie, o tym, że prałat Schorn trzydzieści lat temu był spowiednikiem w Marianum, wiedział nawet, co to jest spowiednik.

Posłuchaj, to wcale nie takie trudne: rektor szefuje, prefekt zajmuje się wychowaniem, a spowiednik - zbawieniem duszy. Bo taki prefekt to musi być czasem surowy, no to uznano, że nie jest idealne dla duchowego rozwoju, jeśli na przykład uczeń musiałby się spowiadać u swojego prefekta, po prostu kwestia zaufania. Dlatego potrzebny był spowiednik, który urządzał medytacje z muzyką, medytacje ze zdjęciami, spowiedź w pokoju, takie rzeczy.

Teoretycznie uczeń mógł pójść do spowiednika ze skargą na prefekta, a spowiednik wcale by go nie ukarał, tylko wykazał zrozumienie. Zwłaszcza dla maluchów był to ważny partner do rozmowy, gdyż prefekci bywali bardzo surowi, nie powiem terror psychiczny, tak jak w sektach, ale - surowi. Nawet bardzo surowi. No więc spowiednik spełniał rolę azylu, był bardzo ważny, a coś ty myślał. Ten czy ów dziesięciolatek biegał co wieczór do spowiednika, wymyślał sobie grzechy, żeby tylko mieć okazję do spowiedzi w pokoju albo do medytacji ze zdjęciami przy dźwiękach sentymentalnej muzyczki, albo żeby go trochę potrzymać za rączkę, kiedy go napadał demon tęsknoty za domem.

- Zapachy! - dorzucał co chwila swoje zajęcza wargą.

Ale o czwartej rano, gdy byli już przy wódeczce Rocca di Papa, młody rektor wreszcie ulżył swojemu sumieniu. W gruncie rzeczy nie miał wyboru. No bo jeden z niegdyśszych seminarzystów zaczął opowiadać historie o księdzu prałacie Schornie. I to akurat teraz, kiedy papież powiedział: zrobmy Schorna biskupem.

Stary prefekt wysunął argument, że trzeba też zrozumieć spowiednika. Z racji swoich obowiązków miał on siłą rzeczy bliższy kontakt z chłopcami niż prefekci. A były seminarzysta pewnie tylko dlatego czuje się dotknięty, że wtedy ksiądz Schorn wypomniął mu zaniedbania w zakresie higieny. Dzieciaki są strasznie mściwe, pamiętają o takich rzeczach przez długie lata i mogą rzucić na ciebie potwarz, tylko dlatego, że kiedyś im powiedziałeś, że woda służy do mycia.

- Wszystkiemu winien psychiatra - upierał się prefekt Fitz.

Bo były seminarzysta sam z siebie w ogóle by nie wpadł na te rzeczy. No ale problemy małżeńskie, żona mówi, idź do psychiatry. No a potem presja, seanse i żeby sprostać wymaganiom psychiatry, wyciągał zamierzchłe sprawy, niby ta lekcja higieny w piwnicy pod prysznicem ze spowiednikiem Schornem.

Teraz każda klasa ma na swoim piętrze osobne prysznice, ale wtedy było tylko tych czterdzieści kabin w piwnicy na tyłach internatu, no i spowiednik musiał pewnie kiedyś powiedzieć do tego ucznia, słuchaj, jesteś miłym chłopcem, masz ładne blond loki i tak dalej, tylko z higieną nie tak!

Ale spowiednik był zawsze bardzo delikatny, urządził to tak, że nikt nie słyszał tych uwag, no bo wiadomo, co to znaczy dla dziesięciolatka, stałby się pośmiewiskiem klasy, nie ma co. No więc spowiednik powiedział mu, w przyszłą niedzielę, kiedy wszyscy będą na mszy, pójdziemy we dwójkę do piwnicy i pokażę ci, co to znaczy porządnie się umyć.

Takie rzeczy to delikatna sprawa i prefekt z zajęczą wargą miał rację, kiedy mówił, że ktoś chłopakom musi i o tym powiedzieć.

- Jak można stwierdzić po dwudziestu ośmiu latach, jak to było naprawdę? - powtarzał w kółko. - Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że nawet odnośna osoba tego dokładnie nie pamięta.

Bo jak się okazało, odnośna osoba dopiero w trakcie seansów u psychiatry stopniowo przypominała sobie różne szczegóły.

- Psychiatryzy to cwaniacy - zabrał znowu głos prefekt Fitz - nie chcą działać na własną niekorzyść, więc nie dopuszczają, by ktoś przypomniał sobie wszystko od razu. O nie, pacjent musi ich odwiedzać przez kilka lat i musi po troszeczkę odświeżać pamięć. Dokładnie tak samo postępują dentyści, którzy ci wyznaczają osiem terminów na jedną plombę. Albo jak ten ruski tyczkarz.

Chodzi o to, że kiedyś był taki rosyjski tyczkarz, który za każdym razem poprawiał własny rekord świata tylko o jeden centymetr, chociaż na treningach skakał o dziesięć centymetrów wyżej, a wszystko tylko po to, żeby za każdym razem kasować kolejną

milionową premię.

Ale to było już pod koniec posiedzenia, gdy rozmowa w gabinecie rektora stała się nieco chaotyczna. Kiedy zaczęło się rozwidniać, Brenner poszedł do siebie. W zasadzie miał niedaleko na trzecie piętro, ale z jakiegoś głupiego powodu kilkakrotnie musiał dopytywać się u balustrady o drogę. I z jakiegoś głupiego powodu przez cały czas myślał o tym rosyjskim tyczkarczy, który poruszał się w górę bez problemu.

I z jakiegoś powodu wydało mu się, że cały pogrążony we śnie internat śmierdzi piwem. Musisz wiedzieć, że Brenner pochodził z miejscowości Puntigam, gdzie robią to piwo puntigamer. Więc oczywiście póki życia, nie zapomni, jak to było, gdy przy spadającym ciśnieniu powietrza w całym Puntigam śmierdziało piwem. I teraz, wspinając się na trzecie piętro, czuł w nozdrzach dokładnie ten sam zapach.

Leżąc w łóżku prefekta pomocniczego, rozmyślał o młodym rektorze z nalaną twarzą, o prefekcie z siwym zarostem ukrywającym zajęczą wargę i o prefekcie od wuefu, który przez cały czas terkotał swoim kolanem. A właściwie nie kolanem, tylko pękiem kluczy, który miał w kieszeni spodni. Bo jako prefekt masz oczywiście klucze od wszystkiego, od klas, od pokoi cichej nauki, od piwnicy, od kaplicy na poddaszu, od kuchni, własnego mieszkania, samochodu itede itepe, i robi się pęk kluczy, że niech się schowa dozorca więzienny.

To delikatne pobrzękiwanie Brenner słyszał jeszcze we śnie. Albo powiedzmy inaczej. Nagle jak wybuch granatu ciszę rozdarł internatowy dzwonek. No bo codziennie bez litości o szóstej rano zgodnie z zasadą: kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. Brenner wprowadzie natychmiast usnął, ale dwadzieścia po szóstej znowu dzwonek, bo poranne medytacje, za dwadzieścia siódma dzwonek, bo msza, i kwadrans po siódmej dzwonek, bo śniadanie. Wtedy już się ostatecznie rozbudził, ale nie miał siły wstać.

Zapachy - pomyślał, kiedy do pokoju wsączył się zapach mleka z jadalni. Chwilę później wszystko mu się przypomniało. Pamięć podsunęła mu wszystko od razu, nie po troszeczku.

Leżąc w łóżku prefekta pomocniczego, przypominał sobie od razu to, co były seminarzysta na tapczanie u psychiatry przypominał sobie stopniowo i długo. Jak to zamiast

na niedzielną mszę poszedł sam ze spowiednikiem do piwnicy pod prysznic.

I Brenner za jednym zamachem przypomniał sobie to, co tamten przypomniał sobie dopiero po kolejnym roku wizyt u psychiatry: jak to dziesięciolecie rozbiegało się w pomieszczeniach natryskowych.

Rok później przypomniał sobie, jak spowiednik powiedział do niego, że może wyjątkowo zdjąć slipy w przebieralni, bo normalnie slipy wolno było chłopcom zdejmować dopiero w kabinie prysznicowej.

Jeszcze rok później przypomniało mu się, że spowiednik także się rozebrał do tej lekcji higieny.

I dopiero przed dwoma miesiącami przypomniał sobie to słowo, które wtedy powiedział do spowiednika. Bo najpierw nic tylko silentium, kiedy spowiednik zdjął czarny sweter duchownego ze srebrnym przypinanym krzyżykiem. I kiedy rozpiął białą koszulę duchownego, ukazując czarno owłosioną pierś - nadal silentium. Wreszcie po zdjęciu białego podkoszulka, czarnych butów i czarnych spodni stanął obok nagiego chłopca w samych skarpetkach i slipach, a wokoło wciąż panowała cisza - prawdziwe piwniczno-prysznicowe silentium.

- Ahoj! - zakrzyknął nagle na cały głos chłopiec tak jak w tych filmach telewizyjnych o piratach.

Były seminarzysta potrzebował dwudziestu ośmiu lat, aby sobie przypomnieć ten niewinny okrzyk dziecka.

- Ahoj!

Bo oto wąskie slipy spowiednika przemieniły się w żaglowiec! We wspinały transatlantycki jacht miliardera ze wzdętymi żaglami.

Spowiednik puścił wodę z czterdziestu pryszniców naraz, a kiedy posadzka zamieniała

się w spieniony nurt, żeglował w swoich wzdętych slipach od prysznic do prysznic, a mały delikwent poddany nauce higieny siedział na jego łonie jako pierwszy marynarz.

Jak widzisz, tu wspomnienia dosłownie zacierają się we mgle.

I dlatego ksiądz rektor powiedział, musimy zdążyć dokładnie wyjaśnić całą sprawę przed oficjalną nominacją biskupa. A prefekt z zajęczą wargą powiedział, kto wie, co ten człowiek sobie jeszcze może przypomnieć. A prefekt od wufu powiedział, jak się raz zacznie, to nie można się już zatrzymać, ruski skoczek też co chwila windował poprzeczkę o centymetr wyżej, zarobił na tym kilkadziesiąt milionów, ale w porównaniu z majątkiem, jaki zostawiasz u psychiatry za parę wspomnień, pieniądze wyłożone przez firmę Adidas to betka.

W każdym razie prysznic by mi też nie zawadził, pomyślał Brenner, leżąc w łóżku prefekta pomocniczego. No i radosne odkrycie: woda była naprawdę gorąca i płynęła bez końca! I tak długo siedział pod natryskiem, że muszę powiedzieć, swoisty rekord świata. Bo długotrwały prysznic to dla Brennera często rozwiązanie wszystkich problemów. Ale dla kandydata na biskupa prałata Schorna oczywiście początek wszystkich problemów.

2

Znasz to powiedzenie: kto nie ma w głowie, ten ma w nogach. Możesz mi wierzyć, że w ciągu paru następnych dni Brenner rzeczywiście chodził w kółko - nogami, nie głową.

Bo musisz wiedzieć, że w parku należącym do seminarium urządzili cudowną trasę do biegów przełajowych, no i tam właśnie prefekci przechadzali się po obiedzie, niby taki rytuał. Wiele się przy tym Brenner nie dowiedział, bo wiadomo, po posiłku człowiek zawsze ociężały. Ale tyle przynajmniej już wiedział, że były seminarzysta, który rozsiewał te pogłoski, był konserwatorem w archiwum archidiecezjalnym.

Jednak nazwiska ani rusz nie chcieli wyjawić. Pewnie, że do czegoś takiego trzeba się zabierać delikatnie, no ale z drugiej strony: nie wiem, jak to sobie szanowni duchowni wyobrażali, nie można przecież zatrudnić detektywa i nie zdradzić mu nawet nazwisk.

Wreszcie prefekt od wuefu zrobił aluzję:

- Imię nosi takie samo jak najsłynniejszy syn naszego miasta.

Właściwie to było nawet więcej niż aluzja. No bo oni tam w Salzburgu mieli kiedyś cudowne dziecko, wiele zrobił w muzyce, opery, symfonie itede itepe, i oczywiście Brenner zaraz domyślił się imienia.

- Nie, nie Wolfgang - roześmiał się prefekt od wuefu. - On miał jeszcze drugie imię, łacińskie.

- Seminarzysta nosił łacińskie imię?

- Nie, takie samo, tylko po niemiecku.

Oszczędzę ci trudu: na imię miał oczywiście Amadeusz, czyli po niemiecku Gottlieb. Nic trudnego, Brenner to też odgadł od razu. Idąc za ciosem, wyciągnął jeszcze z prefekta Fitza nazwisko psychiatry, u którego Gottlieb ustanawiał kolejne rekordy wspomnień. Doktor

Prader mieszkał z żoną i czwórką dzieci w willi na Mnisim Wzgórzu, idealna lokalizacja, bo to w mieście, a jednak na wzniesieniu. Ciekawe, doktor Prader też wychowanek Marianum, kolega z klasy swojego pacjenta, niby: obaj po trzydziści osiem lat.

Z tym doktorem Praderem warto by pogadać, pomyślał Brenner, lepsze to, niż dreptać w kółko. Ale było to trudniejsze, niż sobie wyobrażał. No bo idąc do doktora Pradera, musiał się przebić przez zastępy turystów. Nic mu się nie stało, bo Brenner to wytrzymały chłop, tyle że przy tej okazji dostał się do albumu rodzinnego chyba z dziesięciu tysięcy Japończyków.

Wierz mi. Z doktorem Praderem to dopiero było dreptanie w kółko. No bo jak już mieszkasz na tym cudownym Mnisim Wzgórzu, to oczywiście masz swoją trasę spacerową, przez lasy i łąki, w górze ćwierkanie ptaków, dołem próby chóru w gmachu teatru festiwalowego, dosłownie wbudowanego w masyw skalny Mnisiego Wzgórza, czysta Biblia: budujcie na skale, nie na piasku.

Doktor Prader z miejsca zabrał Brennera na swój zwykły codzienny spacer. No ale spacer na Mnisim Wzgórzu to zupełnie inna rzecz niż w parku seminaryjnym otoczonym wysoką siatką. Nie, siatka nie jest podłączona do prądu, to by już była Argentyna, Chile, tam się co chwila te polityczne rzeczy dzieją, nie, w Marianum zwykła siatka, tylko wysoka, no może gdzieś trochę drutu kolczastego. Ale ciekawa rzecz: taka siatka niby nie zasłania widoku, a jednak przeszkadza.

No a widok ze wzgórza - po prostu powalający. Malownicza sprawa, niech się schowają kartki pocztowe. Te dwa wzgórza pośrodku miasta, stoisz sobie na Mnisim Wzgórzu, a naprzeciwko masz Wzgórze Kapucynów, a w dolinie między wzgórzami tysiąc kościołów i klasztorów nanizanych na zielonkawo połyskującą wstęgę rzeki Salzach, wyobraź sobie jak jakąś świecąco kulię z drogich kamieni między wspaniałymi piersiami kelnerki na Oktoberfeście w Monachium, jednym słowem cud natury.

To już nawet ileś wieków temu pewien reporter powiedział, najpiękniejsze miasto świata. A ten widział kawał świata, to jest tak, jak teraz w telewizji lecą te filmy krajoznawcze, wtedy oczywiście nie było jeszcze telewizji, ale byli już ludzie, co jeździli po świecie i opowiadali innym, gdzie jest najpiękniej. No i jak ten podróżnik dotarł do Salzburga, to oczywiście natychmiast popędził na Mnisie Wzgórze, no i jak spojrzął na te

wieże kościelne w dole, na cały kraj i szeroki świat, to mu oczywiście szczęka opadła, nie myśl sobie.

I on to nawet dał na piśmie: najpiękniejsze miasto świata! Więc jak ojcowie miasta to przeczytali, to oczywiście z punktu stwierdzili, wiecie co, to dobra reklama, musimy natychmiast nazwać to miejsce na Mnisim Wzgórzu, skąd on wtedy patrzył, Tarasem Humboldta. A widzisz, Humboldt, tak się ten gość nazywał.

Taras Humboldta, dopiero tam się doktor Prader zatrzymał. Był to krzepki mężczyzna, wytrzymały jak długodystansowiec, poniekąd zupełne przeciwieństwo zniewieściałego rektora, wyglądał bardziej na przewodnika górskiego niż psychiatrę. Nic dziwnego, że starszy o dziesięć lat Brenner nieźle się napocił, spacerując obok tego salzburskiego Nurmiego.

- Ładnie tu - zauważył zadyszany, przechylając się przez barierkę i spoglądając w stumetrową przepaść.

- Taras ma duże wzięcie...

- Wyobrażam sobie.

-... u samobójców.

No bo wiadomo, ironia losu, samobójcy zawsze wybierają najpiękniejsze przepaście. To dokładnie tak jak z wieżą Eiffla, Francuzi jadą kilkaset kilometrów, żeby tylko stąd skoczyć. Belgowie, Holendrzy, Niemcy - nic tylko wieża Eiffla. Ale u Niemców to się trochę równoważy, bo wielu powiada, Taras Humboldta jest w lepszym gatunku, poza tym znam język.

- Ludzi o słabych nerwach lepiej tu nie przyprowadzać - powiedział Brenner, niby: pełnia zrozumienia.

Doktor Prader w zamyśleniu pokiwał głową. To był jeden z tych ludzi, którzy są już praktycznie na wymarciu. Dzisiaj rzadko uświadczysz człowieka, co się nie zgrywa.

- Od kogo pan się dowiedział, że to mnie się Gottlieb zwierzył z tych wspomnień?

- Od prefekta Fitz.

No ale chociaż obaj detektywi, ten normalny i ten od duszy, z taką łatwością przeszli do sedna sprawy, nie zawadzi drobne posunięcie w celu wzmocnienia wzajemnego zaufania.

- Prefekt Fitz pana podziwia - zaczął więc Brenner. - Mówi, jak pan sobie świetnie radzi z dziećmi, a prócz tego od lat opiekuje się pan chorym kolegą szkolnym. A przy tym pełni pan jeszcze funkcję honorowego opiekuna sądowego.

- Taki rozmowny był ten dudek?

- Dudek - powtórzył ze śmiechem Brenner.

No bo rzeczywiście trudno o lepszą charakterystykę prefekta od wuefu z jego sterczącymi włosami. No i oczywiście najlepsze na świecie posunięcie wzmacniające wzajemne zaufanie: mówić źle o nieobecnym.

- A opowiadał panu też o własnym życiu rodzinnym?

- To takie ciekawe? - udał głupiego Brenner.

Bo coś niecoś już wiedział. No bo o tym, że prefekt Fitz bardzo chciał zostać księdzem i nie całkiem dobrowolnie wstąpił w związek małżeński, to wszystkie wróble na dachu internatu ćwierkały.

Posłuchaj tylko, fakt, że nie został wyświęcony, to był właściwie tragiczny wypadek. Prefekt Fitz był najpilniejszym uczniem i kandydatem na księdza. No i potworna ironia losu, właśnie ta pilność go zgubiła. Pewnego razu pogrążony w nauce przez tydzień zaniedbał wuef.

No i oczywiście licho nie śpi i nadało te obłudne studentki, które musiały chodzić na mszę akurat do kaplicy seminaryjnej. Trudno tego nie nazwać złośliwością, bo w Salzburgu

jest tyle kościołów, to dlaczego taka blondynka musi akurat przychodzić do kaplicy w seminarium duchownym? Studentka historii sztuki, rzekomo chodziło o kościół barokowy, słynnych architektów, Fischer von Erlach i temu podobne. Tak w każdym razie twierdziła, kiedy seminarzysta Fitz robił jej potem wyrzuty. No ale to trzeba mieć pecha w życiu, raz się dotkniesz, te rzeczy, i od razu cięża i koniec marzeń! Najpierw próbował się wypierać, ale oczywiście nic z tego, przełożony seminarium powiada: musisz się z nią ożenić.

Czyli Brenner już znał tę historię, ale dla detektywa oczywiście zawsze interesująca sprawa usłyszeć coś z różnych ust, niby: sprzeczne opinie. Dlatego chętnie wysłuchał jeszcze raz wszystkiego w wersji doktora Pradera.

Ale w tym wypadku o żadnych sprzecznych opiniach nie było mowy, bo doktor Prader przedłożył dokładnie taką samą wersję, niby: studentki historii sztuki, zainteresowanie kaplicą seminaryjną, a potem hormony, bara-bara i koniec marzeń o karierze duchownego.

- Może dlatego tak przesadza z tą ciężą dla kobiet - zauważył Brenner.

Mianowicie zapytał prefekta Fitz z głupia frant, dlaczego szkoła dla chłopców nazywa się akurat Marianum, czy to nie byłaby lepsza nazwa dla szkoły dla dziewcząt.

- I co na to odpowiedział? - skrzywił się doktor Prader.

Brenner wzruszył ramionami.

- Zrobił mi wykład na temat Matki Boskiej. Nie słuchałem dokładnie, ale ciągle się tam powtarzało określenie „godność kobiety”.

- Powinien to opowiedzieć swojej żonie - skomentował doktor Prader z tą samą śmiertelną powagą, z jaką prefekt Fitz wygłosił swoje poglądy.

Musieli chyba wracać krótszą drogą, bo Brenner się zdziwił, że tak szybko znaleźli się pod domem doktora Pradera. A właściwie dom to złe określenie. Willa. Kiedy zaszli od tej strony, to dopiero się przekonał, jaki to wspaniały dom, niby: willa. Doktor Prader zatrzymał się przed kamiennym ogrodzeniem posiadłości, tak wysokim, że nie sposób było zajrzeć do

środku, i tylko po wierzchołkach drzew mogłeś się domyślić, jaki rajski ogród się za tym murem kryje.

A doktor Prader musiał czytać w myślach Brennera, bo zauważył:

- Stać nas na czynsz tylko dlatego, że na letnie miesiące odnajmujemy dom gościom festiwalowym.

- A gdzie wtedy mieszkanie?

- Przenosimy się do graciarni.

- I wynajemca na to pozwala? - spytał Brenner.

Bo wiadomo, nie tylko piękno Salzburga jest słynne na cały świat, słynne na cały świat jest też zdzierstwo salzburskich właścicieli mieszkań.

- Mamy szczęście. Właściciel jest pracodawcą mojej żony - Kuria biskupia.

To też Brenner wiedział od prefekta Fitza.

- I dlatego czynsz jest przystępny.

- Ale dla gości festiwalowych chyba nie.

- Płacą nam przez dwa miesiące tyle, że starcza na zapłacenie rocznego czynszu - uśmiechnął się doktor Prader.

- To pomyślna okoliczność.

- Dla nas tak. A nasi podnajemcy nie pytają, czy coś jest korzystne, czy nie. Po prostu chcą mieć to, co najlepsze na rynku.

- A ja myślałem, że na Mnisim Wzgórzu mieszkają tylko monachijscy królowie

supermarketów, którzy wykupili pół wzgórza za brudne pieniądze.

Musisz wiedzieć, że Brenner przez wiele lat stacjonował w Salzburgu, miał tu nawet mieszkanie służbowe, niski czynsz i wszystko, więc nie miał powodu do narzekania. Ale z tamtych czasów pozostało mu takie przeświadczenie, że na Mnisim Wzgórzu mieszkają tylko bezdomni w jaskiniach i właściciele supermarketów w kamiennych fortecach.

- Tak źle nie jest, ale fakt, że mamy też znakomitości za sąsiadów.

- A kiedy pan zobaczy turystę podziwiającego pański bajkowy pałac, ma pan ochotę wyjaśnić mu, że nie należy pan do tych monachijskich baronów?

Brenner sam się zdziwił własną wypowiedzią, bo przemawiał prawie z takim zrozumieniem jak spowiednik. A przecież dopiero od trzech dni mieszkał w pokoju prefektów pomocniczych. Bo w Marianum wszystko w białych rękawiczkach, delikatnie, nie wprost, jakoś tak, jakby ci ktoś przez nadmiar uwagi tak delikatnie podał rękę, że masz wrażenie, jakbyś potrząsał zdechłą rybą.

I Brenner poczuł się nagle jak wazelinarz w obliczu tego kanciastego przewodnika górskiego, niby: najwyższy czas porozmawiać z doktorem Praderem otwartym tekstem.

- Czy pan wiedział, że ksiądz prałat Schorn jest pierwszy na liście kandydatów na stanowisko biskupa? To dlatego mam się dowiedzieć, czy historie opowiedane przez pańskiego pacjenta są prawdziwe. Czy mógłby mi pan w tym pomóc?

- I tak, i nie.

- Wiem, że to delikatna sprawa z powodu tajemnicy lekarskiej.

- To nie to. Nie jestem lekarzem. Gottlieb jest moim przyjacielem. Staram się po prostu pomóc przyjacielowi.

- Ale mnie nie chce pan pomóc?

- To „nie” było odpowiedzią na pańskie pierwsze pytanie. Nie wiedziałem, że ksiądz prałat Schorn jest najważniejszym kandydatem do godności biskupiej.

- A pańskie „tak”?...

-... oznacza, że chętnie panu pomogę, na ile potrafię. W każdym razie w sensie prawnym nie podlegam tajemnicy lekarskiej.

- Właściwie ja też nie powinienem był panu zdradzać tej informacji o kandydaturze na biskupa.

- Res silentii - skinał głową doktor Prader. - Rozumiem.

- Tym razem ja nie rozumiem - musiał przyznać Brenner.

Więc doktor Prader wyjaśnił mu, że takie rzeczy są nie tylko w Kościele, ale podobnie w całej administracji państwowej. Na przykład przed nominacją na sędziego policja węszy, badając życie prywatne kandydata, czy nie ma tam za dużo pułapek, na przykład hobby czyniące go podatnym na korupcję, klub wideo, bardzo podejrzana sprawa, albo nastolatki, takie rzeczy, albo, powiedzmy, sadystyczne ciągotki, czyli jako sędzia nadmiernie surowy.

- U pańskiego przyjaciela wspomnienia pojawiły się dopiero po kilkudziesięcioletnim milczeniu. Jak coś takiego jest możliwe?

- Prowadziłem z nim bardzo długą terapię.

- Nie jest pan lekarzem, tylko psychologiem?

- Nie, jestem panią domu. Moja żona zarabia na utrzymanie, a ja zajmuję się czwórką naszych dzieci. Dlatego nie świadczę usług terapeutycznych.

- Z wyjątkiem pańskiego przyjaciela. Sądzi pan, że jego wypowiedzi są całkowicie prawdziwe?

Dzwony w którymś z kościołów uderzyły cztery razy, a potem jeszcze sześć razy - Kolegiata - wyjaśnił doktor Brennerowi.

Teraz inny dzwon cztery uderzenia, a następnie wyższym tonem sześć razy.

- Katedra.

Potem rozdzwoniły się dzwony kaplicy seminarium duchownego, następnie kościół franciszkanów, św. Piotra i kościół urszulanek prawie jednocześnie, następnie kościół św. Kajetana, następnie gdzieś za wzgórzem kościół Maxglaner, a na samym wzgórzu klasztor Nonntal i znowu na dole kościół św. Błażeja, za Mnisim Wzgórzem dzwony od palotynów, za każdym razem najpierw cztery uderzenia na pełną godzinę, a potem sześć. Jeśli kilka wież kościelnych rozdzwoniło się równocześnie, to oczywiście można się było zgubić w liczeniu, ale oczywiście wszędzie była szósta, bo odległość paru metrów między kościołami w Salzburgu to jeszcze nie strefa czasowa.

- Można by prawie pomyśleć, że jest szósta - rzucił Brenner, niby taki kostyczny humor.

Ale jego słowa zagłuszyły dzwony jakiegoś spóźnialskiego kościoła, aż powietrze zadrżało.

- I tak, i nie - powiedział doktor Prader.

Ale nie chodziło o filozoficzne zwątpienie, czy na pewno jest szósta, tylko o odpowiedź na ostatnie pytanie Brennera, czy kandydat na biskupa Schorn rzeczywiście Gottlieba, jak by to powiedzieć, trochę tego.

- Tak, myślę, że jego wyznania są prawdziwe, i nie - nie sędzę, żeby to była już cała prawda.

- Jak u tego ruskiego skoczka?

- Proszę?

No więc Brenner rozśmieszył go, powtarzając historyjkę prefekta Fitza o terapeutach i rosyjskim tyczkarzu.

- Chcę przez to powiedzieć - wyjaśnił rozbawionemu doktorowi Praderowi - że w takim razie jeszcze trochę potrwa, zanim Gottlieb do końca upora się ze swoją przeszłością?

- I tak, i nie.

Brenner zastanawiał się, czy znowu zadał dwa pytania, czy też w odpowiedzi doktora dało o sobie znać wymijające „i tak, i nie” rodem z Marianum, które zdążył już dobrze poznać.

- Problemy człowieka niekoniecznie muszą być związane z przeszłością - zauważył doktor Prader, wskazując na otwarty dach opery.

To wspaniała konstrukcja, a do wietrzenia po prostu otwierają dach tej skalnej hali jezdzieckiej.

- Wie pan, kto jest teściem Gottlieba.

- I tak, i nie.

Cały Brenner, cały on, tak mu się to powiedzonko spodobało, że od razu musiał je zmałpować. A przy tym aż do tej chwili nie miał pojęcia, że teściem Gottlieba był zastępca dyrektora festiwalu w Salzburgu. Dowiedział się tego dopiero od doktora.

- Chce pan powiedzieć, że problemem nie musi być zawsze ojciec - Brenner stał się nagle dociekliwy - bo wysoko postawiony teść może być jeszcze większym problemem?

- Tak.

I nie - dokończył w myślach Brenner. Ale nic z tych rzeczy, doktor Prader powiedział po prostu „tak” i kropka. A Brenner miał wrażenie, że to brakujące „nie” wyrwało coś, jakby

olbrzymią dziurę w powietrzu, i na ułamek sekundy uległ halucynacji, że go wciąga w ten powietrzny lej, no mówię ci, horror. No i muszę uczciwie przyznać, że tak było naprawdę.

3

No ale zanim się posypały drzazgi, Brenner przynajmniej zdążył się jeszcze porządnie wyspać. W niedzielę rano spał smacznie, jakby dzwonek internatowy po prostu nie istniał. Przespał budzenie o szóstej, przespał poranną modlitwę, poranną naukę, nawet poranną mszę o wpół do ósmej.

I znowu tajemnicę, jaka się w tym kryła, da się wyjaśnić tylko przy użyciu łaciny: Ohropax. Jako że w sobotę wieczorem Brenner zdążył jeszcze zajść do nocnej apteki. No i widzisz, że w życiu nie da się uciec od dzwonek, bo w tej nocnej aptece Brenner znowu musiał dzwonić. Ale kiedy aptekarka ukazała się w okienku, o mało nie zapomniał, po co przyszedł, niby po ten „pokój dla uszu”. Ponieważ ta aptekarka to była prawdziwa uczta dla oczu, po prostu dech mu w piersiach zapało.

No ale jak to w życiu bywa. Jeden śpi, a drugi gra w grę futbolową. Stół do gry ustawiony był w piwnicy tuż obok zamkniętych drzwi, którymi dawniej szło się do natrysków. Swego czasu spowiednik Schorn w czasie mszy niedzielnej też przeszedł przez te drzwi z małym Gottliebem, a teraz też się to działo podczas mszy niedzielnej, i też w pobliżu stołu do gry w piłkarzyki. Ale tym razem całkiem odwrotnie. Bo wtedy spowiednik Schorn otworzył drzwi do pomieszczeń natryskowych, a stół do gry pozostał osamotniony. A tym razem drzwi były zamknięte, ale przy stole pełny ruch.

Wiadomo, młodzież lubi ryzyko. A wagary z niedzielnej mszy to w Marianum szczyt ryzyka. Raz cię złapią i wylatujesz ze szkoły. Prędzej od ptaka. Nie było dyskusji, ksiądz rektor powiedział, jest nie do przyjęcia, żeby ktoś chodził do Marianum, które jako niższe seminarium duchowne ma przygotowywać kandydatów na księży i utrzymywane jest ze składek wiernych, żeby taki ktoś nie raczył nawet dnia świętego święcić. No bo młody rektor zawsze ma te wyrzuty sumienia, że wyciąga pieniądze z kieszeni najbiedniejszych emerytek, niby że rozprowadza formularze opłat, dlatego przy każdej okazji o tym wspomina.

No i teraz oczywiście pytanie za pięćdziesiąt punktów: dlaczego ci dwaj gracze podjęli takie ryzyko. Że na kilka dni przed końcem roku szkolnego wylecą ze szkoły, a w domu gdzieś za siedmioma górami koniec marzeń o wspianym zawodzie i zamiast zostać

słynnym ginekologiem, muszą jako przewodnicy górscy lub nauczyciele szkółki narciarskiej codziennie grzać łóżko dla innej niemieckiej seksturystki.

Dlaczego młody człowiek popełnia takie głupstwo, do końca życia tego nie zrozumie. Albo powiedzmy inaczej, do pewnego stopnia jestem w stanie to zrozumieć, bo gra w futbol stołowy to pierwszorzędna sprawa. A Unterhauser i Franz byli w drugiej klasie, czyli mieli po dwanaście lat, no i oczywiście to jest właśnie ten wiek, kiedy w człowieku budzi się pasja futbolowa.

Żebyś przypadkiem nie myślał, że Franz to imię, nie, on się nazywał Sebastian Franz, bo wiesz, w internacie chłopcy zwracają się do siebie tylko po nazwisku, jako że imiona są dobre dla dziewcząt. Franz miał rude włosy, no i to trochę komplikuje sprawę, bo grał nie czerwonymi, tylko niebieskimi zawodnikami. Czerwonymi grał Unterhauser, a kolor włosów właściwie żaden, bo ogolony na łyso, więc trudno poznać.

Franz grający niebieskimi miał za sobą schody prowadzące do piwnicy. I dlatego bez przerwy miał nieprzyjemne uczucie, że może akurat za jego plecami jakiś prefekt schodzi po schodach. Natomiast Unterhauser przynajmniej wiedział, że drzwi do natrysków są zamknięte na głucho, a gdyby na schodach pojawił się prefekt, to by go natychmiast zobaczył. Inna rzecz, że by mu to ostatecznie nic nie pomogło.

No i teraz, co jest takiego fajnego w futbolu stołowym, że z tego powodu uczeń gotów jest podjąć takie ryzyko? Najpiękniejszy w piłkarzykach jest ten huk, jak ładujesz kulę do bramki.

No i kiedy Franz, trzymając swojego niebieskiego bramkarza, lewą ręką ustawił sobie piłkę, po czym puścił pałąk z bramkarzem i oparty lewym łokciem o krawędź stołu tuż za swoim bramkarzem chwycił pałąk bramkarza prawą ręką, przymknął prawe oko, a lewym namierzył cel - nagle jego bramkarz drgnął gwałtownie, a kula jak błyskawica wystrzeliła do przodu, minęła niebieskich obrońców, czerwonych napastników, niebieskich pomocników, następnie czerwonych pomocników, wreszcie niebieskich napastników i ruską obronę czerwonych obrońców Unterhausera i bramkarzem Unterhausera rąbnęła w bramkę! Alleluja! Alleluja! Po trzykroć alleluja! Tak właśnie huknęła piłka w bramkę Unterhausera. Aż obaj gracze na chwilę zdrętwieli ze strachu, czy przypadkiem tego wybuchu nie słyhać było aż na

czwartym piętrze w kaplicy albo czy nie spowodował trzęsienia podnóżków w ławkach, w których klęczeli inni uczniowie.

A druga strona medalu to wieczne utrapienie z piłkami, były dni, kiedy po prostu nie chciały wracać do punktu wyjścia po strzeleniu bramki. No ale co tam, w sumie były przecież trzy piłki, więc zostały jeszcze dwie.

Potem jeden jeden dla Unterhausera i wtedy piłka elegancko się wytoczyła, ale kiedy z kolei Franz błękitnymi figurkami podniósł na dwa do jednego, piłka znowu utknęła.

Tylko nie myśl czasem, że to wina stolarza internatowego, który sam zbudował stół do gry. Przeciwnie, to był wspaniały futbol stołowy, remont generalny tylko w wakacje, a mimo to do ostatniego dnia szkoły - żadnych problemów, a to coś znaczy w takim internacie, gdzie wyrostki, których rozsadza energia, tak szarpią za te pałaki, że się aż rozgrzewają do białości. Tylko ten i ów piłkarz stracił głowę, na przykład dwaj obrońcy i jeden napastnik błękitnych, a w drużynie czerwonych to w ogóle połowa graczy bez głów.

Takiemu piłkarzykowi jest oczywiście wszystko jedno. A Franz i Unterhauser w tym momencie nie mieli pojęcia, że jeszcze tego samego dnia polecą ich własne głowy.

Jednak jak mówiłem, stolarz nic a nic nie był winien, sam wszystko zrobił, tylko figurki kupił hurtowo, no i widzisz, właśnie te figurki się połamały. Ale to nic, bez głów grały równie dobrze. Stół był dobrze wytarowany, a kąt nachylenia otworu na piłki za bramką doskonale dobrany, więc najpierw uczała dla ucha, kiedy piłka z hukiem uderza w drewnianą osłonę za bramką, prawie w tej samej chwili odskakuje w tył i bam!

o przednią ściankę bramki, a po chwili ten rozkoszny grzechot, gdy piłka majestatycznie toczy się we wnętrzu stołu w kierunku podajnika. I te trzy odgłosy to było właśnie to. Dlatego mówię: po trzykroć alleluja!

W ogóle byś tego stolarza nie posądzał o to, że taki z niego mistrz świata w konstruowaniu stołów do gry w piłkarzyki. No bo to taki niezgrabny kloc, a umysłowo też trochę nie tego. No bo w ogóle personel w Marianum - sprzątaczkę, posługaczkę w kuchni, malarze pokojowi, praczkę, jak by to powiedzieć - gabinet grozy Nie mówię oczywiście o

ładnych filipińskich dziewczętach, które misjonarze podsyłali do szkoły, aby się cywilizowały, ale pomagały też dzielnie w praniu i sprzątanii. Nie, chodzi mi tylko o rodzimych personel, bo to o nim uczniowie mawiali: gabinet grozy Księża po prostu wyszukiwali w zapadłych dolinach ludzi, którzy gdzie indziej w ogóle nie dostaliby pracy. Czyli troszeczkę to społeczne myślenie na pierwszym planie, chociaż z drugiej strony w tle troszkę zmysł oszczędności. Ale nie myśl, że ich trzymali na łańcuchu, przeciwnie, mogli się swobodnie poruszać, a czasem trafiła im się nawet jakaś naprawdę piękna praca, jak choćby ten stół futbolowy.

Teraz personel oczywiście też na mszy w kaplicy na poddaszu, mieli tam nawet własną ławkę dla personelu, a na dole w piwnicy Franz już po raz drugi nie mógł się rozkoszować trzykrotnym alleluja. No bo z trzewi stołu znów nie wydobył się charakterystyczny grzechot, kiedy piłka w szalonym tempie wpadła do bramki Unterhausera. Oczywiście nie zamierzam tego nicponia kreować na Bóg wie jakiego estety, najważniejszy był dla niego odgłos piłki walącej o ścianki jak huk armatniego wystrzału, te rzeczy, tocząca się piłka to była ostatecznie uboczna sprawa.

Z tym że brak odgłosu toczącej się piłki przeszkadzał Franzowi nie tyle w sensie estetycznym, ile raczej praktycznym. No bo wiadomo, jeśli piłka się nie toczy, to i nie wróci na miejsce. A to była już druga piłka, która utknęła pod bramką Unterhausera. Jedna wróciła na miejsce, ta, którą Unterhauser strzelił mu bramkę. I dlatego mieli już tylko jedną piłkę.

- Jak ci strzelę jeszcze jednego gola, to nie będziemy mogli dalej grać - zauważył Franz, który prowadził dwa do jednego.

- Ten łachmyta znowu zatkał szmatą otwór.

Musisz pamiętać, że w internacie był tylko jeden futbol stołowy na dwustu uczniów. No i stąd zażarte walki, dzikie wyścigi po schodach do piwnicy i w końcu to był też powód, że Franz i Unterhauser ryzykowali pobyt w internacie i zamiast mszy niedzielnej oddawali się grze. Chcieli raz w roku spokojnie pograć, nie narażając się na to, że jakiś większy i silniejszy chłopak złoł im skórę i wypędzi od stołu do gry.

Z tym że zagrożeniem byli nie tylko starsi, ale i młodszy, niby - intrygi. Na przykład

jeden sprytny pierwszak wymyślił taki trik, że zatykał szmatą otwór odprowadzający piłki. Bez piłki najwspanialszy stół futbolowy nie sprawia nikomu przyjemności, a kiedy wszyscy opuszczali piwnicę, spryciarz wyciągał szmatę i grał z kolegą przez cały czas wolny.

I teraz Unterhauser sięgnął do otworu pod swoją bramką, myśląc, że może uda mu się wyciągnąć szmatę. Tuż przy bramce otwór odprowadzający był na tyle obszerny, że można było spokojnie wsunąć dłoń, ale zaraz potem się zwężał, bo stolarz pięknie to wszystko obliczył i w otworze mieściła się tylko piłka.

- Nie mogę dosięgnąć - powiedział do kolegi.

Teraz Franz podjął próbę wyciągnięcia szmaty, ale nic z tego.

- Tam dalej jest zupełnie ciasno! - krzyknął przerażony.

Wyglądało to tak, jakby seminarzysta wpadł w kompletną panikę i nie mógł wyciągnąć ręki z otworu.

- No to grajmy tak - zdecydował Unterhauser. - Mamy jeszcze jedną piłkę. Teraz tylko ja mogę strzelać gole - zauważył ze złośliwą satysfakcją.

Jako że spod bramki Franza piłki wracały bez problemu.

Alleluja! W odpowiedzi na prowokację Franz oddał tak mocny strzał na bramkę przeciwnika, że nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby piłka przebiła drewnianą osłonę. Ale nie, stolarz nie był fuszerem, piłka wpadła do otworu i szlus.

- To by było na tyle - skomentował kwaśno Unterhauser.

Bo oczywiście trzecia piłka też utknęła, totalna blokada stołu, to tak jakby ci się odpływ w wannie zatkał i choćbyś wlał tony środków udroźniających, aż sąsiedzi dostaną biegunki z wymiotami od tych twoich zabiegów, odpływ jest szczelny jak diabli.

- Spróbuj jeszcze raz, może ci się uda.

Nic innego Franzowi nie przychodziło do głowy, bo msza jeszcze co najmniej pół godziny, to co mają ze sobą zrobić.

Ale druga próba Unterhausera też spaliła na panewce.

- Musi mieć strasznie cienkie ręce! - nie mógł się nadziwić.

Bo jak to możliwe, żeby ten sprytny pierwszak z taką łatwością wkładał i wyjmował szmatę.

Ale w tej chwili Franz wpadł na genialny pomysł:

- Może on ją włożył od dołu.

Schylił się i włożył rękę od strony podajnika, gdzie zwykle dwie piłeczki czekały już na wyjęcie, podczas gdy trzecia dopiero się toczyła. Ale tym razem podajnik był zupełnie pusty, Franzowi udało się wsunąć rękę w otwór aż po nadgarstek. Z tej strony otwór był wprawdzie węższy niż przy bramce, jednak nie tak ciasny jak środek prowadnicy.

- I co?

- Nic. Niente - odparł Franz.

Ojciec przywiózł kiedyś to powiedzonko z urlopu we Włoszech i od tej pory w domu mówiło się niente zamiast „nie”, a dzisiaj to nawet szczególnie pasowało, bo grał błękitnymi, czyli azzurro.

Ale teraz jeden do jednego w genialnych pomysłach, bo Unterhauser uniósł lekko stół po swojej stronie.

- Może wypadnie - stęknął.

Stół był drańsko ciężki, no i oczywiście prawo natury, im wyżej go podnosił, tym

stawał się cięższy.

I teraz taki obraz, z jednej strony Unterhauser podnosi stół, a z drugiej strony schylony Franz wsuwa rękę z boku w otwór prowadnicy aż po łokieć.

- Jak teraz opuścisz stół, to mi urwie rękę - powiedział Franz, wsuwając ramię odrobinę głębiej w otwór.

- I co? Czujesz coś?

Franz miał wciąż za plecami drzwi i schody do piwnicy. Ale w tej chwili żaden z nich nie myślał o tym, że któryś z prefektów mógłby nagle stanąć w drzwiach, a wtedy obaj szerokim łukiem przez te drzwi do piwnicy wylatują z internatu. Ciekawa sprawa, jak człowiek dostaje zadanie do wypełnienia, to przestaje się bać.

Postaw przed człowiekiem porządne wyzwanie, żeby na nim zęby połamał, i cała depresja wyparowuje jak kropelka potu na Saharze, czysta fatamorgana. Najlepszym przykładem na to byli Unterhauser i Franz! Bo teraz już nie chodziło wcale o grę w futbol, to był czysty idealizm, żeby wreszcie uwolnić piłki.

- Długo tak nie wytrzymam - wysapał Unterhauser.

Cała głowa poczerwieniała mu z wysiłku, była prawie tak czerwona jak te, które paru jego zawodników zdołało jeszcze zachować.

- Chyba coś mam - pisnął Franz głosem zmienionym przez mutację, wsuwając rękę w otwór aż po biceps. - Przechyl jeszcze odrobinę!

- Nie dam rady go utrzymać - stęknął Unterhauser.

- Coś jest!

- Nie wytrzymam dłużej!

- Mam!

Franz wyciągnął rękę z otworu, a ledwie zdążył to zrobić, Unterhauser spuścił stół z wysokości pół metra na podłogę. Huknęło tak, że obaj byli pewni, że w kaplicy na poddaszu musiało nastąpić całkowite zaćmienie słońca, bo w wyniku trzęsienia ziemi całe litry rozpuszczonego wosku ze świec zalały szklany sufit.

Ale na górze nikt niczego nie usłyszał ani nie zauważył, nie w tym problem.

- Pochwalony! - wykrztusił zaskoczony Franz.

W tym właśnie tkwił problem. Franz był zdrowym wiejskim chłopakiem jak z obrazka, władza kościelna na to właśnie kładła szczególny nacisk, żeby narybek kapłański miał zdrową wiejską krew, jak za Adama i Ewy, nieskażoną miejskim zepsuciem. A Franz był jaskrawym przykładem zdrowej chłopskiej psychiki. Nic nie mogło go wyprowadzić z równowagi. Może oczy odrobinę zmieniły wyraz, ale poza tym uosobienie spokoju. I jeszcze raz grzecznie wypowiedział słowa powitania:

- Pochwalony!

A może ten spokój nie brał się u niego z wiejskiego pochodzenia, nie czarujmy się. Może to jednak z powodu szoku. Do tego się jeszcze jakoś tak dziwnie roześmiał, co nie leżało w jego naturze, cała jego rodzina nie była skłonna do śmiechu, wiadomo, geny: chłop się nie śmieje, a u dobrego gospodarza parobek też nie szczyrzy zębów po próżnicy. I teraz pytanie: skąd u Franza ten śmiech?

Powiem tak: nie trzymał w ręce szmaty, trzymał w ręce - rękę. W dotyku przypominała oczywiście trochę szmatę. Wyobraź sobie, jakby to była rękawiczka, tylko że to było bez rękawiczki, a za to z ręką. I to właśnie tą ręką Franz potrząsał i tak grzecznie ją witał.

- Pochwalony! - powiedział jeszcze raz do ręki i z ręką w ręce popędził schodami na górę.

Na pierwsze piętro, na drugie piętro, wciąż grzecznie potrząsając ręką, na trzecie piętro, a kiedy na poddaszu otwarły się przed nim drzwi automatyczne do kaplicy, uderzył w jego uszy śpiew kolegów:

Do Ciebie, Matko, szafarko łask,

błagalne pienia wciąż płyną,

Twa dobroć świeci nad słońca blask,

nadzieją Tyś nam jedyną.

W cierpienia czas

pomocą darz

i nieustannie ratuj nas.

Franz wkroczył do przepelnionej kaplicy i dwieście śpiewających głów odwróciło się ku niemu.

- Pochwalony!

Oczywiście śpiew urwał się jak nożem uciął. Bo na widok uciętej ręki w ręce Franza w kaplicy zapanowała cisza, silentium, jakiego w seminarium nie udało się osiągnąć nawet podczas trzydniowych uroczystości maryjnych, po prostu - totalne silentium. Muszę dodać, że to był ostatni występ Franza w Marianum, bo on i Unterhauser jeszcze tego samego dnia trzymali w rękach co innego, mianowicie świadectwo wydalenia ze szkoły. Ale było to zejście ze sceny, którego ten i ów z kolegów po cichu Franzowi zazdrościł.

Pomyślałbyś, że Franz podłączył się do wzmacniacza, który stał z tyłu pod chórem dla mszy bitowych, tak wyraźnie słyhać było jego głos, kiedy idąc do ołtarza, powtarzał w kółko:

- Pochwalony!

A potem oczywiście jak na komendę całe zgromadzenie - terkot maszyny do szycia. Nie zapominaj, że wszyscy stali, wiadomo, klęczeć, siedzieć, stać, to już tak w kościele jest na zmianę, a śpiew oczywiście zawsze na stojąco. No i teraz wszystkim jak na komendę zaczęły klekotać kolana, taki zbiorowy napad drżączki, cała kaplica aż się od tego trzęsła. A jednocześnie podniósł się histeryczny krzyk, mówię ci.

Najpierw całkiem z przodu rozwrzeszczały się piskliwie ławki pierwszoklasistów, potem wszystkie górne głosy w ławkach za nimi, dalej ławki środkowe z rocznikami przechodzącymi mutację, wreszcie w tylnych ławkach głosy niskie - i tak ta fala krzyków przesuwała się w tył jak piłka przy perfekcyjnym strzale w futbolu stołowym, omijając swoich i przeciwników, a teraz krzyki przetoczyły się przez ławkę prefektów i uderzyły w ostatnią ławkę dla personelu niby piorun w kurzą fermę.

I możesz mi wierzyć, że przez cały ten czas ksiądz przy ołtarzu ryczał do mikrofonu:

- O Go! Go! Go!

Ale nie myśl, że to była msza bitowa czy gospel. Nie, po prostu odprawiający mszę prefekt z zajęczą wargą z wrażenia nie mógł wymówić „Boże!”, bo mu to „t” wypadało, więc zamiast „Gott” powtarzał wciąż „Go - Go - Go”.

W tej chwili tylko jeden człowiek w internacie zachował całkowity spokój. Bo „pokój dla uszu” okazał się niezawodny. I Brenner w pokoju prefektów pomocniczych spał sobie smacznie jak młody bóg.

To, że morderca zawsze powraca na miejsce zbrodni, jest regułą starą jak świat, zna ją każde dziecko. Jasne, że to bzdura, jak każda reguła, którą wszyscy znają. Bo jeśli byś jako morderca był przy zdrowych zmysłach, to wrócisz wszędzie - do miejscowości, gdzie spędziłeś dzieciństwo, tam, gdzie zrywałeś przebiśniegi dla mamusi, albo do szkoły, gdzie uczyłeś się tabliczki mnożenia, albo do ławki, na której siedziałeś ze swoją pierwszą miłością, do takich rzeczy każdy chętnie wraca, morderca czy nie morderca, bo morderca, tak jak i niemorderca, potrzebuje czasem trochę ciepła. Ale żaden morderca nie jest taki sentymentalny, żeby wracać na miejsce zbrodni.

Prędzej już ofiara mogłaby okazać się sentymentalna! I moglibyśmy na przykład powiedzieć: widzisz, ofiara wróciła na miejsce zbrodni.

No i w taki właśnie sposób konserwator archiwum arcybiskupiego Gottlieb Meller dwadzieścia osiem lat po pamiętnej lekcji higieny pojawił się w stole do gry w futbol niecałe pięćdziesiąt metrów od dawnych natrysków. Oczywiście zaraz policja na miejscu i w mig wszystko pięknie profesjonalnie wytropiono. Po pierwsze: morderstwa nie popełniono w piwnicy, ofiara została poćwiartowana na innym miejscu i dopiero później ukryta w stoliku do gry. Chociaż szczerze mówiąc, na to nie potrzeba eksperta policyjnego, tyle to ja sam mogłem powiedzieć, bo gdyby było inaczej, to Franz wcześniej by coś zauważył.

Ale tym razem policja rzeczywiście spisała się na medal, i natychmiast podejrzany: darmowe zupki. Bo w internacie codziennie dokarmiano różnych biedaków. Niektórzy z nich na dobre się zadamawiali. Czasem też nadużywali gościnności, taki jeden czy drugi sobie myślał, że może się zadekować na noc w ptaszarni albo w sali do minigolfa. Dlatego ksiądz rektor zawsze posyłał stolarza, żeby wszystko posprawdzał, można powiedzieć, łapanka, ale bezpieczeństwo uczniów oczywiście najważniejsze.

No i pamiętaj o jednym. Wszystko jedno, gdzie poćwiartowany - zawsze gdzieś by pozostały krople krwi, gdyby te dwadzieścia trzy części ofiary nie zostały starannie zapakowane każda w oddzielną torebkę foliową. W wypadku prawej ręki konserwatora torebka tylko dlatego się oblużowała, że Franz tak długo za nią szarpał, aż ręka wyszła na

wierzch. No i teraz już dla policji dziecinna sprawa, no bo kto może mieć przy sobie dwadzieścia trzy torby foliowe oprócz bezdomnego? Włóczęga, człowiek bez stałego adresu zamieszkania, jak to teraz mówią, u nas mówią śmieciarz, u Niemców walet, ale najlepiej to nazywają Anglicy, uważaj: człowiek z torbami plastikowymi.

Nie uwierzysz, ale sprawcę ujęto jeszcze tego samego dnia, bo sobie urządził miejsce do spania w dawnych natryskach. No i oczywiście wszędzie ślady ćwiartowania, rzeźnia to jeszcze za słabe określenie. Podejrzenie proste: konserwator musiał go wyśledzić, kiedy w poszukiwaniu przeszłości zjawił się w natryskach. No i człowiek z torbami plastikowymi go ukatrupił, broniąc swojego rewiru. Dokładnie się tego nigdy nie dowiemy, bo morderca się powiesił na jednym z pryszniców, dlatego go tak szybko znaleźli.

Najpierw zastrzyk adrenaliny, wszystko elegancko popakował, wyobrażam sobie, że miał świra na punkcie porządku, ale potem, jak już wszystko zapakował i upchnął po dziurach, to musiało wreszcie dotrzeć do jego świadomości, co tak naprawdę zrobił, no i powiesił się na kurku od prysznicza.

Ten człowiek kiedyś zapowiadał pogodę w telewizji, ale trafiły mu się trzy deszczowe lata z rzędu, widzowie oczywiście nie zostawili na nim suchej nitki, oglądalność gwałtownie spadła, wreszcie musieli go zwolnić. No i wtedy popełnił ten sam błąd co widzowie, zwałił winę na kogo innego, przejechał szefa stacji meteorologicznej, który mu dawał złe prognozy, próba zabójstwa, trzy lata pozbawienia wolności, a po wyjściu z ciupy już się nie pozbierał.

No a teraz taki go koniec spotkał, i to w słoneczny letni dzień, okropna historia. Ale dla dochodzeniówki bardzo dobra historia, bo recydywa to zawsze ułatwia sprawę, znaleźli nawet ślady krwi na ubraniu bezdomnego byłego prezentera pogody i ani się obejrzałeś, akta sprawy zamknięte.

Brenner znalazł się przez to w jeszcze trudniejszej sytuacji. No bo jedyny świadek zniknął, to co z tym kandydatem na biskupa Schornem? Kogo ma teraz spytać, czy prałat Schorn tego zmarłego ze stołu futbolowego przed laty troszkę tego? Te drobne sprawy są często o wiele trudniejsze do rozwikłania niż ewidentne sprawy morderstwa. Najlepiej oczywiście byłoby nawiązać kontakt z żoną zmarłego, niby wdową. Ale z wdową zawsze trudna sprawa, jako że pogrążona w smutku i tak dalej. A w tym wypadku jeszcze trudniej niż

zwykle, bo wdowa była córką zastępcy szefa festiwalu.

Dlatego Brenner odczekał parę dni, postanawiając, że najpierw porozmawia z ludźmi w internacie. Ale nie było za bardzo z kim rozmawiać, bo właśnie zaczęły się wakacje i cały budynek nagle jak wymarły. Zniknęli uczniowie, zniknęli nauczyciele, prawie cała obsługa, filipińskie dziewczęta poleciały do domu, tak że na miejscu został tylko ksiądz rektor i paru prefektów.

Brenner zaczął nawet myszkować po wszystkich kątach, ale nie znalazł nic poza zdjęciem grupowym personelu obok śmietnika za stolarnią, na którym ktoś powycinał większość twarzy, pewnie jakiś majsterkowicz. Samo w sobie nie było to nic takiego, jednak kiedy właśnie poćwiartowano człowieka na dwadzieścia trzy części, no to zwracasz uwagę na takie rzeczy. I wtedy Brenner zaczął rozumieć tubylców, którzy wpadają w szal, bo na zdjęciu ucięło któremuś na przykład rękę.

To uświadomiło Brennerowi ostatecznie, że dłużej niepodobna czekać. Tak więc na drugi dzień po pogrzebie odważył się wreszcie wdrapać do mieszkania wdowy. Wdrapać - bo ona oczywiście też na Mnisim Wzgórzu, ojciec na Wzgórzu Kapucynów, a córka na Mnisim Wzgórzu, mogliby sobie zaglądać do okien przez lornetki ponad dachami miasta.

Ale nie Brenner wycisnął z wdowy wspomnienia, to wdowa obudziła w nim wspomnienia. Posłuchaj, to bardzo ciekawe.

Jak Brenner jeszcze sam chodził do szkoły, do gimnazjum w Puntigam, popełnił kiedyś gruby błąd. Rozbitą szybę pewnie by jakoś wybaczone młodocianemu chuliganowi, wiadomo: gimnazjum ogólnokształcące, takie rzeczy mieszczą się w stylu życia uczniów. Ale że rozbił szybę w ten sposób, że wkopał kota sąsiada niby piłkę futbolową z chodnika wprost do salonu sąsiada - to trochę szumu w mieście narobiło.

I jak teraz wdowa bezceremonialnie wyprosiła go z mieszkania tylko dlatego, że odważył się zadzwonić do drzwi, to mu się przypomniało, jak to on kiedyś wprosił kota do domu, niby: bez litości. Wdowa odwołała nawet od drzwi azjatycką służącą, żeby osobiście przepędzić nieproszonego gościa. Młoda wdowa o zielonych oczach i blond grzywie sama zresztą przypominała kocicę.

Wtedy w Puntigam kotu oczywiście nic się nie stało. Wiadomo, kot zawsze spadnie na cztery łapy. Oczywiście angorskie włosie fruwało dokoła, sąsiadka mogła sobie z niego zrobić sweter na drutach, ale poza tym nic, kot nie kulał, wszystko cacy. A efekt pedagogiczny po prostu niesamowity, bo kot odtąd przez wiele długich dni nie przesiadywał na chodniku i nie gapił się głupio dokoła. No bo jak masz trzynaście lat i przez cały dzień wałęsasz się po chodnikach i gapisz się głupio dokoła, to cię wnerwia, jak cię byle kot naśladuje.

No i teraz w wypadku Brennera też niesamowity efekt pedagogiczny. Bo trzeba uczciwie przyznać, że detektyw był, jak to mówią, „wolnomyślicielem”, niby takie umysłowe wałęsanie się po chodnikach. No i czasem musiał dostać na rozpęd. Założę się, że tylko z powodu kopniaka otrzymanego od zielonookiej kocicy tak szybko sobie przypomniał o starej znajomej z czasów, gdy jako pracownik dochodzeniówki stacjonował w Salzburgu, a która miała wobec niego dług wdzięczności.

W związku z tym bez namysłu zbiegł ze zbocza i bez namysłu wbiegł do gmachu opery, gdzie panna Schuh była wtedy sekretarką. I jak tylko otworzył drzwi do sekretariatu, panna Schuh zerwała się z miejsca i wykrzyknęła:

- No proszę, pan Jose!

Tylko żebyś czasem nie pomyślał, że Brenner tak się zmienił przez tych kilka lat, że sekretarka go nie poznała. Przeciwnie. To było najlepsze powitanie, jakiego tylko mógł sobie życzyć. Po to tu przecież przyszedł, bo ta panna Schuh miała wobec niego dług wdzięczności w związku z tą historią z Josem.

Wiesz, chodzi o tego argentyńskiego tenora, który wtedy robił furorę na festiwalu, no i kobiety oczywiście jak zwariowane - oblegały hotel, wszystko! Bo wiesz, jak taki Latynos poruszy sentymentalną nutkę, to nasze kochane mieszczańskie córki po prostu tracą rozum, nie uwierzyłybyś.

No dobrze: oblegają hotel, wdzierają się na scenę, na to sobie jeszcze jako tenor operowy mogą pozwolić. Ale telefony nie! I wtedy właśnie podejrzenie padło na pannę

Schuh. Brenner miał za zadanie to zbadać, no i oczywiście z punktu sprzeciw: nie uwierzę, żeby to była ta stara panna. No bo panna Schuh troszkę, że tak powiem, uosobienie. Koścista baba w okularach, które były pewnie jeszcze o kilka wieków starsze od samej panny. Włosy tak mocno szczywyła do tyłu, że na sam widok czuleś ból na głowie. A usta miała tak cienkie, wprost mikroskopijne, po prostu nie sposób zrozumieć, jak jej się udawało nakładać na nie tę jaskrawoczerwoną szminkę.

- Cóż to pana do mnie sprowadza? - uśmiechnęła się promiennie do Brennera. - Czy znowu jestem podejrzana?

- Niestety tak.

- O to, że pocięłam na kawałki zięcia naszego zastępcy szefa?

O la, la! Zachowywała się zupełnie inaczej niż wtedy. Może wtedy była taka skruszona z powodu tego okropnego oskarżenia o telefony. Zwłaszcza kiedy się okazało, że pan Jose teraz już prawie codziennie zmieniał numer telefonu, a mimo to wciąż te natrętne wielbicielki.

Wyobraź sobie, czasem nawet tuż przed występem dzwonił telefon, wytrącając go zupełnie z równowagi. No i wiadomo, zaraz podejrzenie, to musi być ktoś z sekretariatu, no bo kto by znał te wszystkie numery. A panna Schuh oczywiście największa fanka pana Josego, zdjęcia, autografy, chusteczki, wszystko zbierała. No i ta sprawa wymowy. Wszystkich doprowadzała do szału ciągłymi pouczeniami:

- Nie mówi się Żose ani Czose, ani Iose, ani Kose! Mówi się Hose!

I dlatego panna Schuh główna podejrzana, bo ta fanka przez telefon ciągle robiła aluzje do wymowy imienia tenora, „Jose, uważaj, bo stracisz Hose” (Hose po niemiecku „spodnie”), no i jeszcze gorsze rzeczy.

Ale Brenner w trymiga rozwiązał zagadkę. Okazało się mianowicie, że pan Jose nie stracił „Hose”, tylko głos. Po prostu potrzebował wymówki z powodu fatalnych występów i dlatego wymyślił te telefony. Oczywiście nigdy więcej nie wystąpił na festiwalu salzburskim, no ale to kolejny przykład, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, bo w

Baden-Baden przyjęli go z pocałowaniem ręki, nie zważając na marny głos, i zrobił tam wielkie pieniądze, mówię ci.

No i właśnie dlatego Brenner sobie przypomniał, że panna Schuh miała względem niego dług wdzięczności. Bo panna Schuh wprawdzie nigdy w życiu nie szeptała do telefonu, ale za to z uwagi na swoją funkcję nasłuchiwała się wielu rzeczy przez telefon, więc wiedziała o ludziach rzeczy, których nawet oni sami o sobie nie wiedzieli.

- Chce pan wiedzieć, co to było za małżeństwo!

Mówiąc to, patrzyła na niego wyzywająco przez grube szkła. Bo widzisz, jej nie trzeba było nawet stawiać pytań. Ani wyjaśniać, że przyszło się do niej w sprawie zabójstwa Gottlieba Mellera. Ona wszystko sama wiedziała. No bo rzeczywiście chciał się od niej dowiedzieć, jak się układało w małżeństwie córki zastępcy dyrektora i Gottlieba. Ale teraz specjalnie udał, że ją źle zrozumiał.

- Nie wiedziałem, że pani wyszła za mąż.

- Ja?

Stara panna zaczerwieniła się jak burak, aż Brenner się zdziwił, że śnieżnobiały kołnierzyk się od tego nie zabarwił na czerwono.

Bo Brenner całkiem nieźle poznał pannę Schuh wtedy w ciągu tych paru dni, kiedy rozwiązywał zagadkę argentyńskiego tenora. Pamiętał, że przykładła wielką wagę do tego, aby ją tytułować panną, nie panią, chociaż miała dorosłego syna. Był to jedyny mężczyzna w jej życiu, co do tego nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Urodziła go w roku 1964 i dotąd nikomu nie zdradziła, kto jest jego ojcem.

Nie lubię opryskliwych kobiet, ale z drugiej strony, jak któraś zatka ci gębę ciętą odpowiedzią, to robi wrażenie. A panna Schuh na pytanie, kto jest ojcem jej dziecka, odpowiadała każdemu:

- W każdym razie nie Duch Święty!

Chyba że kogoś obdarzyła sympatią, to wówczas zdradzała mu w sekrecie:

- To był John F Kennedy, tylko nie mów nikomu. Dlatego nosi po nim imię.

No bo w roku 1963 był ten zamach na Johna F Kennedyego, wiesz, w Ameryce, to był pierwszy mąż tej Jackie Onassis, wszyscy wtedy o tym mówili, a coś ty myślał, a po drugiej stronie barykady Lee Harvey Oswald, o, widzisz, nie jest tak źle z moją pamięcią.

Dlatego Brenner oczywiście doskonale wiedział, że nie miała na myśli własnego małżeństwa. Ale to, że udał, że nie rozumie, to nie była czysta złośliwość. Po prostu wiedział z doświadczenia, że jak sobie ktoś sam zadaje pytania, to odpowiedź na pewno nie będzie prawdziwa.

Jednak panie Schuh niełatwo było zabrać wiatr z żagli. Natychmiast zamieniła się w okropne czupiradło o zaciętych wąskich wargach, jakim ją wtedy poznał, i szczerknęła głosem zarezerwowanym dla cuchnących posłańców na rowerach:

- Tylko pana mi jeszcze dzisiaj brakowało. Czego pan właściwie chce ode mnie?

- Chciałem panią tylko spytać, jak się układało w małżeństwie córki pani dyrektora z Gottliebem Mellerem.

- Zastępcą dyrektora - poprawiła przez ramię, bo właśnie otwierała szafę z aktami.

Tylko nie wyobrażaj sobie, że szukała dokumentów na temat tego małżeństwa. Nie, po prostu za najgrubszym segregatorem miała schowaną butelkę cointreau. Musiała udowodnić Brennerowi, że nie dopuści, aby stawiał jej pytanie, które ona sama sobie już wcześniej postawiła.

Ale z drugiej strony może to i nie był błąd, że najpierw wypili po kieliszeczku cointreau, bo jak trafi na siebie dwóch uparciuchów, to alkohol jest często jedynym ratunkiem. W ogóle muszę powiedzieć, że bez alkoholu ludzkość pewnie dawno by już zginęła. I dlatego według mnie to małoduszność, żeby się ciągle użalać nad ofiarami

alkoholu. Choć z drugiej strony nie można też negocjować ofiar, bo gdyby panna Schuh zaraz po pierwszym kieliszku nie zrobiła się taka rozmowna, to prawdopodobnie mielibyśmy teraz o trzy trupy mniej.

- A więc chce pan wiedzieć, jakie było to ich małżeństwo!

W pracy od lat wszyscy to wiedzieli: panna Schuh nie popuści, choćby się świat miał zawalić, jak panna Schuh mówi, że słońce wschodzi na zachodzie, to słońce wschodzi na zachodzie, i oszczędzisz mnóstwo energii, jeśli to przyznasz od razu. I Brenner zaczynał to rozumieć. Dlatego tylko skinął głową, niby: zróbmy raz wyjątek, niech to stare pudło samo stawia sobie pytania.

- W ogóle nie było małżeństwa - odpowiedziała sobie panna Schuh na pytanie i ponownie napełniła kieliszki. - Teraz na pewno chciałby pan wiedzieć, co mam na myśli, mówiąc, że w ogóle nie było małżeństwa. To proste. Nie powinna była w ogóle wychodzić za tego pocziwca Gottlieba. To nie był właściwy mężczyzna. Na pewno chciałby pan wiedzieć, co przez to rozumiem.

- Mogę to sobie wyobrazić.

Jak myślisz, jak na niego spojrzała? Spojrzenie bazyliuszka.

- Dlaczego się nie rozwiodła? - udało się Brennerowi zadać pytanie.

- Powinien pan raczej spytać, dlaczego za niego wyszła - warknęła stara panna. - Mogę panu odpowiedzieć na to pytanie: bzik społeczny!

- Bzik społeczny?

Ze strony Brennera nie było to właściwie pytanie, bo mniej więcej się domyślał, o co tamtej chodzi. Ale wyobraź sobie, akurat w tym punkcie stara panna pospieszyła z wyczerpującą odpowiedzią.

No bo faktycznie interesująca sprawa. Że dzieci bogatych ludzi też nie zawsze mają

łatwo w życiu. Oczywiście dziewięćdziesiąt procent możesz zapomnieć, bo tylko niewielu wychodzi bez znieczulicy z przyuczenia do jazdy kabrioletem. Ale z drugiej strony dziewięćdziesiąt procent zwykłych ludzi - zapomnij! Jasne, że pieniądze wypaczają charakter, wcale nie zamierzam temu przeczyć. Jednak bieda też wypacza charakter, mierne pieniądze też wypaczają charakter. Charakter to w ogóle delikatna roślina. No za to na pocieszenie można powiedzieć, że na przykład niektóre warzywa smakują najlepiej, jak są trochę przywiędłe.

Ale córka dyrektora zawsze pośród tych dziesięciu procent. Wzór człowieka od najmłodszych lat. Nie było tam żadnych kabrioletów, żadnego surfing, nic z tych rzeczy, za to dwa razy w tygodniu jako wolontariuszka chodziła sprzątać w domu starców. Ciągłe ten zmysł społeczny, robienie skarpetek na drutach dla seryjnych morderców, studiowała nawet opiekę społeczną na akademii, ojciec omal jej nie wydziedziczył, okupacja pustostanów, pomoc azylantom, haszysz i tak dalej i tak dalej.

- Ale najgorsze było oczywiście to - podjęła szeptem stara panna.

Nie zapominaj, że Brenner zbliżał się do pięćdziesiątki, a w tym wieku pojawiają się pierwsze objawy starzenia. No i teraz zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma już tak przytępionego słuchu, że nie dosłyszał, co było najgorsze.

- No co? - wyrwało go z tych lęków pytanie panny Schuh.

Bo ona wcale nie dokończyła zdania, tylko jak ta nauczycielka, co chce zmusić ucznia do współpracy, zachęcała Brennera do myślenia, niby w sensie: zobaczmy, jaki z ciebie detektyw.

No a Brenner tak się ucieszył, że z jego słuchem wszystko w porządku, że wystrzelił z odpowiedzią jak z pistoletu:

- Najgorsze było oczywiście to, że wyszła za mężczyznę, który nie dał zastępcy dyrektora wnuka, bo jego jedyna historia łóżkowa to było leżenie na kanapie u psychiatry.

- Na zdrowie!

I panna Schuh wychyliła trzeci kieliszek cointreau.

- A teraz może pan pytać.

- Wydaje mi się, że o najważniejsze rzeczy już spytałem - oświadczył Brenner.

No bo po trzech kieliszkach cointreau człowiek ma przekonanie, że już o wszystko zapytał, na tym polegają wielkie zasługi alkoholu.

- A nie interesuje pana, jaki był stosunek naszego zastępcy do zięcia?

- To już wiem - upierał się Brenner.

- Aha.

- Jego terapeuta powiedział mi, że ostatnio było ciężko.

- Terapeuta! - prychnęła panna Schuh.

- Doktor Prader.

- Do niego ludzie chodzą tylko dlatego, że po wizycie mają blisko, żeby się rzucić w przepaść.

- Wygląda na to, że dyrektor przypierał go do muru.

- Gottlieb, biedne niewiniątko - zaintonowała stara panna niby diwa operowa.

No bo oczywiście jako mała dziewczynka marzyła o karierze śpiewaczki, ale niestety głos nie taki, jako śpiewaczka daleka od ideału, jako sekretarka - ideał. Od czasu do czasu ironiczne trele, tyle pozostało z dziewczęcych marzeń.

Po czym wyciągnęła jakąś broszurę i podsunęła Brennerowi pod nos. Na karcie

tytułowej pięknymi złożonymi literami wypisane było: „Duch przodków”, i Brenner z nabożeństwem wodził palcami po wspaniałych tłoczeniach.

- To prywatne towarzystwo naszego zastępcy Postawił sobie za cel ożywienie ducha ojców założycieli festiwalu salzburskiego. Hugo von Hofmannsthal i Ryszard Strauss.

- Bardzo interesujące - powiedział Brenner.

Bo trzeba ci wiedzieć, że zrobił postępy od tamtego czasu, kiedy to się jeszcze nie interesował muzyką klasyczną. Teraz wiedział przynajmniej, że nazwisko Strauss to śliska sprawa, trzeba piekielnie uważać z imionami, bo nie każdy Strauss jest automatycznie królem walca. Hofmannsthal to już łatwiejsze, bo był tylko jeden i miał na imię Hugo.

- Nasz zastępca poprosił Gottlieba, żeby mu zaprojektował logo dla towarzystwa. Gottlieb był dyplomowanym grafikiem. Był konserwatorem, wiedział pan?

- W archiwum archidiecezjalnym.

- A oto rezultat - powiedziała stara panna, wskazując na cztery nuty tańczące na głowie Hugona von Hofmannsthal.

- Czy to nuty z jakiejś znanej opery? - spytał Brenner.

- Nasz zastępca też z początku tak myślał - zachichotała stara panna i przeczytała nuty: - a-f-d-h.

- Temat muzyczny?

- Owszem, temat - zaśmiała się stara panna tak kwieście, że niespełnione marzenie dziewczęcia wyszło jasno jak na dłoni. - Dopiero gdy nakład został wydrukowany, szanowny zięć objaśnił naszemu zastępcy, co oznaczają te nutki.

- Nowoczesna muzyka?

Potrząsnęła głową:

- Jeszcze gorzej. To w ogóle nie jest temat muzyczny. Te nutki nie oznaczają muzyki, to skrót.

- Jak się te nuty nazywają?

- a-f-d-h.

- Ale to nie nuty, tylko skrót?

- Alles - fur - den - Hugo.

Brenner zamrugał oczami.

- Alles fur den Hugo?

Wszystko dla Hugona? Myślał gorączkowo i od razu przyszła mu do głowy córka zastępcy dyrektora, pewnie dlatego, że go przepędziła z domu jak psa albo kota, no bo po niemiecku mówi się: „Alles fur die Katze!”, wszystko dla kota, czyli wszystko do kitu.

- Ale zastępca uznał, że to wcale nie jest zabawne - przerwała stara panna jego myślowe dywagacje.

Mówiła teraz tak cicho, jakby się bała, że stary głośnik na scenie, za pośrednictwem którego w sekretariacie można było słuchać przedstawień, przewodzi głos w drugą stronę i że po tamtej stronie zaczął się zastępca i podsłuchuje, co się mówi w sekretariacie.

- Między nami mówiąc - szeptała - w tym ultrakonserwatywnym towarzystwie wszystko jest trochę...

-... dla Hugona.

- Do kitu - przytaknęła panna Schuh. - Można to tak określić. Dopiero miesiąc temu

Gottlieb wypuścił kota z worka.

- Czyli Hugona.

- No właśnie, Hugona.

- A co z córką?

- Ona już od dawna jest z ojcem na stopie wojennej.

- Nie pasjonuje się muzyką Hugona?

- Córka owszem! - obudziła się znów w starej pannie diwa operowa. - Córka owszem!
- zaśpiewała, tak pięknie modulując samogłoski, jakby startowała w konkursie muzycznym.

- Córka owszem - powtórzył Brenner, ale u niego wyszło to zupełnie bezbarwnie. - A ojciec?

Uśmiechnęła się drwiąco.

- Nie ma słuchu?

Bo jego nauczyciel muzyki w szkole w Puntigam zawsze powtarzał, że słuch jest ważniejszy od głosu, przykład - Louis Armstrong.

- Słuch i owszem - powiedziała panna Schuh, pocierając przy uchu kciuk i palec wskazujący.

- Ale raczej do Mozarta na banknotach o nominale pięciu tysięcy szylingów?

- I w dodatku chcą te banknoty skasować - westchnęła stara panna, jakby to też była wina szefa.

- Nowe banknoty na pewno miło szeleszczą w jego uszach.

- O tak. W sprawach biznesowych jest bardzo nowoczesny.

- Ale jeśli chodzi o muzykę Hugona, nie ma z nim żartów?

- Córka zawsze mu to wypominała. Wie pan, córki chętnie oskarżają ojców o podwójną moralność.

- Nie wiedziałem.

- To teraz pan wie!

- Ale jeśli jest taką miłośniczką muzyki, to przynajmniej tyle z tego ma, że może oglądać przedstawienia festiwalowe. Nie musi stać w kolejce po bilety.

- Nie znam drugiego człowieka, który by się tak tymi przedstawieniami pasjonował. Nawet teraz, kiedy mąż dopiero tydzień temu zmarł, nie może z nich zrezygnować.

- A ja miałem wrażenie, że od tygodnia nie wychodzi z domu. Wypędziła mnie jak psa. Omal nie wleciałem przez szklany dach do tej pani skalnej karuzeli prosto z jej ogrodu.

I wtedy panna Schuh się roześmiała. Najpierw Brenner pomyślał, że mu się udało dowcip, no bo rzeczywiście przez otwarty dach często rzucają się ze skały na scenę samobójcy. Ale nie, ona się śmiała dlatego, że to wcale nie była wdowa.

- Ojciec tylko wypożycza jej tę willę na Mnisim Wzgórzu. Przecież ona by sobie nie mogła pozwolić na taką chatę z pensji pracownika opieki społecznej. Dlatego każdego lata musi się wyprowadzać, a ojciec willę wynajmuje, żeby mu się koszty zwróciły. Dlatego zięć przez całe życie się na niego boczył. Niech pan sobie wyobrazi, dorosły człowiek co roku musi się na dwa miesiące wynosić z własnego mieszkania!

Czyli ta kocica z blond grzywą to nie była wcale wdowa. A Brenner już się zaczynał dziwić, jak ktoś może być tak przebojowy po tragicznej śmierci męża.

- No to gdzie wtedy mieszka?

- Oczywiście u ojca. On mieszka sam w tym ogromnym domu. Ale wiem, gdzie pan ją może łatwiej spotkać. Jutro będzie w operze, przedstawienie przedpremierowe.

- Obawiam się, że nie mam biletu.

- Obawiam się, że to się da załatwić - uśmiechnęła się stara panna.

Wyciągnęła darmowy bilet, który miała schowany w tym samym miejscu, co butelkę cointreau.

- Zwróciła bilet zmarłego męża.

- Zmarłego - zmarszczył czoło Brenner. - Co by pani zrobiła z tym biletem, gdyby nie ja?

Stara panna położyła palec tam, gdzie inni ludzie mają wargi.

- Sprzedałabym. Ale to surowo zabronione.

- Sprzedałaby pani na czarno?

Teraz Brenner oczywiście miał opory, by przyjąć bilet. Pomyślał sobie, że taki bilet kosztuje krocie. Musisz wiedzieć, że Brenner był raz przed wiekami w operze, wycieczka uczniów szkoły policyjnej do Opery Wiedeńskiej. Było ciekawie, ale na przerwie odkryli bar ze striptizem, no i wtedy, wiesz, to tak jak bawiące się dziecko zapomina o bożym świecie. Więc już nie wrócili do opery. I chociaż mieli tylko tanie studenckie wejściówki, Brenner sobie wmówił, że wizyta w operze go zrujnowała.

I dlatego teraz za nic w świecie nie chciał przyjąć biletu. Ale to by było pierwszy raz w życiu, że się ktoś sprzeciwił pannie Schuh. I muszę na jej obronę powiedzieć, że bilet był pokaźnych rozmiarów, wydrukowany na twardym papierze. I ona po prostu wsunęła mu ten bilet do tylnej kieszeni spodni, przy czym utkwivszy w nim nieruchome spojrzenie,

zaintonowała z udanym hiszpańskim akcentem:

- Hoseee! Wsuwam ci go w Hoseee.

Brenner mógłby przysiąc, że to był ten sam głos, który wtedy nagrali na taśmę. Jednak jak długo można pamiętać czyjś głos, a panna Schuh miała wykształcenie muzyczne, potrafiła takie coś naśladować, niby: słuch ważniejszy od głosu.

Ale nie miał już czasu na takie rozważania. Musiał się pospieszyć, bo za parę godzin przedstawienie, a tu jeszcze trzeba jakiś garnitur zorganizować.

Tyle mogę już teraz powiedzieć: na przedstawieniu przedpremierowym Brenner tak łatwo nawiązał kontakt z córką dyrektora, że aż się sam zdziwił. Ale dla dwojga ludzi, na których padło w ciągu kilku następnych dni, to był jednak temat a - f - d - h.

5

Większość oper ma na początku taki kawałek, kiedy jeszcze nie śpiewają. Już sama ta część trwa zwykle dosyć długo i Brenner nie mógł wyjść ze zdumienia, jak dobrze się myśli, słuchając tego jednym uchem. Bo taka muzyka to ma w sobie tyle wyrafinowanej kompozycji, że to działa zaraźliwie i od razu jesteś lepszy w myśleniu.

No i Brenner sobie to wszystko jeszcze raz poukładał w głowie: ile jest prawdy w tych pogłoskach, że kandydat na biskupa Schorn wtedy Gottlieba trochę tego. To moje zadanie. Czy to rzeczywiście ten bezdomny zapakował Gottlieba do stołu futbolowego. To nie moje zadanie. Gdyby mi się udało podczas przerwy nawiązać rozmowę z tą kobietą, która siedzi obok mnie. To by było dobrze. Tylko jak? Oto jest pytanie.

Sam widzisz, chodzi o to rytmiczne pojawianie się myśli. Ten rytm brał się z muzyki. No bo rytmy są zawsze zaraźliwe i teraz Brenner nawet zaczął oddychać w spokojnym rytmie.

Ale się nie obudził, bo bezpośrednio po muzyce zaczął się śpiew, niby szok sopranowy. Obudził się dopiero wtedy, gdy któremuś z widzów zadzwonił budzik zegarka kwarcowego. Pewnie myślisz, że ten gość go zaraz wyłączył. Ależ skąd! Aż się Brenner obudził od tego dzwonięcia. No i wtedy oczywiście zrobiło mu się strasznie głupio.

- Przepraszam - powiedział szeptem, bo się zorientował, że zasnął na ramieniu siedzącej obok niego wdowy.

Uważam, że coś takiego zawsze może się zdarzyć, pociąg, teatr, opera, niby że ktoś przyśnie na ramieniu obcej osoby. No i wdowa wcale nie była zła. Wysoka, może trzydziestoletnia kobieta ostrzyżona na chłopca, o sympatycznym uśmiechu, ocenił Brenner. Jako że się do niego uśmiechnęła, mówiąc szeptem:

- Niech pan lepiej wyłączy budzik, zanim ktoś wpadnie w szal.

No bo od obcego zegarka pewnie by się nie obudził. Ale na swój jesteś niejako

nastawiony, zbudzisz się z najgłębszego snu.

Jasne, że to była sytuacja trochę nieprzyjemna dla Brennera. Ale ciekawa sprawa, że w życiu klęska okazuje się często koniec końców strzałem w dziesiątkę. Kiedy na przykład sobie mówisz, widzisz, gdyby mi nie spłonął dom, gdybym nie stracił dobrze płatnej posady i ślicznej żony, to pewnie nigdy bym nie wyciągnął ze śmietnika tej pasjonującej krzyżówki.

No i z Brennerem znów typowa sytuacja, że przez tę nieprzyjemną sprawę z zaśnięciem rozwiązał się problem, jak tu zagadnąć wdowę po Gottliebie. Bo to ona pierwsza go zagadnęła, gdy wychodzili na przerwę.

- Zdaje się, że muzyka pana specjalnie nie interesuje - powiedziała, uśmiechając się swoim sympatycznym uśmiechem.

Poza tym nie była szczególnie atrakcyjna, trochę za wysoka jak dla Brennera, cera trochę za bardzo ciastowata, nieco drewniane ruchy, ale patrz, że takie rzeczy się zdarzają, ten uśmiech mimo wszystko czynił ją atrakcyjną. Tylko żebyś zaraz nie pomyślał, córka zastępcy dyrektora to pierwsza wizyta u dentysty trzy dni po urodzeniu, a potem buzia pełna zębów jak u tych Amerykanów albo u wiejskich muzykantów z tymi ich szczękami jak bramka kolejowa. Nie, po prostu naturalny sympatyczny uśmiech, jak to się teraz rzadko zdarza.

- To zależy od muzyki - odparł Brenner.

Nie przestawał klaskać, przeciskając się między rzędami, niby: zadośćuczynienie.

A odpowiedział zgodnie z prawdą: bo kiedy na przykład w czasach jego młodości w Puntigam Jimi Hendrix zębami szarpał struny gitary, nie przepuścił żadnej okazji, żeby go podziwiać. Specjalnie muzykalny nie był, już sama kanciasta postura jakoś na to wskazywała, ale jeśli chodzi o Jimiego Hendriksa, to chwycił nawet subtelne różnice. Zawsze powtarzał, młodego Jimiego rozpoznaś po brzmieniu gitary, a późnego Jimiego po głosie. Wiadomo, narkotyki zmieniły mu głos. W szkole policyjnej lubił się popisywać takimi wiadomościami, bo też w męskim gronie łatwo zabłysnąć, jak się ma poglądy.

A kolega ze szkoły policyjnej, a właściwie trzeba powiedzieć, najlepszy przyjaciel,

Irrsiegler, to tak się pasjonował Jimim Hendriksem, że nawet zaczął się uczyć gry na gitarze. Brenner do dziś pamiętał, jak ćwiczył akordy, to było nie do wytrzymania. Pierwszy tydzień tylko akord E-dur, drugi tydzień tylko akord C-dur, trzeci tydzień tylko akord A-dur, a w czwartym tygodniu zginął w wypadku motocyklowym.

Nie ma co ukrywać. Czasem tych dziewiętnaście lat spędzonych w policji dawało o sobie znać. Na pewno nie było szczytem delikatności, że bez namysłu opowiedział córce zastępcy dyrektora, jak to Irrsiegler uczył się grać na gitarze. Przecież ona dopiero co straciła męża. A do tego wdowa pod wrażeniem muzyki, no i od razu łzy w oczach.

- Przepraszam - mruknął speszony Brenner.

A wdowa wykrztusiła, dzielnie powstrzymując łzy:

- Niech pan szybko powie coś głupiego!

- Właśnie powiedziałem.

- To prawda. Ale nie chciałabym się tu rozryczeć. Niech pan coś powie.

- Wie pani, z czego się robi pasztet mięsny z wątróbką?

Wdowa potrząsnęła głową, z kącika oczu spłynęła łza.

- Z resztek wątrobianki. A wie pani, z czego się robi wątrobiankę?

Wdowa znów potrząsnęła głową, ale idiotyczne pytania Brennera zaczęły odnosić skutek, bo tym razem nie było łzy.

- Wątrobiankę robi się z resztek pasztetu - wyjaśnił Brenner. - A z resztek wątrobianki powstaje znów pasztet, a z pasztetu wątrobianka i tak bez końca.

- No, już mi lepiej - odetchnęła wdowa. - Skąd panu przyszła do głowy ta bzdura.

- Skojarzyło mi się z muzyką - wyjaśnił Brenner. - W muzyce tematy też się bez końca powtarzają. Raz a-f-d-h w takim układzie, raz a-f-d-h w innym układzie.

- Wszystko dla Hugona - uśmiechnęła się wdowa.

- Więc to pan jest tym mężczyzną, o którym mi wspomniała panna Schuh.

- Brenner.

Ale nie podała mu ręki, może dlatego, że miała obie ręce zajęte kieliszkiem i papierosem, a może dlatego, że w jej rodzinie uścisk dłoni w obecnej sytuacji, niby negatywne skojarzenia.

- Dostałem zlecenie od księdza rektora.

- To, że mój mąż został zamordowany, nie stawia chyba księdza prałata Schorna w specjalnie dobrym świetle. I ma pan udowodnić, że jest niewinny?

- Albo że jest winny.

- To drugie byłoby prostsze.

- Jak to?

- Logicznie rzecz biorąc, nie da się udowodnić braku winy. Nieistnienia czegoś nie da się do końca udowodnić. Teoretycznie rzecz biorąc, może pan udowodnić jedynie jego winę.

- Ale mogę udowodnić istnienie niewinności.

Widać stąd, że kultura jest zaraźliwa, wystarczy takiego Brennera ustawić na przerwie w holu światowej sławy opery - i już zaczyna prowadzić takie wyrafinowane rozmowy.

- Nie-winność kryje w sobie ukryte przeczenie - wyjaśniła wdowa. - Nie wina. A tego nie da się udowodnić. Teoretycznie.

Trzeba przyznać, że w ostatnich czasach kobiety strasznie się podciągnęły w logice. Ale Brenner znów lepszy w tych sztuczkach.

- Teoretycznie - powtórzył. - A praktycznie?

- Praktycznie dziwi mnie, że policja tak szybko zamknęła dochodzenie. Nie chcieli w ogóle słyszeć o tym, że w przeddzień morderstwa mąż roztrąbił na cały świat, że znalazł dowód na uprawianie nierządu w seminarium.

- Nie-rządu - zmarszczył czoło Brenner. - Czy nie mielibyśmy tu znowu do czynienia z przypadkiem niemożliwości udowodnienia nieistnienia czegoś?

- Więc niech pan powie wykorzystanie seksualne dzieci, jeśli panu nierząd brzmi za bardzo negatywnie.

- Aha. Udało się pani w czarodziejski sposób doprowadzić do zniknięcia „nie”.

To cudowne - pomyślał, jak ta wdowa potrafi czarować i uśmiechać się. Nawet wtedy, gdy wcale nie jest jej do śmiechu.

- I na to właśnie pani mąż znalazł dowód?

Ale w tym momencie rozległ się dzwonek i nie uwierzysz: w operze dokładnie taki sam dzwonek jak w internacie. No i ten dzwonek zrujnował marzenie Brennera, że wdowa opowie mu zaraz o tym dowodzie. Bo kobieta strasznie się teraz spieszyła, żeby nie uronić ani jednej nutki z drugiej części przedstawienia.

No a Brenner był tak zaciekawiony, że o śnie mowy nie było. Do końca przedstawienia spojrział więcej razy na zegarek niż w ciągu ostatnich trzech lat.

Ale po skończonym przedstawieniu wdowa wciąż jeszcze nie zdradziła mu tajemnicy tego dowodu. Bo następnego dnia urządziła wieczorek dobroczynny w domu ojca, wieloletnia tradycja, nie mogła odmówić mimo żałoby, no i teraz musiała jeszcze udać się do

garderoby tenora, żeby mu przypomnieć o jutrzejszym przyjęciu, no bo bez tenora możliwa jest tylko połowiczna dobroczynność.

A Brenner po prostu szedł obok niej, na pewno to znasz, jak się do ciebie na spacerze przyklei jakiś obcy pies, bo z niewiadomych powodów uważa cię za swego pana. W towarzystwie córki dyrektora przepuszczano go wszędzie bez problemu i w pewnej chwili znaleźli się przed garderobą słynnego tenora.

Brenner niezmiernie się zdziwił, że za kulisami sceny jest zupełnie tak samo jak w piwnicy internatu. No i jeszcze ten dzwonek, który dzwonił co chwila, zupełnie jak w Marianum. Z tego wszystkiego zaczął już trochę majaczyć, bo kiedy tak czekał, aż wdowa wyjdzie z garderoby słynnego tenora, to nagle zobaczył, że z sąsiedniej garderoby wymyka się azjatycka dziewczyna, i mógłby przysiąc, że jeszcze kilka dni temu widział tę egzotyczną piękność w internacie przy myciu podłóg.

Zaraz potem zjawiała się wdowa i spytała, czy nie zechciałby jej odprowadzić do domu. No bo willa jej ojca oczywiście na Wzgórzu Kapucynów, widok na twierdzę zupełnie jak na pocztówce, a internat u podnóża w cieniu wzniesienia, więc nawet by nie musiał tak bardzo nadkładać drogi. A wdowa nie miała ochoty iść sama po nocy, bo w nocy na tych salzburskich pagórkach jest trochę nieprzyjemne, stare drzewa szumią tak dziwnie, jakby to nie był środek miasta, tylko gdzieś koło studni za bramą, gdzie dusze samobójców i pomordowanych wyprawiają dziwne harce.

Ale nie myśl sobie, że wdowa w drodze powrotnej zaraz mu opowiedziała o tym dowodzie znalezionym rzekomo przez jej męża. Najpierw się jeszcze trochę nad nim poznęcała, a konkretnie: chociaż się zasapali, wspinając się po schodach, miała jeszcze dość siły, aby wrócić do zegarka, który mu koledzy podarowali, kiedy się zegnał z policją po dziewiętnastu latach służby.

Wszyscy się po trochu złożyli, ten dał trzy szylingi, inny pięć, zależy, czy go kto bardziej, czy mniej lubił, no i starczyło na piękny zegarek kwarcowy, tylko że musiał akurat w środku opery zademonstrować funkcję alarmu.

- Te japońskie brząkadła to zaraza - mruknął Brenner.

- To zemsta Japończyków za te miliony japońskich studentów akademii muzycznych, których nam przysyłają. A my nie wysyłamy do nich nikogo, bo się nie interesujemy japońską muzyką.

- Dlatego przysyłają nam muzyczne urządzenia - wysapał Brenner.

- Kto wie, może dla Japończyków każdy z tych zegarków dźwięczy inaczej, tylko my ich nie rozróżniamy.

- Tak jak nie rozróżniamy samych Japończyków. Przed chwilą widziałem jakąś Azjatkę wychodzącą z garderoby i mógłbym przysiąc, że ją znam.

- Mnie też się zawsze wydają znajome. Pewnie oni też mają trudności z odróżnianiem nas. Być może dla nich wszystkie nasze opery brzmią tak samo.

- Jeśli o to chodzi, to jestem Japończykiem - przyznał Brenner.

- Ale poza tym ma pan raczej długie uszy niż oczy - uśmiechnęła się wdowa.

Byli wprawdzie spory kawałek od latarni, ale miała tak ciemną szminkę na ustach, że nawet w ciemności ujrzał błysk białych zębów.

- Chciała pani powiedzieć skośne oczy. Gdybym jako policjant powiedział do Azjaty skośnooki, na drugi dzień Amnesty International wzięłaby mnie na tortury.

- A ja powiedziałam panu, że pan ma długie uszy. No bo to było cwane, jak pan to z tym „Alles fur den Hugo” wytropił - przyznała z uznaniem, zatrzymując się. - Gdyby mój ojciec o tym wiedział!

- Dziwię się, że panią to bawi. Zważywszy, że z tego powodu pani ojciec przestał się odzywać do pani męża.

A wdowa zaczęła się śmiać i śmiała się, i śmiała bez ustanku. Szła coraz szybciej i

wciąż się śmiała. Albo powiedzmy raczej: szła i płakała.

No ale oczywiście jak nazajutrz przyjmujesz gości, to nie możesz sobie pozwolić na worki pod oczami. Więc wdowa zaraz się uspokoiła. U zwykłych ludzi to jest często problem, ponieważ nie urządzają przyjęć, czyli mogą z byle powodu obrazić się na całe życie. Człowiek interesu nie może sobie na coś takiego pozwolić, musi się liczyć z szylingiem.

To tylko dla wyjaśnienia, dlaczego wdowa ku zaskoczeniu Brennera tak szybko się pozbierała, no bo właśnie kompletnie inna warstwa społeczna. A jeszcze do tego pochodziła w jakimś sensie z rodziny dyplomatów, bo ojciec nie tylko generalny importer i zastępca dyrektora festiwalu, ale do tego jeszcze konsul honorowy.. czekaj, jakiego to państwa? jakaś afrykańska rzecz. Ale oni tam co dwa miesiące zmieniają nazwy krajów, a jedyną stałą jest często konsul honorowy, jak to mówią, kraj już trzy razy był wymazywany z mapy i gdyby nie mieli konsula honorowego w Salzburgu, to murzyńskie państwo w ogóle by nie miało żadnej tożsamości.

- Chyba nie myśli pan poważnie, że ojciec był taki zły z powodu tej śmiesznej historyjki z Hugonem. To go tylko na chwilę wyprowadziło z równowagi.

I ruszyła przed siebie, ale po chwili zatrzymała się i dodała:

- Ktoś skopiował plik z adresami i posłał tym od festiwalu w Baden-Baden.

Musisz wiedzieć, że we współczesnym biznesie adresy to klucz do sukcesu. Każdy robi z tego tajemnicę, boi się, żeby mu ktoś nie przysłał materiałów reklamowych. Bo im bardziej utajniony jest twój adres, tym więcej znacysz w tym świecie. A takie przedsięwzięcie jak festiwal muzyczny, gdzie milionerzy mogą mieć poczucie, że są u siebie, składa się praktycznie z samych adresów.

To jest największy skarb, kto ma lepsze adresy, ten ma lepszy festiwal, bo to jest nie tylko adres pocztowy, ideałem jest mieć datę urodzenia, to jest mniej więcej tak jak z fryzjerem, na urodziny dostajesz od niego miłą kartkę albo nawet próbkę jakiegoś produktu, ucieszysz się i w przyszłym roku idziesz do tego samego fryzjera. Ponieważ właśnie w tym momencie, kiedy się zastanawiasz nad zmianą fryzjera, bo znowu ci ubyło włosów, no i

oczywiście to jego wina, przychodzi kartka z życzeniami, drobny upominek i znowu stajesz na baczność.

Bądźmy szczerzy, dlaczego z festiwalami miałyby być inaczej, stały gość też dostaje na urodziny życzenia, może darmową próbkę inteligentnego kremu dla kobiety po trzydziestce, no bo wiadomo, przedsiębiorca ma wprowadzić żonę o trzydzieści lat młodszą, ale się starzeje, no i ona niestety też się starzeje, on jest po sześćdziesiątce, ona po trzydziestce, więc się cieszy z inteligentnego kremu na urodziny. No i zostają przy festiwalu salzburskim, chociaż ostatnio mówiło się w klubie Rotary, czy nie powinni swoją obecnością uhonorować innego miasta, żeby się mówiło, teraz to jest najlepszy festiwal.

Ale widzisz, to jest właśnie sprawa tradycji, bo te młodsze festiwale nie mają list adresowych tworzonych w ciągu paru generacji. A jeśli nawet mają listy adresowe, to na przykład nie mają listy z datami urodzin albo z tajnymi informacjami gromadzonymi przez pokolenia. Tu się popyta, tam się popyta, na przykład gospodarzy, jakiego kremu używa małżonka gościa, jakiej wody po goleniu sam gość, no i przez lata gromadzą się informacje, można czasem podsłuchać rozmowę telefoniczną, ale nie mówię, że to musi być.

Czasem dyrektor i jego zastępca osobiście się fatygują, myszkują po śmietnikach, no bo można się wiele dowiedzieć o preferencjach człowieka, kiedy się zobaczy, co ten człowiek wyrzuca na śmietnik, na przykład znajdziesz pudełko po kremie nawilżającym i już masz piękny wpis do listy adresowej, a później żona się dziwi, kiedy dostaje w upominku dokładnie taki sam krem, no i mówi do swojego skarba przez telefon, wiesz co, w przyszłym roku jednak znów pojedziemy do Salzburga na festiwal, a nie do Baden-Baden, Austriacy są zawsze tacy mili i przysyłają właściwy krem, a on kiwa głową, no bo co ma powiedzieć, jak jest trzydzieści albo czterdzieści lat starszy od żony, dziewczyna ci nawet kajdanek nie musi zakładać, słuchasz się jak piesek.

To jest właśnie nagroda za wielką karierę, wszystko jedno, czy jesteś szefem wielkiego koncernu czy wybitnym politykiem, kto chętnie rozkazuje, ten też chętnie słucha, no i były władca świata pielgrzymuje rokrocznie do Salzburga, bo jego dziewczyna lubi dostawać próbki.

I dlatego - katastrofa, jak ktoś skopiuje z twojego komputera plik adresowy i sprzeda

go najgorszej konkurencji - nowobogackiemu niemieckiemu festiwalowi w Baden-Baden, po prostu: zdrada stanu.

- Co prawda do końca temu zaprzeczał - potrząsnęła głową w zadumie córka zastępcy dyrektora - ale ja też uważam, że to jego robota. W domu mojego ojca miał łatwy dostęp do komputera. Poza tym to była typowa dla niego akcja. Wie pan, dlatego przed chwilą się rozplakałam. Potrafił być taki zabawny, na przykład ten żart „Wszystko dla Hugona”. To właśnie w nim lubiłam. A innym razem popełniał takie szaleństwo, jak to z tymi adresami. Po prostu miał...

Brenner miał wrażenie, jakby ją trafiła apopleksja, kiedy tak stała nieruchoma i milcząca. Ale ona tylko szukała właściwego słowa.

-... defekt.

- Defekt - powtórzył Brenner.

Powiedziała to w taki sposób, że od razu wszystko było jasne. Nie musiała nic więcej mówić. Że jej małżeństwo w gruncie rzeczy nie było małżeństwem. Bo jej mąż miał defekt. Więc w końcu posłała go do doktora Pradera.

- Doktor Prader wprawdzie stracił uprawnienia. Wtedy jak ta pacjentka zaraz po wyjściu z jego gabinetu skoczyła w przepaść. Ale był jedynym przyjacielem Gottlieba, a do obcego terapeuty mąż nie zgodziłby się pójść. Kto wie, czy u prawdziwego terapeuty by sobie to w ogóle przypomniał.

- Lekcję higieny w Marianum - powiedział Brenner.

- Lekcję higieny - uśmiechnęła się wdowa.

Ale tym razem był to inny, obcy uśmiech.

- Jako dziecko myliłam zawsze dwa słowa: higiena i hiena.

Był to uśmiech, jaki pozostaje na twarzy zmarłego, kiedy hieny dawno już zjadły inne części jego ciała.

- No i pomogły mu te wspomnienia?

- Przeciwnie, coraz bardziej popadał w swoje manie. Wie pan, że pracował w archiwum archidiecezjalnym jako konserwator. Ale kiedy się dowiedział, że Schorn ma zostać biskupem, nic nie robił, tylko szukał jakichś dowodów - I znalazł coś?

- Mąż znalazł kartotekę katolickiej agencji matrymonialnej, którą założył dr phil. Guth. Na jednej z kart znalazł nazwisko znajomej osoby. Chodziło o posługaczkę kuchenną w Marianum. Było to wtedy, kiedy chodził do seminarium. I pewnej nocy dziewczyna po prostu zniknęła.

- Wygląda na to, że wyszła za mąż.

- Według kartoteki miała wtedy dopiero piętnaście lat. Poza tym na jej karcie widniała tylko jedna jedyna informacja: Petting.

- Petting! - wykrzyknął Brenner. - Od trzydziestu lat nie słyszałem tego słowa. Petting i party, wie pani, skąd znam te dwa słowa?

- Z „Bravo”.

- Dokładnie. I ludzie to nadal robią?

- To był przecież wpis sprzed lat. W każdym razie party nadal się urządza. My na przykład urządzamy jutro wielkie party dobroczynne. Byłoby mi miło, gdyby pan przyszedł. Ale musi mi pan obiecać, że nie zapyta pan ojca o te adresy.

- Obiecuję - powiedział Brenner.

Widzisz, jako detektyw musisz czasem dać obietnicę bez pokrycia.

Jak potem schodził samotnie ze wzgórza, to coś tam gwizdał pod nosem. Stare przyzwyczajenie. Jak go się jakaś melodia uczepiła, to często przez wiele dni nie mogła mu wywietrzeć z głowy. I ciekawa rzecz, jak się nad tym zastanowił, to się okazało, że tekst pasuje dokładnie do sytuacji, taki niezawodny komentarz. Niejeden przypadek rozwiązałby dużo szybciej, gdyby od początku zwracał uwagę na to, co mu podszeptuje podświadomość.

Teraz idąc do domu, nie zwracał oczywiście uwagi na swoje pogwizdywanie, no bo to normalne, że człowiek coś tam gwizdże przez zęby, jak idzie nocą przez las. A w tej chwili zajmowały go zupełnie inne słowa. Petting i party.

Myśl o tym, że będzie na party, sprawiała mu przyjemność. Albo powiedzmy inaczej: jutro najpierw czeka go petting. A party to osobna sprawa.

6

Więc najpierw ten petting. Rozmowa z wdową przez całą noc nie dawała Brennerowi spokoju, dopiero nad ranem udało mu się usnąć. Dlatego obudził się dopiero wpół do dwunastej i w największym upale dnia udał się na plac Kapitulny.

„Poradnia małżeńska dr phil. Guth” - widniało na mosiężnej tabliczce. Wiedział od wdowy, że stary dr Guth nie kieruje już osobiście poradnią. Ale jak to często bywa, firma zachowuje w nazwie nazwisko założyciela, chociaż już trzy razy była sprzedawana, stąd na przykład jakiś japoński bank powie, wiecie co, nazwa Tradycyjne stroje Toyota nie brzmi dobrze, zostaliśmy lepiej przy pierwotnej nazwie firmy, żeby nie razić uczuć klientów.

A położenie poradni małżeńskiej dr. phil. Gutha trafione w dziesiątkę - naprzeciwko katedry. Wszystkie inne biura zajmujące budynek są również instytucjami kościelnymi. Dom należał kiedyś do bogatej wdowy, nie miała dzieci, no i oczywiście typowe lęki, że może jednak coś tam jest, niby tamten świat, no a ponieważ przez całe życie wyciągała biedakom pieniądze z kieszeni, to w testamencie zapisała dom Kościołowi. Nie zapominaj, że Kościół ma siły fachowe wyspecjalizowane w obsłudze ludzi starych: odbieraniu ostatniej spowiedzi i wszystkiego innego. Jak to mówią: puścić kogoś z torbami.

Dlatego w gruncie rzeczy cała starówka należy do Kościoła, plac Kapitulny i plac Rezydencjalny - wszystko kościelne, plac Katedralny - to samo, ulica Cesarska - Kościół, i tak dalej, i tak dalej. W tym sensie tytuł własności tego biura matrymonialnego nie miał nic wspólnego z faktem, że było położone naprzeciwko katedry, bo dalej od katedry też wszystko w kościelnych rękach.

Osobiście nie widzę w tym nic złego. Bo jak coś jest w prywatnych rękach, to prędzej czy później zamieni się w strzelnicę, wesołe miasteczko, dyskotekę albo budkę z hamburgerami. A Kościół w tych sprawach ostrożniejszy, wystarczy się przejść po salzburskiej starówce, żeby się o tym przekonać, nie żebyś się miał przestraszyć, że już nie żyjesz, nie, to jest rzeczywistość. Od razu czujesz taki dreszczyk emocji, średniowiecze, kochany, tu możesz to sobie łatwo wyobrazić, te wąskie uliczki, małe okienka, kocie łby, czyli to ma taki, że tak powiem, posmak historii.

Ale ten podniosły nastrój ogarnia cię tylko wtedy, kiedy idziesz tymi uliczkami, bo jak wejdiesz do któregoś z tych domów, to czujesz się tak, jak Brenner się teraz właśnie poczuł. Niby: na zewnątrz wzniosłe, wewnątrz przytłaczające. Bo na korytarzach panowała taka cisza i taka sterylność, że muszę powiedzieć, skóra ścierpła Brennerowi.

Pierwsze piętro dzieci katolickie, drugie piętro młodzież katolicka, trzecie piętro katolicka poradnia małżeńska. Dzięki Bogu ten średniowieczny budynek miał tylko trzy piętra, inaczej kto wie, może po dzieciach katolickich, młodzieży katolickiej i katolickim poradnictwie małżeńskim mielibyśmy na czwartym piętrze tendencję zejściową, czyli katolickie pogrzeby i samobójstwa. No ale nie trzeba bez przerwy szukać dziury w całym, w każdym razie budynek był trzypiętrowy.

Windy oczywiście też nie było, bo ochrona zabytków, papież powiedział, nie możemy ludziom wszystkiego zabraniać, zabraniamy im ochrony przed poczęciami, ochrony przed AIDS, więc bądźmy dyplomatami i zostawmy im chociaż ochronę zabytków. Prawda stara jak świat: jak ci niewiele wolno, to się cieszysz, że ci wolno cokolwiek, więc zabytki w Salzburgu aż się błyszczały od tej ochrony.

Na trzecim piętrze na drzwiach wejściowych do poradni dr. phil. Gutha umocowana była kolejna mosiężna tabliczka, a na tej tabliczce przyklejona była mikroskopijnych rozmiarów żółta karteczka z ręcznie wypisaną informacją: „Proszę dzwonić!”.

- Tylko spokojnie - mitygował się Brenner, z trudem łapiąc oddech.

Bo to wieczne dzwonienie w tym mieście zaczynało mu działać na nerwy. Nieustanne dzwonienie w internacie, dzwonki w operze, dziesięć tysięcy dzwonów kościelnych, jedno wielkie ding-dong, można było wyjść z siebie. Bo jak raz zwrócisz na coś takiego uwagę, to już się od tego nie uwolnisz.

Ale potem dwie rzeczy pozytywnie zaskakujące. Dzwonek okazał się dzwonkiem tradycyjnym, a jego dźwięczne ding-dong przypomniało mu znajomość sprzed lat. To była wyjątkowo miła sekretarka, niestety trwało to niedługo, o ile się nie mylę, klapa nastąpiła dlatego, że jej pies był bardzo zazdrosny.

Ale mimo dzwonka Brenner nie spodziewał się niczego dobrego. Jak usłyszał kroki za drzwiami, od razu stanął mu przed oczami obraz kogoś w rodzaju panny Schuh. Lodenowy kostium, okulary, włosy zaczesane do tyłu, że aż korzonki bolą, i biała bluzka, tak mocno wykrochmalona, że można by poderżnąć gardło cielakowi.

No a potem oczywiście, niech skonam! Tam do licha! Druga niespodzianka po tradycyjnym dzwonku nie była ani trochę tradycyjna. Tak bym to mniej więcej wyraził. Jeśli gdzieś tam ciele padło trupem, to był nim Brenner. I to nie biała bluzka go uśmierciła. Tylko jak by to powiedzieć. Jej zawartość.

- Dobry rano - powiedział Brenner głośno i wyraźnie, ani trochę nie przejmując się tym, że jego głos odbił się donośnym echem w pustych korytarzach. - Chciałbym się z panią ożenić.

Ale to tylko pogorszyło sprawę. Bo teraz tamta jeszcze na dodatek zrobiła kwaśną minę. Jak wiadomo, normalny człowiek, jak się uśmiechnie, to jest piękniejszy, a jak zrobi kwaśną minę, to wygląda brzydziej. Ale są tacy ludzie, dwóch albo trzech na świecie, tego dokładnie nie wiadomo, tak jak nie wiadomo dokładnie, ilu ludzi na świecie liczy sobie powyżej stu czterdziestu lat. I otóż ci ludzie są tak piękni, że jak zrobią kwaśną minę, to są jeszcze piękniejsi.

- Jest pierwsza - odpowiedziała.

Ale to tylko pogorszyło sprawę. To nie do wiary, jakie wrażenie może wyrzeć na mężczyźnie takie stwierdzenie. Albo powiedzmy inaczej: nie tyle samo stwierdzenie, ile głos.

Pamiętaj, że dziadek Brennera był stolarzem. I miał w warsztacie ponad trzydzieści rodzajów papieru ściernego. Najbardziej chropawy to już właściwie nie był papier, to po prostu kawałki szkła, potem szedł nieco mniej chropawy, potem średnio chropawy, średnio gładki, jeszcze gładszy, całkiem gładki. A ten ostatni był tak gładki, że to był właściwie czysty papier, mogłeś go obracać do woli na wszystkie strony i nie zgadłeś, gdzie był tył, a gdzie przód. No i nie uwierzysz, tym najgładszym papierem ściernym najłatwiej się było skaleczyć.

W dzieciństwie Brenner często brał ten papier do ręki i godzinami wodził po nim palcami, próbując zgadnąć, która strona jest gładka, a która chropowata. No i teraz miał ochotę zapytać tę urzędniczkę, czy jej struny głosowe zrobione są z takiego właśnie papieru. Ale zamiast tego zapytał:

- O pierwszej państwo zamykacie?

Nie chciał być natrętem.

Kobieta potrząsnęła głową. Ale to tylko pogorszyło sprawę. No bo wyobraź sobie pożar lasu, najpierw płonie tylko las, a potem lekki podmuch wiatru i cały świat staje w płomieniach. Tak właśnie przy potrząśnięciu głową ruda grzywa kobiety rozlała się po jej ramionach i muszę powiedzieć, że czasem lepiej jest dla mężczyzny, jeśli jest ślepy i głuchy.

- Nie - zaszeleścił papier ścierny - ale nie mówi się dobry ranek o pierwszej po południu.

- Ach - powiedział Brenner.

Właściwie miał ochotę jej powiedzieć, że winne temu jest jej zamglone spojrzenie. Bo rzeczywiście unosiła powieki z takim trudem, jakby nie mogła pokonać senności, i człowiek się obawiał, że zanim na dobre otworzy oczy rano, to już będzie wieczór.

- Ach - stęknął jeszcze raz Brenner.

Trochę to brzmiało tak, jakby mu sześćdziesięcioletnia guwernantka zniecka przejechała po głowie nakrochmaloną bluzką.

- To dlatego pani potrząsała głową. A ja już się bałem, że nie chce pani wyjść za mnie za mąż.

- Jeśli chce pan się ożenić, to zasadniczo trafił pan pod właściwy adres. Zapraszam do środka.

A w środku Brenner oczywiście od razu na straconej pozycji. Nie wiem, to musi być jakaś specjalna atmosfera w tych biurach matrymonialnych, całe otoczenie, meble, obrazy na ścianach, no nie wiem, o co to chodzi, wiem tylko, że w takiej poradni po kilku sekundach jesteś tak skołowany, że nawet nie wiesz, czy jesteś mężczyzną, czy kobietą.

Najpierw musisz wypełnić ankietę, nazwisko, wiek, zawód, stan cywilny, wyznanie, wszystko.

- Pan Irrsieglar - mruknęła, marszcząc czoło kobieta z włosami jak pożar lasu po przestudiowaniu wypełnionej ankiety. - A więc jest pan z zawodu stolarzem.

Brenner skinął głową.

- Własna firma czy pracownik najemny?

- Własna firma.

- Ciekawe. To rzadki zawód.

- Na wymarcu. Ale Pan Jezus też był stolarzem.

- Cieślą.

- To prawie to samo. Tylko że stolarz używa gładszych papierów ściernych.

- Ciekawe. I nigdy pan nie był żonaty?

- Nie. Raz byłem zaręczony, ale tylko przez dwa tygodnie.

- Ciekawe.

To była jedyna informacja, której nie zapisała, i akurat tylko to jedno było prawdą. Bo tak to już jest, że jak mówisz same kłamstwa, to informacje prawdziwe wydają się od razu

podejrzane.

- Co pana sprowadziło do naszej instytucji?

- Jestem bardzo nieśmiały.

- Ciekawe - powiedział pożar lasu, nie podnosząc oczu znad formularza.

- A w moim wieku to już najwyższy czas. Ale chciałbym założyć katolicką rodzinę. A w naszych czasach ciężko jest znaleźć kobietę, która chce tego samego.

- Ciekawe - powiedział pożar lasu.

Brenner przyglądał się, jak kobieta, nie spiesząc się, kończy robić notatki i starannie chowa ankietę w szufladzie biurka.

- Może pan przyjść o siedemnastej? - spytała. I dodała, widząc wahanie Brennera: - Czy też musi pan o tej porze zajmować się stolarką?

- Myślałem, że otrzymam katalog, żeby zobaczyć, czy znajdę coś odpowiedniego dla siebie.

To doprawdy nie do wiary, że takie usta mogą się zrobić tak wąskie. Kiedy Brenner powiedział słowo „katalog”, wargi po prostu zniknęły, niech się schowa panna Schuh. Ale gdzieś te usta musiały jeszcze być, bo przemówiły:

- A ja myślałam, że szuka pan poważnego biura.

- Ale co takiego może mi pani powiedzieć wieczorem, czego by mi pani nie mogła powiedzieć już teraz?

Kobieta wstała i otworzyła panu Irrsieglerowi drzwi.

- Porad udziela osobiście pan dyrektor. A pan dyrektor przychodzi dopiero o piątej, bo

wcześniej ma inne obowiązki.

- Doktor Guth osobiście?

- Pan doktor Guth już nie żyje.

- O piątej też?

- Poradnią od lat kieruje pan prefekt Fitz.

- Ciekawe - powiedział Brenner na pożegnanie.

Nic innego nie przyszło mu do głowy, nawet wtedy gdy już stał z powrotem na ulicy w palących promieniach słońca. No bo zasadnicze pytanie: co dalej? Prefekt Fitz spadłby z krzesła, gdyby się zjawił u niego o piątej pod fałszywym nazwiskiem.

I chcąc nie chcąc, w tym skwarze począł się znów wspinać po schodach prowadzących do opery w nadziei, że Gottlieb może opowiedział coś doktorowi Praderowi o tej posługaczce kuchennej, która dwadzieścia osiem lat temu z powodu pettingu wyleciała z Marianum. No i nie do wiary, że coś takiego jest możliwe u prawie pięćdziesięcioletniego mężczyzny. Otóż podczas rozmowy z pożarem lasu jego ciało wydatkowało tyle substancji energetycznych, że po prostu wszystkie mięśnie go paliły. Albo może nie mięśnie. Powiedzmy raczej, czuł się tak, jakby pożar lasu przysmażył mu głównie jeden mięsień i dwa okrągłe dodatki.

No i w takim wypadku schody to kiepska terapia, każdy krok to piekielna męka, a kiedy wreszcie dotarł na szczyt wzgórza, oparł się, ciężko dysząc, o balustradę i spojrzał w dół pionowych skał, i wyobrażam sobie, że może mu nawet przemknęło przez głowę, jak łatwo jednym skokiem mógłby się uwolnić od cierpień. I oczywiście nikt by potem nie zgadł, dlaczego skoczył, domyślano by się najróżniejszych powodów, ale nikt by nie wpadł na pomysł, że ktoś rzuca się ze skały, bo nie może już wytrzymać na tym świecie z racji targających nim chuci.

Ale jak już mógł normalnie oddychać, powrócił mu zdrowy rozsądek. Stwierdził, że

ma zupełnie przepoconą koszulę, i zaczął się zastanawiać, czy w takim stanie może w ogóle zadzwonić do drzwi doktora Pradera. Ale ten problem sam się rozwiązał. Bo willa doktora Pradera w ogóle nie miała dzwonka. Za pierwszym razem Brenner tego nie zauważył, bo gospodarz czekał na niego przed bramą. No i dopiero teraz: ani śladu dzwonka.

Tu uważaj, gdybyś kiedyś miał do czynienia z wyższymi sferami, to ci dam dobrą radę. Nie szukaj nigdy dzwonka, rozejrzyj się lepiej, czy na drzwiach nie ma lwa trzymającego żelazną obręcz w pysku, ta obręcz służy do pukania. Po pewnym czasie Brenner się w tym połapał i zaledwie zakołatał dwa razy, drzwi się otworzyły.

Ale to nie doktor Prader otworzył mu drzwi. Ani nie pani doktorowa Praderowa, ani żadne z ich czwórki dzieci. W otwartych drzwiach stał starszy pan siwy jak gołąbek z kruczoczarnymi brwiami. A wokół ust miał wąsy i brodę niby James Last, tyle że siwe i godne, a nie rude i obrzydliwe jak tamten.

To musi być kamerdyner ambasadora, który co lato wynajmuje willę Pradera - pomyślał Brenner, patrząc na sztywną białowłosą figurę. No bo to dzisiaj wcale nie rzadkość u tych dziesięciu tysięcy ludzi ze śmietanki towarzyskiej, że zazdroszczą służącym.

I jak się tylko nadarzy sposobność, to taki dyrektor banku osobiście brudzi sobie ręce, nie, nie szmałem z narkotyków, tylko sam reperuje samochód. Członek rady nadzorczej musi konieczne zaprezentować się publiczności, ścinając osobiście drzewo, a pan ordynator chce wreszcie raz w życiu własnymi rękami posprzątać rzygowiny żony alkoholiczki, niby poczuć prozę życia.

A pan ambasador w swojej dyplomatycznej karierze był już wszędzie - w Pradze w sześćdziesiątym ósmym, w Atenach w czasie wojny o Cypr, w Johannesburgu w najgorętszym czasie końca apartheidu, a na koniec - czysta egzotyka - w Manili. Ale w głębi duszy przez całe życie pozostał skromnym człowiekiem, no i marzenie: raz w życiu osobiście otworzyć drzwi człowiekowi z ulicy.

- Doktora Pradera pewnie nie ma w domu - powiedział Brenner, cofając się o krok, niby: na powitanie od razu słowa pożegnania.

Ten austriacki ambasador na Filipinach musiał sobie pomyśleć swoje o takim zachowaniu, nie ma co. Bo dyplomaci mają nienaganne maniery, nawet są takie specjalne akademie i tylko ten zostaje dyplomata dyplomowanym, kto potrafi zapamiętać wszystkie normy savoir vivre'u. To tylko tak dla wyjaśnienia, żebyś rozumiał, dlaczego ten dyplomata tak elegancko się znalazł. Bo jak on zapraszającym gestem dał do zrozumienia Brennerowi, że doktor Prader jest w ogrodzie za domem - nie, musiałbyś to sam zobaczyć! Ani odrobiny protekcjonalności, po prostu jednym małym gestem wyraził tak wiele: zobacz, siedzi tam w ogrodzie, wejść. Dzisiaj dyplomacja osiągnęła takie wyżyny, nie dziwota, że nie ma już wojen światowych.

Za to w ogrodzie dla kontrastu zupełnie inny program, nie ma co. Jak tylko Brenner wyszedł zza rogu domu, doktor Prader zaraz go zobaczył i machnął do niego uprzejmie ręką ze swojego leżaka. To jeszcze było zachowanie do przyjęcia. Ale drugi leżak ustawiony był tyłem i nie uwierzysz, zanim Brenner zobaczył tego człowieka, od razu wiedział, że to nie dyplomata. Ten człowiek rozłożył się z tak cudowną niedbałością, że jego gołe przedramiona dyndały swobodnie po bokach. No więc zanim Brenner spojrział w twarz temu człowiekowi, zdążył przeczytać napisy wytatuowane na tych zwisających przedramionach.

Jeśli chodzi o tatuaż, to oczywiście trzeba odróżniać, bo w dzisiejszych czasach każda dziewczynka, która nie sypia po nocach, zazdroszcząc dziesięciokrotnie karanej córce swojej sprzątaczkę, każe sobie wytatuować jakiś ornament na wypielęgnowanej plastikowej skórze. Ale Brenner oczywiście na pierwszy rzut oka poznał autentyczny tatuaż więzienny. Na lewym przedramieniu gościa wytatuowane było „Marysia Schaumburg” wielkim i koślawymi literami, musiało je być widać ze Wzgórza Kapucynów. Obrazków wolę nie opisywać, bo dozwolone od osiemnastu lat.

Musiało to być związane z tym wydatkowaniem energii w biurze matrymonialnym, bo Brenner nadzwyczaj szybko sobie wykombinował: aha, doktor Prader opiekun prawny, więc to musi być jeden z jego podopiecznych.

Ale kiedy się przyjrzał bliżej młodemu człowiekowi rozwalonemu w leżaku, doszedł do wniosku, że to nie jest typowy więzień. I tak, i nie - myślał, potrząsając dłonią doktora Pradera i przyglądając się młodzieńcowi. Tak, bo już uśmiech powitalny ustawiał go o pół siekacza za normalnymi ludźmi. I nie, bo robił raczej sympatyczne wrażenie, nie miał

cwaniackiej miny, a ubytek uzębienia sprawiał, że w jego twarzy było raczej coś dziecinnego.

Doktor Prader przysunął Brennerowi trzeci leżak i nalał wody mineralnej.

- Może ma pan jakiś pomysł - zaczął bez wstępów, jakby tym praktycznym sposobem przedstawiając bliżej swojego podopiecznego. - Szukamy pracy dla Renego.

- Nauczyłeś się czegoś w pierdlu?

Bo oczywiście z takimi typami nie ma co się bawić w uprzejmości, Brenner miał w tym duże doświadczenie. Między nami mówiąc, myślę, że chodziło mu też trochę o to, żeby pokazać chłopakowi: wcale się ciebie nie boję. Bo Rene miał ramiona jak Japonka. Oczywiście nie jak ramiona Japonki, tylko jedno jego ramię Renego jak cała Japonka.

- Jest ślusarzem - odpowiedział doktor Prader za swego podopiecznego.

- W pierdlu wyuczył się zawodu.

- Jasne - uśmiechnął się Rene połową zęba.

- Państwowy kurs przyspieszony doskonalenia zawodowego włamywaczy - mruknął Brenner.

Doktor Prader był trochę zbity z tropu takim traktowaniem swojego podopiecznego. Bo poza tym w domu doktora Pradera pełne zrozumienie dla Renego. A jak się pojawiał na horyzoncie pan ambasador, to nawet dyplomatyczna formuła grzecznościowa:

- Panie Rene.

Ale Rene nie poczuł się dotknięty.

- Nie siedziałem za włamanie - wyjaśnił, osłaniając oczy dłonią, bo go słońce raziło.

- A za co?

- Za wyłamanie! - roześmiał się Rene.

No wyobraź sobie. W najnobliszej salzburskiej willi, gdzie zwykle mijają się w drzwiach najświetniejsi śpiewacy operowi, dyrektorzy - rozwala się na leżaku karany i opowiada takie historie, a wszystko dlatego, że doktor Prader koniecznie musi być dobrym człowiekiem.

- Pierwotnie trafił tylko na dwa miesiące do aresztu dla młodocianych za jakieś drobne przewinienie - zmarszczył czoło doktor Prader. - Ale tam mu tak dokuczali, że po miesiącu uciekł z aresztu.

- I w ten sposób z dwóch miesięcy zrobiły się dwa lata - roześmiał się Rene, jakby to nie o jego życiu była mowa.

- A jak ci się wtedy udało wyjść? - zainteresował się Brenner.

- Miałem na sobie czapkę baseballową, taką z daszkiem, z napisem z przodu.

- Wiem, co to jest czapka baseballowa.

Szczerze mówiąc, Brenner wiedział to dopiero od niedawna, ale udawał eksperta.

- Wychodząc, przekręciłem ją daszkiem do tyłu. No i strażnicy myśleli, że ja wchodzę, a nie wychodzę.

Brenner nie musiał się specjalnie wysilać, żeby się nie roześmiać z tego głupiego dowcipu.

- Daszkiem do tyłu to teraz modne.

- Właśnie. Dlatego mnie capnęli.

- I za to dostaje się teraz dwa lata? Tylko dlatego, że się nie idzie z modą.

Doktor Prader znów się wtrącił, marszcząc czoło:

- Może nie powinieneś był zabierać ze sobą córki dyrektora więzienia. Wtedy byś nie dostał dwóch lat.

- Ach, córka dyrektora! - machnął ręką Rene. - Przecież to ona mnie uwiodła. Czy to ja wpadłem na pomysł, żeby napisała wypracowanie szkolne na temat młodocianych przestępców?

Podczas gdy Rene to mówił, doktor Prader rzucił Brennerowi ostrzegawcze spojrzenie. No bo wiadomo, jako opiekun prawny musisz strasznie uważać, żeby twój podopieczny nie zbierał pochwał za swój czyn.

- Prysnałeś z brzydką córką dyrektora więzienia? - spytał Brenner.

Żeby nie być posądzonym o pochwalanie czynu, dodał: „brzydką”.

- To ona ze mną prysnęła!

Teraz znów doktor Prader z poważną miną długodystansowca:

- Niestety miała dopiero trzynaście lat.

- Miała czternaście lat, a ja siedemnaście.

- Nieskończone czternaście - poprawił go pedantycznie doktor Prader. - W świetle prawa to zasadnicza różnica.

- Ale wyglądała na czternaście i twierdziła, że ma czternaście, i...

- Tak, tak. A ty miałeś skończone osiemnaście.

I zamiast po dwugodzinnej wycieczce wrócić z nią do zakładu karnego, ukrywałeś się

z nią przez tydzień na działce.

- Już tak więcej nie zrobię.

- Zaimponowały jej twoje mięśnie?

- Jakie mięśnie! - zachnął się Rene, celując w Brennera palcem dłoni, którą osłaniał oczy przed słońcem. - Byłem wtedy chudszy od tej dziewczyny. Bo ona była trochę przy kości, dlatego wyglądała na starszą. Dopiero potem zacząłem trenować. Musiałem te dwa lata jakoś...

-... przebiegnąć - mruknął Brenner.

- Dokładnie!

Tu Rene napiął biceps lewej ręki i Marysia Schaumburg zaczęła podskakiwać.

- Czy to ona? - wskazał na tatuaż Brenner.

- Jasne. Jej ojciec przez dwa lata się wściekał, że musi to oglądać.

Brennerowi nietrudno było sobie wyobrazić, że Rene mówił prawdę o tej wycieczce z córką dyrektora więzienia, która miała napisać wypracowanie szkolne. Niby że to ona go uwiodła. Bo Rene wyglądał tak, jak to teraz jest w modzie. Ani jednego włoska na głowie, ale za to bródka, prawie jak u ambasadora, tylko o wiele rzadsza. Jak by to powiedzieć, dzisiaj młodym ludziom znowu się takie rzeczy podobają, pewnie dlatego, że nie znali Jamesa Lasta. Niebieskie oczy i bezczelny uśmiech też jej się musiały spodobać.

Chodzi mi o to, że kiedy taka wychuchana panienka zawierająca uczucia pamiętnikowi nagle zetknie się z prawdziwym więźniem, to może się zdarzyć, że hormony stają dęba.

- Tak czy owak...

Doktor Prader próbował nadać rozmowie inny bieg. Było jasne jak na dłoni, że ten bezczelny chłopak ze swoim radosnym usposobieniem nawet Brennera owinął sobie wokół małego palca.

- Mógłby pan zapytać w seminarium - zwrócił się doktor do detektywa - czy nie potrzebują solidnego robotnika.

- Tylko że akurat są wakacje - odparł tamten.

Oczywiście doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że właśnie w wakacje prace rzemieślnicze w szkole nabierają tempa.

- Wysłali do domu nawet filipińskie dziewczęta, które pomagały w sprzątaniu.

Mówił tak tylko dlatego, że miał własne plany związane z Renem.

- Ale przypadkiem znam pannę Schuh w biurze festiwalu. Ona zatrudnia bileterów i pracowników obsługujących dekoracje.

- To by było wspaniale - dziękował opiekun prawny nader wylewnie, biorąc pod uwagę jego sferę.

Brenner poczuł się trochę nieswojo, że z zimną krwią okłamuje tego sympatycznego człowieka. Dlatego nagle zaczęło mu się spieszyć. zaproponował Renemu, by wyszedł razem z nim, bo niby przypadkiem jest umówiony o piątej z panną Schuh. A poza tym pierwsza myśl jest zawsze najlepsza i trzeba iść za ciosem. To znaczy ja to tak przedstawiam i sens był właśnie taki, ale dosłownie Brenner powiedział:

- Najlepiej spytajmy od razu w kadrach, nie czekajmy, aż upłynie ruski miesiąc.

Rene spojrział na niego zdumiony.

- O co chodzi?

- Ruski miesiąc! - zawołał Rene bez zwykłej ironii, wyraźnie wzruszony - Dziadek też tak do mnie zawsze mówił: ruski miesiąc upłynie, zanim ty coś załatwisz! Zawsze się zastanawiałem, co to jest ten ruski miesiąc.

- Zastanawiałeś się, gdzie jest ten ruski kraj - powiedział Brenner niegrzecznie.

Bo nie chciał się przyznać, że jego dziadek też tak do niego mówił: ruski miesiąc upłynie, zanim ty skończysz tę pracę.

I muszę powiedzieć, że nigdy jeszcze nie był taki szybki jak teraz. Bo zaledwie opuścili willę Pradera, już złożył Renemu propozycję. A Rene był oczywiście zachwycony pomysłem, że będzie pracował dla detektywa. A Brenner po raz pierwszy poczuł pewny grunt pod nogami.

Z perspektywy czasu trzeba powiedzieć, że znalazł się na pewnym gruncie najwyżej w tym sensie, że po raz kolejny schodził schodami festiwalowymi, a to jest chyba najpewniejszy grunt na świecie. No bo wszystko zbudowane na skale, wykute w kamieniu, wytrzyma spokojnie tysiąc lat, niejeden ruski miesiąc minie, zanim tu się jeden stopień wykruszy. Ale poczucie pewności Brennera zbudowane było raczej na piasku.

To znaczy najpierw poczucie super. Wtajemniczył Renego w całą sprawę na tyle, na ile to było konieczne.

I miał poczucie, że tamten chwyta szybciej, niż on mu to wyjaśnia. Bo nie zapominaj o jednym. W więzieniu Rene przeszedł test na inteligencję i psychiatra trzy razy powtarzał test, zanim przyjął do wiadomości wynik. Po prostu nie mógł uwierzyć, że taki super-inteligentny facet mógł przez tydzień wytrzymać na działce z głupią córką dyrektora więzienia, to było wprost nieludzkie pogorszenie warunków więziennych.

Rene oczywiście zrozumiał w lot, dlaczego Brenner nie może osobiście wrócić do tego biura matrymonialnego. Brenner niepotrzebnie mu to tak długo klarował. Teraz nie obraż się, jak ci to wytłumaczę, tak na wszelki wypadek: Brenner zarejestrował się w agencji dr. phil. Gutha tylko po to, żeby się tam trochę rozejrzeć, hasło: petting i filipińska posługaczka. No ale jak trafi na prefekta Fitzę, to mu się na nic zda, że występuje pod fikcyjnym

nazwiskiem.

- Czyli chce pan, żebym się zarejestrował jako kandydat do małżeństwa i żebym tak długo marudził, aż się dowiem czegoś o miejscu pobytu posługaczki.

Brenner doznał prawie zawrotu głowy, jak ten Rene to błyskawicznie poskładał do kupy.

- Sam bym tego lepiej nie wyraził - powiedział z uznaniem. - Ale skąd ty wiesz o tej posługaczce?

- Przecież pan przed wyjściem zapytał doktora Pradera, czy Gottlieb nie opowiadał mu o jakiejś posługaczce.

A Brenner liczył na to, że uda mu się posłużyć Renem w taki sposób, żeby ten nie we wszystkim się zorientował. No ale trudno. Jego samopoczucie było w tym momencie jeszcze całkiem niezłe.

- Tylko nie daj się zbajerować tej damie, która przyjmuje ankiety! - ostrzegł jeszcze szybko Renego, kiedy znaleźli się na placu Kapitulnym. - Nie zawracaj sobie nią głowy, ona jest nieważna. Mówię ci, ma włosy jak pożar lasu. A oczy jak samochód sportowy. A głos jak papier ścierny.

- Trudno mi będzie nie zawracać sobie nią głowy - uśmiechnął się Rene.

- Dasz sobie radę - skrzywił się Brenner.

Niby: między nami mężczyznami. Stali już przed wejściem do budynku, było dziesięć po piątej i Brennerowi trochę się spieszyło.

Rene potrząsnął głową.

- Nie dam sobie rady.

- Najpierw ją obejrzyj, a potem pogadamy Samopoczucie Brennera było jeszcze wciąż dobre.

- Wiem, jak ona wygląda.

- Znasz ją?

- Szkoda, że mi pan od razu nie powiedział nazwy biura - wyrzekł Rene z zakłopotaniem, błyskając ułamanym siekaczem i wskazując mosiężną tabliczkę na ścianie.

- Bo co?

- To bym panu już wtedy powiedział.

Chłopak spuścił wzrok zakłopotany, zupełnie nie w swoim stylu.

- Co?

- Pożar lasu to stara mojego opiekuna prawnego. No to oczywiście dobre samopoczucie Brennera przeszło. Ruski miesiąc to pestka.

No a teraz party. Od kilku lat córka zastępcy dyrektora sama była po trochu dyrektorem, oczywiście nie festiwalu, lecz dobroczynności. Bo dobroczynność nigdy dla Hugona. Zebrane pieniądze tylko dla słabych, albo słabych z powodu pozycji społecznej, albo, powiedzmy, Afryka. Po prostu worek bez dna, no to skąd brać, żeby nie kraść, więc pewnego razu szefostwo festiwalu urządziło burzę mózgów i mówią, wiecie co, będziemy urządzić party dobroczynne.

Ale tego lata poważna kwestia, czy córka zastępcy nie powinna odwołać imprezy, bo żałoba. No i oczywiście tym większe uznanie, bo nadludzka dyscyplina, zasada: datki ważniejsze od moich uczuć osobistych. No i muszę powiedzieć, że odwołanie wieczorku nie przywróciłoby do życia jej męża. Co najwyżej tamte trzy osoby pozostałyby przy życiu, to mogę sobie wyobrazić. Ale tego nigdy nie można wiedzieć z góry, bo czasem nic nieznaczący drobiazg zmienia diametralnie całą sytuację, na przykład trzydzieści lat temu za luźno zawiązałeś sznurówki i przez to jutro w Chinach nastąpi katastrofa samolotowa.

Chociaż muszę uczciwie powiedzieć, że Brenner miał na party buty jak się patrzy. To tylko w gimnazjum w Puntigam doprowadzał jednego z nauczycieli do szału wiecznie rozwiązanymi butami. Z dzisiejszego punktu widzenia był prekursorem mody, ale wtedy to było traktowane jako niechlujstwo. Zresztą ten nauczyciel tylko dlatego tak się denerwował każdym drobiazgiem, że nie lubił swojego zawodu. Dlatego wyemigrował i z hobby zrobił zawód: został pilotem jakiejś podrzędnej linii w Chinach. Nie żebym przewidywał najgorsze, nie mówię, że właśnie on ulegnie katastrofie.

Może zresztą Brenner tylko dlatego sobie przypomniał o Chinach na tym party, że znowu spotkał tę śliczną dziewczynę, którą widział przedtem w garderobie śpiewaka. W każdym razie wydawało mu się, że to ta sama, to jest właśnie problem z tymi Azjatkami. To wprost nie do wiary: teraz nie przypominała mu już tej posługaczki z internatu, tylko tę dziewczynę z garderoby. Ale dzisiaj wyglądała jak prawdziwa księżniczka. No i znów się sprawdza powiedzenie, że przeciwieństwa się przyciągają, bo księżniczka ważyła najwyżej czterdzieści kilo, a zasapany bas na jej kolanach chyba z dziesięć razy tyle.

Inni goście też się Brennerowi mylili, aż mu się w głowie kręciło. Światowej sławy śpiewacy, dyrygenci, przemysłowcy, politycy, biskupi i tak dalej, i tak dalej. Niewielu kojarzył z nazwiska, ale każdego z nich widział już kiedyś w telewizji albo w gazecie, albo w oknach wystawowych salzburskich sklepów, gdzie podczas festiwalu ustawia się zdjęcia słynnych śpiewaków - tenorów, basów, sopranów, wszystkich!

Zauważył, że niektórzy goście nie są pewni, czy on też jest światowej sławy, bo obdarzali go specjalnym uśmiechem zarezerwowanym na takie okazje. To taki uśmiech, jak kiedy przy ogłuszającej muzyce bitowej ktoś ci opowiada swoje życie, nie rozumiesz ani słowa, ale nie chcesz sobie tego kogoś zrazić, bo może szansa na stosunek, więc uśmiechasz się lekko, żeby pasowało do każdego tematu - od historii sukcesu do, powiedzmy, śmiertelnego wypadku.

W pewnej chwili zapanowała cisza, wysoki szczupły mężczyzna z wianuszkami sterczącymi jak rogi czarnych kosmyków wokół łysiny wygłosił piękne przemówienie, a następnie otwarto zimny bufet.

Niestety zupełnie nie w guście Brennera. Te japońskie koreczki, wiesz, w środku ryż, na zewnątrz surowa ryba. I może to też przypomniało mu tego nauczyciela, co wyemigrował do Chin, bo dla Brennera Chiny - Japonia to było mniej więcej to samo.

Pośrodku sali dwaj japońscy kucharze w milczeniu zwijali te koreczki, a goście podchodzili i częstowali się, smakowało im, podobno to bardzo zdrowe i nietuczące, ale Brenner nie znosił surowych ryb. Zażęknął za domowym jedzeniem w profesorskiej jadalni seminarium, gdzie podawano takie rzeczy, jak: paszteciki, gotowaną wołowinę albo panierowany pasztet z wątróbki, ksywka tłusta świnia, tego typu rzeczy, może nie zawsze najzdrowsze z punktu widzenia cholesterolu, ale Brenner w tym względzie stara szkoła.

- Smakuje? - zagadnął go młody, elegancko ubrany mężczyzna.

Tenor albo odtwórca roli Hamleta - nie mógł się zdecydować Brenner. Na szczęście w ostatniej chwili rozpoznał go po złamanym siekaczu.

- Czego ty tu szukasz, Rene?

- Pana.

A prawda była taka, że przyprowadził go doktor Prader, no bo na party zawsze jest kilka darmowych biletów dla społecznie upośledzonych. Ale samego doktora Pradera Brenner zauważył dopiero wtedy, gdy ten podjął ożywioną rozmowę z prefektem Fitzem.

- Mnie?

- Znalazłem pańską posługaczkę.

- Gdzie? - spytał Brenner z pełną buzią.

Nie udało mu się pogryźć tej surowej ryby, więc musiał wsadzić sobie do ust cały koreczek.

- W kartotece.

- A gdzie znalazłeś kartotekę?

- Niech mnie pan o to nie pyta, wypuścili mnie warunkowo.

Ale kiedy przełknął jeden koreczek, nie odmówił sobie przyjemności, żeby się pochwalić.

- Pożar lasu wiesz klucze przy drzwiach zawsze w tym samym miejscu, więc je sobie wypożyczyłem na chwilę.

Brenner nie dał poznać po sobie, że jest pod wrażeniem.

- A skąd wiesz, że to chodzi akurat o moją posługaczkę?

- Jest tylko jedna karta z adnotacją „Petting”. Długo jej szukałem. Rok też się zgadza. 1973. Wtedy Gottlieb musiał być akurat w seminarium.

- Są jeszcze jakieś inne informacje?

- Nic. Tylko: Mary Ogusake. I jeszcze: Petting 69.

- Cholera.

Brennerowi koreczek upadł na podłogę właśnie w tym momencie, gdy już go prawie włożył pałeczkami do ust.

- Ogusake? A ja myślałem, że chodzi o jedną z tych debilowatych istot ze związków kazirodczych, których tyle jest w górskich okolicach. W seminarium chętnie je zatrudniają jako tanią pomoc kuchenną.

- Ogusake - potrząsnął głowę Rene. - To mi nie wygląda na salzburskiego górala. Pozostałe nazwiska w kartotece też nie brzmiały zbyt swojsko. Same Wangi i Wongi, i Li, i licho wie co jeszcze.

- Widzę, że pan też sobie nie radzi z tym japońskim żarciem.

Brenner aż się ugiął, gdy tamten, podszedłszy z tyłu, walnął go protekcjonalnie w ramię. Obejrzał się - przed nim stał zastępca dyrektora we własnej osobie. Stylizowany na ludowo garnitur przypominał fantazyjny mundur tych południowoafrykańskich generałów, tylko że zastępca nie wykazywał ani śladu wojskowej tężyzny. Był, jak to mówią, szerszy niż dłuższy, a gdy mówił, policzki tak mu się trzęsły, jakby usuwał asfalt świdrem pneumatycznym. Wcale się nie dziwię, że ktoś taki życzy sobie wnuków, przynajmniej mogłyby się uczyć liczyć do dziesięciu na fałdach jego karku.

W pierwszej chwili Brenner poczuł się złapany na gorącym uczynku, ale potem rozmawiali parę dobrych chwil o jedzeniu, no i wyobraź sobie, że obaj mieli taki sam gust, woleli rzeczy normalne od nienormalnych.

Rene stał obok i Brenner kątem oka spostrzegł, że podchodzą do niego doktor Prader i prefekt Fitz. Najokropniejsze na takich przyjęciach jest zawsze to, że rozmowy prowadzone

obok ciebie interesują cię bardziej niż ta, którą ty sam prowadzisz. No bo Rene właśnie zapytał swoich rozmówców bez ogródek, dlaczego w seminarium jest tyle filipińskiego personelu.

Brenner rozmawiał z zastępcą o pieczeniach, faszerowanych mostkach cielęcych i gołąbkach, ale przez cały czas nasłuchiwał, co mówi prefekt Fitz, który właśnie wyjaśniał związki historyczne. Człowiek w takiej sytuacji strasznie się denerwuje, a Brenner co najmniej przez dziesięć minut musiał się tak rozdwajać. Podczas gdy zastępca dyrektora festiwalu z błogim uśmiechem wyliczał swoje ulubione potrawy, prefekt Fitz i doktor Prader wyjaśniali Renemu, że Filipiny to jeden z najbardziej katolickich krajów świata.

Żebyś wiedział, że każdy zakątek kraju został dokładnie spenetrowany przez misjonarzy. U nas ludzie już nie palą z powodów zdrowotnych, no i firanek nie potrzeba tak często prać. Z drugiej strony papierosy to świetny biznes, więc wyjście salomonowe, niech palą dzicy, którzy nie mają pieniędzy na firanki.

A dym i wiara są ze sobą blisko spokrewnione, weź na przykład dym kadzidlany albo jak u Indian. Szefom koncernów papierosowych nigdy by to nie przyszło do głowy, gdyby nie podpatrzyli tego w Kościele. Oczywiście w Kościele są lepsi spece, wykształcenie i tak dalej, i oni już kilkaset lat wcześniej od koncernów tytoniowych powiedzieli, wiecie co, będziemy ten towar eksportować, to bardzo zabawne, jak Azjaci dostaną odcisków na kolanach, jakie to pasjonujące zadanie badawcze, czy te nagniotki będą tak samo skośne jak ich oczy.

- Świeża kiełbasa i podroby prosto z uboju - mówił zastępca dyrektora festiwalu - to dla mnie szczyt rozkoszy.

I zdradził Brennerowi w tajemnicy nazwę restauracji, gdzie porcje tych frykasów są tak duże, że taka na dwie osoby wystarczy dla trzech albo czterech osób.

A tuż obok prefekt Fitz wyjaśniał Renemu, że od tamtych czasów datują się te tradycyjne związki, na Filipinach jest nawet specjalne biuro kościelne, które organizuje programy szkoleniowe dla dziewcząt. Kończą one w Austrii kursy zawodowe, a po kilku latach wracają do domu, by dalej przekazywać wiedzę. Ale wiele z nich zostaje tutaj, podejmują pracę jako pielęgniarki albo wychodzą za mąż, albo jedno i drugie.

Po dziesięciu minutach tej gimnastyki umysłowej Brenner dał sobie spokój. Zresztą obok rozmowa dotyczyła już innych tematów, zdążył tylko jeszcze usłyszeć, jak doktor Prader zwierzał się prefektowi Fitzowi, że jego żona myśli o rezygnacji z pracy w agencji dr. phil. Gutha.

Ze strachu, że zastępca dyrektora festiwalu mógłby zauważyć jego nieobecność duchem, Brenner postawił zbyt obcesowe pytanie:

- Czy jest pan zadowolony z wyników dochodzenia?

Zastępca skrzywił się.

- Dochodzeniówka była u mnie trzy razy tego samego dnia - skarżył się, a jego policzki wibrowały. - Nie wiem, czy nie zapamiętali, co im powiedziałem za pierwszym razem, czy po prostu to kwestia hierarchii służbowej. To jest najgorsze w tych państwowych zakładach. Gdybym ja tak prowadził interesy, to już dawno bym splajtował.

Ale nie tylko rozmowa z Brennerem nie dawała spokoju policzkom zastępcy. Prawdziwego rozmachu nabierały z powodu pozdrowień, bez przerwy na lewo i prawo: pochwalony, dobry wieczór, moje uszanowanie.

- U nich przychodzi najpierw szef - opowiadał, nie przerywając powitań - i zadaje ci pytania, potem pojawia się nadszef i pyta dokładnie o to samo, a na koniec przychodzi nadnadszef i oświadcza, że tamci dwaj to praktykanci, i zaczyna wszystko od początku. To tak, jak z tymi nowoczesnymi obrazami, gdzie ludzie niby to posuwają się do przodu, choć w rzeczywistości kręcą się w kółko. Zna pan to: surrealizm! Może podejrzewali mnie o to, że własnoręcznie zięcia...

- Nie sądzę - rzucił Brenner w ciszę.

Bo dyrektor właśnie podjął jeszcze jedną próbę uporania się z koreczkiem ryżowym owiniętym plastrem rybnym. Kto wie, może sobie przypomniał o kawałkach surowej ryby, kiedy wspomniał o porąbanym na kawałki zięciu.

- Chyba bym to wolał.

- Wolałby pan, żeby podejrzewali pana niż pańską córkę?

Oho! Znowu koreczek pacnął na podłogę!

- Widzi pan, ciągle mi ucieka. Ryba wie lepiej, co dla mnie dobre - sapnął zastępca.

Schylił się, stękając, chwycił koreczek przez serwetkę, żeby nikt w to nie wdepnął, a jak pół godziny później się wyprostował, powiedział, ciężko dysząc:

- Ale wie pan co? Na pierwszym piętrze jest przygotowany gulasz, podadzą go na gorąco o północy, bo gulasz należy do tych dań, które najlepiej smakują odgrzewane. Na pewno już jest gotowy, bo musi przecież trochę przestygnąć. Więc zakradniemy się i weźmiemy sobie po porcyjce.

Ale na górze w ogóle nie było mowy o żadnym gulaszu.

- Nie spodobało mi się to o mojej córce. Wiem, kim jesteś, Brenner. I dam ci dobrą radę. Zostaw w spokoju moją córkę. Jeśli powiedziałem, że wolałbym, aby to mnie policja podejrzewała, chodziło mi o to, że to by chociaż miało jakiś sens, że mnie pytali trzy razy o to samo. Bo to wszystko jest opłacane z moich podatków A z moją córką nie ma to w ogóle nic wspólnego.

Bezczelność tego zwałistego niemowlaka, który nagle zaczął mu mówić na ty, odniosła taki skutek, że Brenner nagle poczuł litość dla zamordowanego, niby: z takim sobiepańskim teściem to prawdziwy krzyż pański. Można by powiedzieć: już wcześniej miał powód do litości, bądź co bądź denata porąbano na dwadzieścia trzy kawałki. No ale Brenner nie znał zamordowanego, a jak się kogoś poznaje dopiero w wersji puzzli, to trudno go sobie wyobrazić żywego. No i dopiero teraz Brenner poczuł litość dla Gottlieba i naprawdę się ucieszył, że chociaż jedna rzecz mu się w życiu udała, niby: Wszystko dla Hugona.

- Wiem, że nie miałeś nic złego na myśli... - uderzył dyrektor w polubowny ton, bo

otyli sadyści są zwykle bardzo wrażliwi. - Ale nie chcę, żeby ten człowiek jeszcze z za grobu zatruwał życie mojej córce.

Wyciągnął z szuflady pudełko z cygarami i poczęstował Brennera, jednak ten udął, że tego nie widzi.

- Chcę przez to po prostu powiedzieć - ciągnął tamten jeszcze powściągliwiej - że mi go nie brakuje. Z takim mężczyzną kobieta nie może być szczęśliwa. Chyba nie ma w tym nic dziwnego, kiedy ojciec pragnie, aby jego latorośl była szczęśliwa.

„Lathorośl” - powiedział zastępca, a w ogóle każde „t” wymawiał dobitnie i z przydechem jak zarozumiały szczeniak, którego z ochotą poczęstowałbyś kopniakiem. Tego jego pięknego „t” wystarczyłoby dla trzech pacjentów z zajęczą wargą. Brennerowi zapachniało to Bawarią, bo oni się tam tak certolą z tym swoim dialektem. Z Salzburga do Bawarii jest trzy kilometry, ale jak tylko miniesz szlaban graniczny, od razu masz w uszach to przydechowe „t”. A wyższe sfery salzburskie chętnie naśladowały tę cechę dialektu bawarskiego, niby takie braterstwo ponad granicami.

- To, że pańska córka nie miała dzieci, było z jego powodu?

Zastępca tylko sapał pogardliwie.

- Ale generalnie interesował się kobietami? - spytał ostrożnie Brenner. - W internacie podobno zakochał się w posługaczce.

Niektórzy ludzie uważają, że cygara są zdrowsze od papierosów, bo palacz się nie zaciąga. No i to oczywiście prawda, nie licząc raka języka, raka gardła i raka podniebienia. Ale dyrektor dostał teraz takiego ataku kaszlu, że Brenner by się nie zdziwił, gdyby mu te szklane niebieskie oczy wypadły z czerwonej jak pomidor twarzy i potoczyły po podłodze jak przed chwilą to sushi. Ta ogromna ilość powietrza, którą zużył do kasłania, wystarczyłaby do opatrzenia przydechem całego słownika bawarskiego.

Oczywiście nie musi to o niczym świadczyć, ale jednak to ciekawe - myślał Brenner - że taki doświadczony palacz cygar nagle zaciąga się jak sztubak, który nie potrafi odróżnić

prawdziwego davidoffa od gumy do żucia.

- To było dawno temu - zakasłał tamten.

Twarz nabiegła krwią świeciła mu się tak jak dynie, z których w niektórych okolicach robią te widmowe lampiony, i nigdy nie wiadomo, czy one mają odstraszać złe duchy, czy przyciągać.

- Oczywiście, że to z jego powodu. Przecież córka ci już o tym mówiła. Nie był zainteresowany. Miliony wydał na psychiatrę. I co z tego wyszło? Zamiast się zainteresować moją córką, wybrał się na sentymentalny spacer do natrysków z dzieciństwa i dał się zabić bezdomnemu, który się bał o swoją kryjówkę.

- Dlaczego pańska córka się nie rozwiodła?

- Zawsze jej mówiłem, że to ona powinna iść do psychiatry, a nie on. Ma bzika społecznego ta moja latorośl.

Zdażył się już wykasłać i znów miał dość powietrza w płucach, żeby mówić z pięknym przydechem.

- Mogła mieć wszystko. A co zrobiła? Wyszła za totalnego nieudacznika.

- W każdym razie teraz pańskie szanse na wnuka znowu rosną.

- Kto to mówi?

- Logika.

- Logika! - parsknął pogardliwie rolmops. - Kobięca logika!

- Jeśli pańska córka ponownie wyjdzie za mąż.

- Wolę niczego nie przewidywać. Niezbadane są wyroki mojej latorośli. Jest taka

uparta...

Tu zastępca przerwał i nad czymś się zamyślił głęboko.

-... jak pan? - odpowiedział Brenner.

- Czy detektyw ma obowiązek czytać w myślach?

- W każdym razie to nigdy nie zaszkodzi.

- W takim razie gulasz zjemy po północy - zmienił nagle temat dyrektor.

Niby: skoro tamten potrafi czytać w myślach, to najwyższy czas pokazać mu, kto tu jest panem.

- Na świeżo mi nie smakuje. Dopiero po podgrzaniu nabiera smaku prawdziwego gulaszu.

- Jak dla mnie może być nawet troszkę przypalony.

- Przypalony! - wykrzyknął dyrektor festiwalu.

Zatrzymał się na drewnianych schodach, którymi schodzili na dół, i obejrzał się na Brennera, jakby usłyszał właśnie najwyższą mądrość w swoim życiu.

- Od trzydziestu siedmiu lat jestem żonaty i od trzydziestu siedmiu lat kłócę się o to z żoną! Bo ja twierdzę, że gulasz musi być troszkę przypalony.

- Może nawet smakować trochę sadzą.

- Słusznie! Może nawet smakować sadzą. A wie pan, co na to moja żona?

- Rak.

- Pan naprawdę potrafi czytać w myślach.

Pod wpływem szoku zastępca zaczął mu znów mówić „pan”.

Między nami mówiąc, Brenner oczywiście nie potrafi czytać w myślach. Ale ma pewne doświadczenie z płcią przeciwną, oczywiście wiele pozytywnych rzeczy też, broń Boże nie mówię nie, ale oczywiście spalić tosta albo przypalić gulasz - to nie przejdzie, od razu w krzyk, można by pomyśleć, że Pan Bóg tylko po to dał im te wysokie głosy: rak! rak! I jeszcze raz rak!

- Czy pan pochodzi z Bawarii?

- Teraz to mnie pan już zaczyna przerażać, Brenner.

- Tak mi się to skojarzyło z uwagi na dialekt.

- Dialekt?

Brenner skinął głową.

- Taki pan jest obeznany z Bawarią?

- Jedyne, co wiem o Bawarii, to tyle, że tam wszystkie nazwy brzmią jakoś z chińska, wszystkie się kończą na - ing: Chieming, Ainring, Taching, Piding. Mój dziadek zawsze powtarzał, że stamtąd pochodzą wszyscy inżynierowie.

- Inżynierowie - roześmiał się zastępca. - To ja bym też musiał być inżynierem, bo pochodzę z Petting.

- Petting?

- Petting, zaraz za Freilassingiem, między Wagingiem a Heiningiem. Nie zna pan. To mała dziura, nawet nie ma ulic. Sprzedałem tam dom rodzinny, będzie trzydzieści lat temu.

- Petting sześćdziesiąt dziewięć - powiedział Brenner.

No i zupełnie nie do wiary, jak można, mając tak tłustą twarz, zrobić tak ponurą minę.

- Musi mi pan to wyjaśnić - wydobył się syk z tłustej twarzy zastępcy dyrektora.

- Pana córka - skłamał Brenner.

Na szczęście byli już w salonie i zastępca natychmiast popędził do córki.

A w salonie nastrój tymczasem zupełnie się zmienił. Goście utworzyli wielkie koło, a pośrodku salonu stał samotnie mężczyzna, gadając i jedząc. Ale nie myśl, że jadł sushi albo gulasz, albo dajmy na to spalonego tosta. Możesz mi wierzyć lub nie, ale Rene na oczach wszystkich konsumował kieliszek od szampana!

Eleganckie damy festiwalowe wpatrywały się z zachwytem w proletariusza, jakby od jedzenia świeżych ryb zamieniły się w świeżo upieczone podlotki.

- A więc to w ten sposób zламаłeś ząb - z udaną obojętnością powiedział Brenner po przedstawieniu.

Rene potrząsnął głową.

- Szkło jest bardziej miękkie od wielu rzeczy, które jadamy. Trzeba je tylko dobrze naślinić. To dlatego kobiety tak się podniecają, jak się na ich oczach je szkło.

- Rozumiem. - Po krótkiej chwili zastanowienia dodał: - Coś ci powiem. Petting możesz zapomnieć.

- Nie byłbym tego taki pewien - zaśmiał się głupkowato chłopak. - To nie podpada pod zwolnienie warunkowe. Od czternastu lat oczywiście! Ale te damy mają powyżej czternastki.

- Wiesz, co to jest Petting?

- Nie za bardzo.

- Parę kilometrów za granicą. Petting między Freilassingiem i Wagingiem czy coś w tym guście.

Rene zamknął oczy, jakby połknięte szkło jednak mu zaszkodziło, a potem powolutku uniósł na wpół powieki i powiedział, naśladowując udatnie kobiecey głos w tonacji gładkiego papieru ściernego:

- Ciekawe.

- Owszem, ciekawe.

- To ucieszy tego pana - powiedział Rene normalnym głosem.

I wskazał na faceta z koronką czarnych rogów wokół łysiny, który wygłosił przedtem tę piękną mowę powitalną.

- Jak to?

- Tylko niech pan nie udaje, że go pan nie zna?

- Wygląda jak dyrygent z tymi sterczącymi włosami.

- A jeśli panu powiem - ciągnął tajemniczo Rene - że on się ucieszy, bo go ta sprawa z pettingiem już nie obciąża? Bo teraz to Gottlieb zrobił z siebie głupca?

- To jest Schorn?

- Mam nadzieję, że przez wdzięczność wstawi się za mną.

- W urzędzie pracy?

- U pożaru lasu. Wyszedłem warunkowo. A ona mnie przyskrzyniła, jak odwieszałem te klucze na miejsce.

- Przez cały czas się dziwiłem, że jej tu nie ma.

- No właśnie. Poleciała zaraz na dół do gabinetu sprawdzić, czy czegoś nie ukradłem.

- To zła wiadomość - powiedział Brenner obojętnie.

Nie chciał dać poznać po sobie, że w tym momencie zaczął się trochę bać o Renego. Ale niedługo się martwił. Bo dwie godziny później kompletnie o tym zapomniał. Ani trochę się już nie martwił o Renego. Bo na tym świecie nie ma lepszej odtrutki na małe zmartwienia niż duże zmartwienie.

Wracając do domu przez Wzgórze Kapucynów, poczuł zbliżanie się porannego napadu bólu głowy. Ale nie z powodu alkoholu, bo wcale dużo nie wypił na przyjęciu. Raczej z powodu gadania. I słuchania. Zwłaszcza pozornego słuchania, kiedy w rzeczywistości przysłuchujemy się temu, co mówią ludzie obok.

Ściśle rzecz biorąc, głowa nie bolała go jeszcze ani trochę, ale z doświadczenia wiedział, że tego nie da się już uniknąć. Niezawodny sygnał: nerwowy chaos w głowie, niby takie myślowe party.

No i ciekawa sprawa, podobnie jak podczas rozmowy z zastępcą myślami był obok przy prefekcie Fitzu i doktorze Praderze, tak teraz w drodze powrotnej rozmyślał wprawdzie o domu w Pettingu i o tym, że posługaczka była piętnastoletnią Filipinką, ale w rzeczywistości przez cały czas był myślami przy innym temacie, czyli: nietakt względem własnych myśli.

Jak powiedziałem, to nie była kwestia wypitego alkoholu, że przez cały czas był myślami przy mowie powitalnej prałata Schorna. I na pewno nie z powodu pełni księżyca, bo tak naprawdę pełnia wypadała dopiero za dwa dni, to tylko tak wyglądało, jakby księżyc był w pełni. No i na pewno nie tylko z powodu pogody. Chociaż trzeba powiedzieć, że robiło się nieprzyjemnie, jak to ciepłe, wilgotne wichrzysko przewalało się po wzgórzu.

A fen jest zawsze niebezpieczny dla głowy, więc Brenner musiał uważać, żeby mu się te myśli nie telepały w łepetynie bez ładu i składu, bo na drugi dzień będzie musiał za to odpokutować. Ale z drugiej strony na tym właśnie to wszystko polega, że nie jesteś panem siebie, i to już teraz, a nie dopiero następnego dnia, kiedy budzisz się z takim uczuciem, jakby jeden z tych kafarów, których używa się do wbijania pali na budowie, wbijał ci głowę w ramiona niby wentyl przy pompowaniu piłki wodnej.

Więc wracając teraz pośród przeraźliwego szumu drzew do domu, Brenner ubrdał sobie, że przemówienie prałata Schorna nie było wcale przeznaczone dla gości party, a tylko i wyłącznie dla niego, czytaj: ostatnie ostrzeżenie.

- Wielka to dla mnie radość - przywitał gości prałat Schorn - że najwięksi artyści świata nie zapominają o najbiedniejszych z biednych. Nikt nie wie tego tak dobrze jak ja, i to z własnego doświadczenia, że największe dzieła ludzkości powstają z wyrzeczenia. Tylko dyletant łączywie chwyta wszystko, co mu wpadnie w rękę. Ale dzieło staje się prawdziwą sztuką dopiero w wyniku samoograniczenia artysty. Podobnie jak człowiek dopiero wtedy staje się naprawdę człowiekiem, kiedy zrozumie, że dawanie uszczęśliwia bardziej niż branie.

Nie uwierzysz, z tego wiatru, tego księżycy i nadszycającego bólu głowy Brenner przypomniał sobie słowo w słowo początek wystąpienia dostojnika. Ale z reszty przemówienia pamiętał tylko niektóre urywki. Gdyby był wiedział od początku, że mówca to prałat Schorn, toby lepiej uważał. A tak pamiętał tylko fragmenty. I może dlatego ubrdał sobie, że słowa mówcy były przeznaczone dla niego, no bo fragmenty zawsze niebezpieczne, poskładasz je sobie opacznie i mania prześladowcza gotowa.

W pewnym momencie prałat Schorn wspomniał Vincenta van Gogha. Wtedy Brenner nadstawił ucha, no bo wiadomo, van Gogh dobry malarz, tylko to ucho sobie niepotrzebnie obciąż. Jako że wtedy przemówienie trwałoby krócej.

W pierwszej chwili Brenner pomyślał, że mówca zaczął mówić o tym malarzu, bo pośród gości było na pewno wielu takich, co to mają w sypialni prawdziwego van Gogha, więc byłby to taki elegancki sposób na pobudzenie w nich ducha dobroczynności. Ale nie, ksiądz prałat miał zupełnie co innego na myśli. Bo zaczął drażnić problem, jaka to delikatna sprawa wyrzeczenie i że nie należy z tym przesadzać.

Chodziło mu o te krytyczne głosy opinii publicznej pod adresem imprez na cele dobroczynne, niby że bogacze chcą tylko w ten sposób uspokoić swoje sumienie. No i w tym punkcie właśnie prałat Schorn wypowiedział interesującą opinię, że z wyrzeczeniami też nie należy przesadzać. A historia sztuki dostarcza ciekawych przykładów, że nie warto obcinać sobie ucha z tego entuzjazmu twórczego, bo w ostatecznym rozrachunku nikomu to nie przynosi korzyści. Człowiek powinien być zdrowy i sprawny, żeby pomagać innym, tak jest słusznie.

Wracając do domu, Brenner po raz kolejny pomyślał, że było to bardzo ciekawe

przemówienie, bo i moralność, i sztuka. Prałat Schorn nie omieszkiał wspomnieć nawet o Paulu Gettym. Na pewno wiesz, kto to był ten Paul Getty, syn amerykańskiego milionera, któremu też obcięli ucho, no bo porywacze sobie pomyśleli, jakoś musimy udowodnić, że go mamy.

Na tej kanwie prałat Schorn dokonywał niezwykle śmiałych porównań i tak sobie myślę, że może w Kościele na biskupów biorą po prostu najlepszych mówców i że to nie ma nic wspólnego z poufnymi informacjami na temat lekcji higieny.

Dopiero w drodze do domu Brenner uświadomił sobie, w jak wyrafinowany sposób Schorn wybrał temat przemówienia. Na party dla gości festiwalowych w obecności mnóstwa sławnych muzyków mówić na temat ucha to, muszę powiedzieć, było niegłupie. Mówił o van Gogh'u i jego uchu (nadmiar wyrzeczeń), o Paulu Gettym i jego uchu (nadmiar chciwości) i ogólnie o dobrym i złym uchu. Bo ucho dla muzyka to oczywiście bardzo dobra sprawa, bez dwóch zdań. Ale ucho może być też złe, jak człowiek jest zbyt wścibski. A Biblia bez ogródek: jeśli twoje ucho jest ci powodem do grzechu, obetnij je.

- Obetnij je! - wykrzykiwał w trakcie przemówienia kandydat na biskupa Schorn.

Chodziło mu mianowicie o to, żeby się nie przejmować oszczerstwami, i jeśli opinia publiczna mówi źle o dobroczynności, to należy zasłonić uszy przed tym jadem. Prałat Schorn użył interesującego sformułowania: nie należy wszystkim dawać posłuchu, bo może się zdarzyć, że słuch już do nas nie wróci.

Brenner przypomniał sobie, że na te słowa słynni muzycy po prostu zadrżeli z przerażenia. To straszna wizja, bo wiadomo, słuch ważniejszy od głosu, to nawet Brenner wiedział od swojego puntigamskiego nauczyciela muzyki. A teraz skąd ta myśl u detektywa, że to wszystko zostało powiedziane akurat pod jego adresem?

Pewnie, że dla detektywa słuch to też bardzo ważna rzecz. Wprawdzie mówi się dużo o tym, że detektyw musi mieć nosa. A ja mówię: słuch ważniejszy od węchu! A co do nosa, nie była to najmocniejsza strona Brennera. Ale dawać posłuch najgłupszym nawet gadkom, do tego świetnie się nadawał.

Jednak mimo wszystko. Jeśli ktoś mówi na temat ucha do audytorium składającego się z setki muzyków, to trudno sobie wyobrazić, żeby adresował swoją wypowiedź do jedyne go detektywa na sali. A ponadto Brenner w ogóle nie należał do ludzi, którzy wszystko odnoszą do siebie. Wręcz przeciwnie - co jego kolejne partnerki życiowe mocno krytkowały, twierdząc, że nie bierze do siebie nawet tych rzeczy, które się jednoznacznie do niego odnoszą. No to skąd mu się wziął ten pomysł, że prałat Schorn wymyślił to całe przemówienie wyłącznie dla niego, niby jako ostrzeżenie, że nie lubi, jak ktoś nakłania ucha ku jego przeszłości.

Może powinienem to przedstawić jeszcze dokładniej. Bo w drodze powrotnej Brenner właściwie jeszcze nie odczuwał tego przemówienia jako ostrzeżenia. Miał jakieś takie dziwne uczucie, ale początkowo to raczej wypity alkohol, wichura i księżyc prawie w pełni sprawiły, że wystąpienie Schorna wciąż kołatało mu w głowie.

I dopiero kiedy dwie godziny po północy wrócił do pokoju prefektów pomocniczych, zrozumiał, że to było ostrzeżenie. Kiedy nie znalazł tych swoich zatyczek do uszu. A może nawet jeszcze później. Może dopiero wtedy, kiedy minutę później obudził portiera, inwalidę wojennego. Ten się oczywiście zdziwił, dlaczego detektyw budzi go w środku nocy tylko po to, żeby zapytać, czy ostatnio pojawił się w internacie prałat Schorn.

- Owszem, często tu zagląda - ziewnął portier.

- A ostatnio?

- Wczoraj wieczorem.

- Co to znaczy wczoraj? Dzisiaj czy wczoraj?

- Wczoraj, bo dzisiaj mamy już jutro.

Brenner począł go szarpać z taką wściekłością za ramiona, że stary przekazał mu informację w mniej dowcipny sposób:

- Sześć albo siedem godzin temu widziałem, jak wychodzi z internatu.

- Sam?

- Tak, sam.

Po chwili Brenner też był sam. No bo co mógł zrobić innego, jak wrócić do pokoju. Nie czuł się do końca dobrze. Ale żebyś zaraz nie pomyślał, że nie mógł spać ze strachu. Przeciwnie, zasnął prawie natychmiast. I spał twardo, jak nieprzytomny. Zawsze tak spał, jak jego głowa wymyśliła sobie bóle. Jak nieprzytomny. Albo powiedzmy inaczej: spał jak zabity.

Może właśnie ze strachu tak twardo spał. To tak jak z dzieckiem, które śpi jak zabite, jako że ze strachu nie chce o niczym wiedzieć.

No ale jak to może być, żeby taki stary byk jak Brenner się bał, bo ktoś mu wyjął z pudełka zatyczki do uszu? Więc spróbuj się postawić na miejscu człowieka, który właśnie wrócił z eleganckiego przyjęcia, potem ta sprawa z Pettingiem, z nazwiskiem Ogusake, potem powrót do domu przez wzgórze, po którym hulał wiatr, potem ponury budynek seminarium, na górę do pokoju prefektów pomocniczych i jedyna ucieczka - paczuszka z różowymi woskowymi kuleczkami. Też byś się poczuł nieswojo, gdybyś śmiertelnie zmęczony otworzył pudełko, a tam ani jednej z dwudziestu różowych kuleczek.

Poczuć się nieswojo to tak, ale żeby zaraz portiera na nocnym dyżurze budzić, to nie.

Na to mogę ci odpowiedzieć tak: kuleczek w środku nie było, ale pudełko nie było puste. Bo ktoś z tych kuleczek ulepił jak żywe ludzkie ucho.

I to ucho dokładnie mieściło się w pudełku, niby w trumnie na miarę. I wyglądało tak prawdziwie, że Brenner by się nie zdziwił, gdyby było jeszcze ciepłe. I może tylko dlatego nie krzyknął ze strachu. Bał się, że ucho go usłyszy. Takie było różowe i naturalne w tym swoim etui. Ucho van Gogha niech się schowa.

9

Prognoza pogody w telewizji też się bardzo zmieniła z biegiem lat. Dawniej jeszcze nie znali tych wszystkich sztuczek, a prezenterzy byli trochę sztywni. No a teraz te komputerowe sztuczki pierwsza klasa, trójwymiarowe góry, i widzisz, jak prezenterka się stara, żeby na ich tle nie wypaść blado. Chmury i śnieg, wszystko cudowne, muszę powiedzieć, że pogodę oglądam chętnie, a jeśli chodzi o prezenterki, to na pewno jeszcze je poprawią, żeby nie mówiły takim ostrym głosem.

W lewym dolnym rogu ekranu dyskretnie pokazują skrót IMGW, mało kto wie, co to znaczy. Więc ci powiem: Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Bo prognoza pogody to nadzwyczaj skomplikowana sprawa i telewizja skądś to musi mieć, no to jest taki instytut i oni tam przez cały dzień nic, tylko obserwują tę całą meteorologię i gospodarkę wodną, wielkie lornetki, a coś ty myślał, potem komputery i wszystko to jest ogromna praca, zanim taka blondyna może szczechnąć z ekranu: w górach zimny front.

No a że w Salzburgu często pada, to do tego niepotrzebny jest żaden instytut, bo to przysłowiowe. Ale niewielu ludzi wie, że w Salzburgu deszcz to dobra pogoda. Bo wybór jest niewielki: albo halny, albo deszcz, a teraz właśnie zanosilo się na deszcz, więc Brennera łeb bolał jak diabli.

Dlatego od czasu przyjęcia niewiele działał, jako że główny plac boju: apteka. A jak by ci przyszło do głowy powiedzieć, że to wcale nie halny był temu winien, tylko aptekarka z nocnej zmiany, która mu sprzedała ohropaksy, to mogę cię uspokoić: Brenner najchętniej poszedłby do innej apteki, żeby go ta aptekarka nie zobaczyła w tym stanie. Bo jak go dopadną bóle głowy, to ma takie uczucie, jakby miał wodogłowie, a jego głowa była trzy razy większa niż normalnie. No a ponieważ natura dała mu dość kwadratową głowę, to potrojenie jej wypada szczególnie niekorzystnie.

Trochę się oczywiście ucieszył, że go poznała, bo zaraz złośliwa uwaga:

- Mam nadzieję, że nie rozboleła pana głowa od tych ohropaksów.

- Owszem, dostały mi się do mózgu - odparł Brenner.

Aptekarka przewróciła oczami. Skąd mogła wiedzieć, że jej diagnoza była tak trafna. Że te kuleczki, z którymi się prałał Schorn obszedł w tak artystyczny sposób, przyprawiły go o ból głowy. Miał nawet wrażenie, że tym razem ból jest odrobinę inaczej umiejscowiony niż zwykle. Jakby zszedł trochę niżej i w lewo, powiedziałbym, taki ból, jakby mu obcięto lewe ucho.

Ponadto miał takie wrażenie, że słyszy lepiej niż zwykle. Jakby teraz dźwięki docierały bezpośrednio do jego głowy, bez tego skomplikowanego filtra ucha, jakby przez jakąś dziurę w głowie. Każdy mijający go samochód, każdy głos ludzki, każde sapnięcie - doprowadzały go do szału. To tylko po to, żebyś zrozumiał, dlaczego Brenner przez następne dwa dni nic nie robił.

Teraz uwaga ogólna: co właściwie robi człowiek, jak nic nie robi? No bo absolutne nicnierobienie w sensie dosłownym jest niemożliwe. Człowiek zawsze coś robi, nawet jak nic nie robi. To równie skomplikowana sprawa, jak z tym udowadnianiem niewinności, gdzie wdowa próbowała wyjaśnić Brennerowi, że, ściśle rzecz biorąc, nie jest to możliwe.

No i widzisz, o tym właśnie rozmyślał Brenner. Stał nad brzegiem Salzachu, gapił się w dół na wodę w słynnym zielonym kolorze pulsującego bólu głowy, która w słynnym powolnym tempie pulsującego bólu głowy poruszała się w kierunku przepaści, i wydawało mu się, że nic nie robi. Ale w rzeczywistości rozmyślał o tym, co mu wtedy powiedziała wdowa na temat niewinności. Że niewinności nie da się dowieść. Właściwie dlaczego nie, zastanawiał się. W odpowiedzi oczywiście natychmiast karne nasilenie bólu głowy. To jedyna odpowiedź, jaka przyszła do głowy jego głowie.

Od strony ludzi przechadzających się brzegiem rzeki wyglądało to tak, jakby ten facet się zastanawiał, czy ma skoczyć, czy nie, praktycznie to jedyna możliwość, jeśli chcesz naprawdę nic nie robić. Ale najpierw trzeba skoczyć, czyli coś zrobić, to tak jak z tymi bankami, jak byś liczył, jako drobny ciułacz zawsze stracisz.

Nawiasem mówiąc, było to całkiem niedaleko od mostu, z którego kiedyś policja musiała uprzątnąć stółek kuchenny. Jakaś starsza pani przyniosła ze sobą stółek kuchenny,

żeby jej było łatwiej przejść przez balustradę, no i potem policja miała problem, co zrobić ze stołkiem, i tak to właśnie jest z tym robieniem, w kółko coś się robi.

Mimo to człowiek jest rzadko tak bliski absolutnego nicnierobienia, jak Brenner tego popołudnia. Tak sobie stał nad brzegiem rzeki Salzach z typowym salzburskim halnym bólem głowy i rozmyślał na temat IMGW, czytaj: Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej.

No a dlaczego akurat na ten temat? No bo posłuchaj: Salzburg to tradycja, stare miasto i tak dalej, i nawet prognoza pogody ma tu bogatą tradycję. Może mi nie uwierzysz, ale na przęśle, przy którym stał teraz Brenner, umieszczona była marmurowa tablica z prognozą pogody z tamtych czasów. Ale to rzeczywiście musiało już być przed wiekami, bo wtedy jeszcze prezenterzy składali swoje raporty w formie rymowanej, a to było naprawdę coś, nie da się ukryć. Weź choćby już sam tytuł.

Fen na przedmieściach.

Trzeba poczuć na języku smak tego sformułowania. Formalnie czuje się respekt, jaki ludzie mieli wtedy przed pogodą. I w tym duchu to szło dalej na tej marmurowej tablicy.

Wieczorem wszystko wokół pustoszeje

i z brudnych brązów smród się wydobywa.

Mój drogi, jakby dzisiaj tak bez odrobiny wesołości ogłoszono alarm przeciwnośmogowy, to od razu mielibyśmy masowe samobójstwa. Nic dziwnego, że czytając tę prognozę pogody, Brenner przypomniał sobie tego nieszczęsnego prezentera pogody, który pociął na kawałki biednego Gottlieba, a potem sam się powiesił w starych pomieszczeniach natryskowych. Przez chwilę zastanawiał się, czy ten spiker by jeszcze żył, gdyby go nie zmuszano do podawania zawsze radosnych prognoz i gdyby czasem mógł też powiedzieć coś smutnego, jak to dawniej bywało.

Bo muszę powiedzieć, że dawniej to się w ogóle nie krępowali. Z każdą linijką tekst robił się coraz bardziej ponury. Ale Brenner odczytywał to wciąż od nowa, jako że coś musiał robić, bo jak cię boli głowa, to nie możesz nic nie robić. A jak już cię ten ból dopadnie, to

jeszcze najprędzej ci pomoże, jak patrzysz na coś, co też okazuje ból.

Tylko skrót pod tą prognozą pogody sprzed lat nie dawał mu spokoju. To musiał być skrót ówczesnego instytutu meteorologii, więc Brenner zaczął kombinować, jak by ten skrót rozwiązać. Swoją drogą ciekawe, że już wtedy istniał ten pęd do skrótów, może dlatego, że wtedy szybciej można było tę prognozę wykuć w marmurze.

Brenner próbował tak i siak: Temperatury Rejestracja, Austriackie Królewskie (nie, powinno być Cesarsko-Królewskie) Laboratoria... ale to się nie kleiło, a dla jego głowy takie rozważania oczywiście zabójstwo, więc szybko dał sobie spokój. Ucisk w głowie tak się nasilił, że Brenner wpadł w szal. To tak, jakbyś w sklepie z powietrzem do oddychania usłyszał, że powietrze się skończyło, ale wata jeszcze jest.

A teraz ważne dla meteoropatów. Fen sam w sobie nie jest jeszcze najgorszy. Najgorsze jest te kilka godzin tuż przed załamaniem się fenu. No bo co to jest fen czy halny? To po prostu ciepły wiatr spadający z gór. A co robi halny? Broni się przed nadchodzącym deszczem. A czego chce deszcz? Po prostu też spaść! No bo wszędzie wokoło deszcz już spadł, a w Salzburgu wciąż jeszcze spada ciepły wiatr.

No i jak teraz deszcz podchodzi coraz bliżej, a halny się broni z całych sił, to się dostajesz między te dwie siły. To jest coś takiego jak w piwiarni, kiedy dwóch pijanych bierze się za łby, a ty siedzisz pośrodku i od obu obrywasz kuflem.

I dlatego Brenner stał nad brzegiem kompletnie ogłuszony i miał wrażenie, że świat stanął w miejscu.

Ale tu znowu złudzenie optyczne: często człowiekowi wydaje się, że świat stanął w miejscu, podczas gdy on właśnie skoczył do przodu. Bo inaczej jak by to było możliwe, że Brenner potrzebował tyle czasu na powrót do seminarium, a chwilę później wysiadał już z taksówki w Pettingu?

I ból głowy jak ręką odjął. I lunął taki deszcz, prawdziwe oberwanie chmury, że taksówkarz aż się zapytał, czy Brenner naprawdę chce teraz wysiąść. Ale Brenner nie słyszał pytania, bo już dawno go nie było w taksówce.

„Dr Ogusake” - głosiła niewielka tabliczka umieszczona na furtce ogrodowej. Zgadzało się to dokładnie z opisem, jaki otrzymał przez telefon. Chodzi o to, że jak Brenner wreszcie się doczłapał do Marianum, to mu portier inwalida wcisnął do ręki karteczkę z numerem telefonicznym. Kierunkowy Niemcy, kierunkowy Petting i numer. Brenner zadzwonił zaraz z portierni. Ale nie wyobrażaj sobie, że telefon odebrała Filipinka Mary Ogusake.

Telefon odebrał Rene. Zameldował Brennerowi, że już od dwóch dni mieszka u Filipinki i że Brenner musi natychmiast przyjechać, bo są niesamowite nowiny, i nie masz pojęcia, co tam jeszcze jest na tych skradzionych dyskietkach z adresami oprócz dat urodzin i informacji o kremach. Brenner ucieszył się, że Rene zaczął mu mówić na „ty”, sprawa zaufania. Ale z drugiej strony był trochę zły, że tamten struga takiego waśniaka i nic więcej przez telefon, bo niebezpieczeństwo życia.

- Petting numer sześćdziesiąt dziewięć - powiedział mu tylko Rene. - Na tabliczce obok dzwonka stoi nazwisko dr Ogusake. Nie zgadniesz, jak ona doszła do tytułu doktora.

No i teraz furtka ogrodowa była, tabliczka była, dzwonek był, tylko Renego nie było. I w ogóle żywej duszy. Głupia sprawa podczas takiej ulewy. Ale Brenner był w dobrym humorze, bo głowa przestała go boleć, i nawet pogwizdywał, chociaż stał w strugach deszczu bez parasola. Być może ulewny deszcz skojarzył mu się z prysznicem, a pod prysznicem ludzie zwykle pogwizdują.

Zadzwonił jeszcze kilka razy, dzwonek u drzwi słychać było aż na ulicy. Ale nic z tego, albo Rene szybko pobiegł po zakupy, żeby mieć czym poczęstować gościa, albo - i pod wpływem tej myśli Brenner oparł się po prostu o dzwonek, że można by pomyśleć, dzwonienie to jego ulubione zajęcie. Bo oczywiście podejrzenie: Rene leży w łóżku z dr Mary Ogusake.

Ale żadnej reakcji, więc żeby nie przemoknąć do suchej nitki, wsunął rękę przez siatkę, przekręcił z drugiej strony klucz i pobiegł do drzwi wejściowych, gdzie chronił przed deszczem mały daszek nad wejściem. Zapukał w szybką w drzwiach, ale oczywiście dlaczego mieliby usłyszeć pukanie, skoro nie usłyszeli dzwonka. Przywarł plecami do drzwi, teraz

deszcz w ogóle na niego nie padał. Oczywiście niebezpieczna postawa, bo gdyby ktoś otworzył drzwi od wewnątrz, rymnąłby do holu jak długi. Ale alarm zaraz odwołany, nikt nie otworzył drzwi. Zresztą po całym tym dzwonieniu Brenner wykluczył taką możliwość.

Więc tylko rozglądał się w lewo i w prawo, czy przypadkiem Rene i jego Filipinka nie wracają z torbą pełną zakupów, z pięknym poczęstunkiem dla gościa. Wiadoma sprawa: po napadzie migreny przychodzi zawsze napad głodu, to tak jak u morderców, że po morderstwie odczuwają morderczy głód.

A Brenner miał teraz nawet podwójny powód, żeby odczuwać głód, wiadomo, poczęstunek nigdy nie smakuje lepiej, niż kiedy przy psiej pogodzie znajdziesz się we wnętrzu domu. Ale o wnętrzu domu nie było mowy. Wciąż jeszcze stał na dworze przylepiony do drzwi, a oberwanie chmury tak się wzmogło, że mimo osłaniającego daszku strugi deszczu rozpryskiwały się na jego butach.

Jednak spróbował jeszcze raz zadzwonić, niby: tonący brzytwy się chwyta, może mnie jednak nie słyszeli, ale nie obiecywał sobie po tym zbyt wiele, bo skoro dzwonek słyhać było nawet na ulicy. Teraz dopiero uświadomił sobie ze zdziwieniem, że to nie żadne azjatyckie ding-dong, tylko przeraźliwy dzwonek, taki sam jak w seminarium, jak w gmachu opery, jak w aptece itede.

Zresztą deszcz był głośniejszy od dzwonka, a nagłe oziębienie sprawiło, że ziemia formalnie parowała, więc Brennerowi przypomniała się marmurowa tablica z prognozą pogody sprzed stuleci:

Opary wodne, dziwne widma wstają,

przeszłego życia kształty przybierają.

A może przypomniało mu się to dopiero wtedy, gdy był już w środku. Bo jak przemoknięte buty zaczęły piszczeć przy najmniejszym poruszeniu, zdecydował się nacisnąć klamkę, oczywiście zdumienie, drzwi były otwarte.

Więc wszedł, właściwie chciał zaczekać w przedpokoju, ale ciekawość przemogła

wszelkie opory, otworzył kolejne drzwi i, wydaje mi się, że dopiero wtedy sobie przypomniał. Te linijki o oparach, widmach i przeszłym życiu. Muszę uczciwie przyznać, że te dawne prognozy pogody były bardzo sugestywne.

Chociaż tak naprawdę to nie opary wodne unosiły się w salonie Mary Ogusake. Tylko po prostu porzrzućane wokół kawałki zwłok dosłownie jeszcze parowały. Myślę, że to dlatego Brennerowi przypomniła się ta dawna prognoza pogody.

Tu jakiś kanał pluje tłustą juchą

z pobliskiej rzeźni prosto w czysty potok.

Nic dziwnego, że mu to przyszło na myśl, bo właśnie w tej chwili zwymiotował.

Kobiety w koszach niosą świeże trzewia - przeleciało mu przez myśl, gdy opróżniał własne trzewia prosto na podłogę, ale z punktu widzenia czystości to i tak nie miało znaczenia, bo cała podłoga była pełna, że tak powiem, wnętrzości.

Była to najczystsze danie z uboju z dwóch osób. Ale przy takich daniach można się potwornie omylić. Bo w restauracji danie dla jednej osoby wystarcza zwykle dla dwóch osób, a danie dla dwóch osób - wystarcza dla czterech. Natomiast tutaj Brenner dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że chodzi o zwłoki jednego człowieka.

Nie był to widok odpowiedni dla bogów, to trzeba przyznać, co najwyżej dla bardzo złych bogów, którzy podobno także istnieją. Pierwsze wrażenie było takie, jakby jakaś nadziemka posługaczka-olbrzymka wzięła tę drobną posługaczkę Mary Ogusake za wkładkę mięsną do zupy i odpowiednio ją przyrządziła. Trochę jak z tym żeglarzem, który się dostał na wyspę olbrzymów, muszę powiedzieć, że mnie ciarki przechodzą, jak to oglądam w wieczorynkach.

Lecz Petting to nie telewizja, chociaż pora była odpowiednia na dobranockę. Ale gdyby chciał włączyć telewizor dla odwrócenia uwagi, toby go najpierw musiał wytrzeć. A gdyby dla komfortu oglądania chciał sobie przynieść piwo z lodówki w kuchni, to najpierw musiałby zdjąć z klamki dłoń bylejakiej posługaczki dr Ogusake.

Najwyraźniej Filipinka próbowała uciec przez drzwi kuchenne i teraz Brenner w tym całym szoku miał wrażenie, że dłoń byłej posługaczki macha do dłoni, którą swego czasu Sebastian Franz wyciągnął ze stołu do gry w futbol.

Ściśle rzecz biorąc, piwa by teraz i tak nie przelknął. Raczej kwestia: jak zapobiec odwrotnemu procesowi. I wielka kwestia: gdzie się podziewał Rene. I jeszcze jedna wielka kwestia: czy to Rene tak urządził byłą posługaczkę Mary. Ale niedługo sobie stawiał te pytania. Bo człowiekowi w takiej sytuacji przychodzą do głowy najbardziej bezsensowne myśli. No i Brenner się zastanawiał nad kwestią, jaka będzie pogoda.

Albo powiedzmy inaczej: nie dawała mu spokoju prognoza pogody z marmurowej tablicy.

Tu jakiś kanał pluje tłustą juchą,

barwi się potok czerwonawą smugą.

Kochany. Jimi Hendrix udusił się własnymi wymiocinami. Całkiem częsta przyczyna śmierci u nieprzytomnych. Ale Brenner był najzupełniej przytomny, klęcząc pośród wnętrzności. Czyli doskonała pozycja dla wymiotującego. No więc jak to się stało, że mimo to nie mógł zaczerpnąć oddechu? Klęcząc, próbował oddychać, ale nic z tego, powietrze w ogóle nie wchodziło do płuc.

Ogarnia go panika, a coś ty myślał, zerwał się, wypadł z domu. Ale jak otworzył drzwi, ani tchu! Zrobił krok pod daszek - nadal brak powietrza.

Dopiero kiedy oberwanie chmury z hukiem zważyło mu się na głowę, skurcz ustąpił i powietrze wdarło się do płuc Brennera, jakby piorun uderzył w ogród Mary Ogusake.

Jeszcze przez kilka minut spazmatycznie chwycił powietrze jak maratończyk, kiedy po ukończonym biegu podsuwają mu mikrofon, a on zamiast wydać okrzyk zwycięstwa, tylko dyszy bezradnie. Z wolna oddech mu się uspokajał, ale wciąż nie myślał o tym, żeby się schronić przez ulewą. I gdy wreszcie mógł normalnie oddychać, nadal stał bez ruchu, jakby

tknięty apopleksją.

Po prostu stał w ogrodzie Mary Ogusake, jakby zażywał prysznicu pod gołym niebem. Bo pamiętasz, co ci przedtem mówiłem o tym robieniu: nie wiedział, co ma robić. Czekał, aż teraz Pan Bóg coś zrobi i na przykład rozpuści go w deszczu jak nieświadomy niczego kawałek cukru.

Ale nic z tego. Nie rozpuścił się. A ponieważ się nie rozpuścił i ponieważ coś musiał robić, i ponieważ bał się wejść z powrotem do domu, i ponieważ bał się wyjść z ogrodu, więc po prostu stał pod tym prysznicem, a ponieważ człowiek pod prysznicem chętnie podśpiewuje i pogwizduje, więc i on teraz pogwizdywał z cicha.

Przypuszczam, że gwizdał też trochę ze strachu. Albo tak, jak to się gwizdże, żeby się pozbyć natrętnych myśli. Bo teraz musiał się koniecznie pozbyć myśli, że to może Rene tak urządził Mary. Skłonny jestem nawet przypuszczać, że to z powodu tej myśli nie mógł przedtem złapać powietrza. No bo jeśli chodzi o trupy, to dosyć się na nie napatrzył przez tych dziewiętnaście lat służby w policji.

Ale teraz miał znów dość powietrza w płucach, żeby gwizdać. A zimny deszcz na tyle przywrócił mu przytomność umysłu, że sobie nawet uzmysłowił, co takiego właściwie gwizdże. No bo znana historia u Brennera, że często pogwizdywał jakąś melodię, kiedy jego podświadomość próbowała mu dać wskazówkę. Czasem aż dziw, co mu tam w duszy grało. Bo ten stary rockowy szlagier przypomniał sobie teraz po raz pierwszy od trzydziestu lat.

I'm crazy about girls!

I'm crazy about women!

Ale tak to jest z tą podświadomością. Daje ci wskazówki, jak nie zwracasz na to uwagi, jednak jak tylko się zorientujesz, wskazówki diabli biorą. No bo co to za wskazówka, myślał Brenner.

I'm crazy about girls!

I'm crazy about women!

I chociaż go denerwowała ta bezużyteczna wskazówka, gwizdał w najlepsze dalej. Że to ktoś musi być nieźle crazy, żeby tak urządzić kobietę, tego mógł się domyślić i bez podpowiedzi podświadomości. No i muszę powiedzieć, że ludzie przeceniają tę podświadomość, udaje ważniaka, a wie niewiele więcej od każdego z nas.

Ale nie mógł się pozbyć melodii. Swoją drogą brzmiała ona w jego ustach tak, jakby próbował zdmuchiwać z twarzy strugi deszczu, żeby móc w ogóle oddychać.

Nieźła melodia, pomyślał. Ale kiepska wskazówka. I zaczął się zastanawiać, co ma teraz robić. Nic nie robić, zawołały chórem: głowa, ciało, świadomość i podświadomość i wszystkie złe i dobre duszki, nic nie robić, a deszcz nie przestawał lać się na niego strumieniami i stopniowo wilgoć wpełzała z butów w nogi, z głowy do wnętrza ciała, ze skóry aż do kości i wreszcie jego kolana zaczęły terkotać jak maszyna do szycia.

A żeby ukręciły łeb podświadomości, mówię ci. Bo albo gwizdzesz, albo kłapiesz zębami. Obu rzeczy naraz nikt nie potrafi robić.

Teraz na pewno powiesz, to nie mógł być Rene. I muszę przyznać, że trudno dopuścić taką myśl. Bo jak poznałeś kogoś, kto potrafi jeść szkło, to nie zrezygnujesz z niego tak łatwo tylko dlatego, że spoczywa na nim cień podejrzenia o morderstwo.

Ale policja była niestety innego zdania. Policję wezwali sąsiedzi dr Mary Ogusake spod numeru 67 w Pettingu, bo w jej ogrodzie od kilku godzin w ulewnym deszczu stał mężczyzna i nie ruszył się ani na krok.

- Ren... - wyjąkał Brenner.

No bo oczywiście, jak masz czterdziestostopniową gorączkę i wymówisz „n”, to język ci się przykleja do podniebienia. Ale Brenner przemógł się, nadludzkim wysiłkiem oderwał język od podniebienia i powiedział głośno i wyraźnie:

- Rene.

- Co za Rene? - wrzasnął bawarski policjant.

No i widzisz, to są właśnie różnice kulturowe. Bo w austriackiej szkole policyjnej Brenner nauczył się jednego. Reguła numer jeden przy przesłuchaniach: uprzejmość! Wbijał im to do głowy głównie Jack Pet. Zanim Jack Pet został przeniesiony do szkoły policyjnej jako nauczyciel, był przez kilkadziesiąt lat wysokiej klasy specem od przesłuchań, no ale potem Amnesty International narobiła szumu o to, że raz albo dwa razy, no najwyżej trzy, zgasił peta na plecach podejrzanego, no i won do szkoły policyjnej.

Możesz mi nie wierzyć, ale przez cały czas, jak Brenner był w tej szkole policyjnej, Jack Pet nigdy nie powiedział niczego niestosownego i ciągle podkreślał: podczas przesłuchania trzeba zachować uprzejmość, jak długo się da. A nawet znany trik: poczęstować podsądnego papierosem, taki braterski gest. No i kto wie, może jego krytycy wszystko poprzekrećali, może zyskał przydomek Jack Pet tylko z powodu tego uprzejmego gestu, a wszystko inne to twór chorej wyobraźni.

- Co za Rene?! - wrzasnął po raz wtóry bawarski policjant.

Rzecz jasna, nie znał reguły Jacka Peta. No i nie znał Brennera, więc mógł sobie pomyśleć, że to on jest tym rzeźnikiem.

- Co! za! Rene!

Na to pytanie policja sama musiała sobie odpowiedzieć, bo Brennera gorączka dopadła z taką siłą, jakby Jackowi Petowi z tego uprzejmego uśmiechania się zapalony papieros wypadł z ust, albo powiedzmy tak: Brenner czuł na sobie krople deszczu tak, jakby wszystkie papierosy, które Jack Pet wypalił w życiu, w jednej chwili wypadły z jego uprzejmie uśmiechniętych ust i rozżarzone spadły na ciało Brennera.

Ale niemiecka policja oczywiście nie w ciemną bita, więc nawet bez odpowiedzi Brennera szybko się uporała z problemem. Jasna rzecz, komputery i wszystko, i już po kilku godzinach wiedzieli więcej, niż mogłby im powiedzieć Brenner. Znaleźli przecież zakrwawioną kurtkę Renego pośród kawałków zwłok, mnóstwo odcisków palców, sąsiedzi go widzieli, no i nie mieli w kartotekach zbyt wielu karanych o imieniu Rene.

Tego wszystkiego już się Brenner nie dowiedział. Bo czasem gorączka to cudowna rzecz. Nie dowiedział się, że jakiś bawarski Jack Pet w więzieniu we Freilassingu wydobył z niego zeznanie, że pracuje dla Marianum. Nie dowiedział się, że zjawił się prefekt Fitz i zabrał go do seminarium. I nie dowiedział się, że w seminarium zanieśli go na oddział chorych.

A nie było to wcale łatwe, bo oddział dla chorych w internacie jest z dala od pomieszczeń mieszkalnych i szkolnych, do głowy by ci nie przyszło, że można się tam dostać wyłącznie przez kaplicę na poddaszu, trzeba było wyjść przez zakrystię, a potem jeszcze pół piętra w dół i tam dopiero mieściło się królestwo chorych. Więc jak taki uczeń w Marianum zachorował, to musiał się najpierw wdrapać cztery piętra w górę, potem przejść przez pustą kaplicę, z ostatnich schodków prowadzących do oddziału dla chorych można się już było w ostateczności stoczyć.

Ale Brennera oczywiście elegancko nieśli - prefekt Fitz do spółki ze stolarzem. A potem położyli go na takim wojskowym łóżku polowym, ale nie z I wojny światowej, to musiało być łóżko z czasów napoleońskich, może nawet pamiętało wyprawy krzyżowe. A siostra pielęgniarka była jeszcze starsza od łóżka, miała bruzdy na policzkach jak te otwory strzelnicze w zamkach średniowiecznych. Ale poruszała się żwawo jak kula armatnia, lepiej tego określić nie można.

A z mowy bardziej przypominała kaprała niż siostrę zakonną. Jak powiedziałem, że za kaplicą na poddaszu znajdowało się królestwo chorych, to właściwie wyraziłem się nieściśle, bo to było królestwo siostry, czytaj: królestwo duchów. Jako że ona była jedyną siostrą w seminarium, a siostrą i przeoryszą w jednej osobie, bo wszystkie jej koleżanki już dawno awansowały, niby: poszły o jedno piętro wyżej niż kaplica.

Właściwie to też nie całkiem tak. To, że oddział dla chorych przypominał trochę tamten świat, to nie była właściwie wina matki przełożonej. Trzeba uczciwie przyznać, że to była raczej wina Brennera.

Bo gorączka opuściła go równie szybko, jak przyszła. Już nazajutrz miał najzupełniej normalną temperaturę. Ale czegoś takiego matka przełożona nigdy jeszcze nie widziała przez cały okres stu pięćdziesięciu lat posługiwania! Ten człowiek nie miał gorączki, ale nadal symulował, że ją ma. Bo Brenner po prostu dzień po dniu tylko leżał, gapił się w sufit i z nikim nie zamienił ani jednego słowa. I żeby chociaż na suficie wypisane było „Silentium!”. Nie, „Silentium!” było tu ręcznie haftowane i oprawione w ramkę i wisiało obok drzwi. I to jeszcze do tego z błędem: „Silencjum!”, to musiał być chyba jakiś uczeń, który wolał haftować, niż się uczyć łaciny.

Ale Brenner nie zaszczycił haftu ani jednym spojrzeniem. Interesował go tylko sufit. A drzwi to burzenie świętego spokoju, to irytujące wpadanie i wypadanie wiecznie mruczającej pod nosem matki przełożonej.

Czyli specjalnej sympatii między tym dwojgiem ludzi nie było, nie ma co ukrywać. Powiedziałbym wręcz, że jakby negatywna energia przepływała między tym milczącym mężczyzną a tą wiecznie mruczącą pod nosem zjawą w habicie zakonnym. I każdego dnia siostra zakonna jeszcze wyżej piętrzyła poduszki temu pacjentowi, który ani trochę nie

gorączkował, ale Brenner ani mru-mru. Z nikim nie rozmawiał. Ani z matką przełożoną, ani z policją, ani z księdzem rektorem, z nikim.

Wyobrażam sobie, że to tak jak z urządzeniem elektrycznym. Gdzieś się przerwie obwód i możesz stawać na głowie, a urządzenie nie działa, chociaż z wyglądu jest zupełnie w porządku, i taki skutek musiało na Brennerze wyrzucić przeżycie w Pettingu.

I tu muszę powiedzieć na obronę siostry: myślała, że Brenner postął trochę na deszczu i to wszystko, więcej jej nie powiedzieli. Skąd mogła wiedzieć, że Brenner widzi tam w górze nie tylko sufit, ale po prostu ekran kinowy. Skąd mogła wiedzieć, że Brenner bez przerwy widzi na suficie, jak posługaczka paruje.

Skąd mogła wiedzieć, że Brenner widzi tam w górze przemówienie prałata Schorna. Elegancki wydruk z ręcznymi poprawkami. Dokładnie tak, jak w drodze powrotnej widział je w samochodzie prefekta Fitz. Bo nie tylko politycy zlecają innym pisanie przemówień. Taki kandydat na biskupa też nie ma czasu sam pisać wszystkich przemówień, no i tacy ludzie, jak prefekt Fitz po prostu sobie na tym dorabiają. I oczywiście pytanie: który z nich dwóch włożył Brennerowi ucho do pudełeczka?

Może to też przyczyniło się do tego, że Brenner nic nie słyszał w tym swoim dziwnym stanie. Prócz oczywiście tej upartej melodii, niby: Crazy about girls, crazy about women. Jednak o tym matka przełożona też przecież nie mogła wiedzieć.

Ale totalna eskalacja nastąpiła dopiero piątego albo szóstego dnia, kiedy Brenner zrzucił przepoconą górę od pizamy i spał dalej z nagim torsem. Sanitariuszka z wypraw krzyżowych dostała ataku jak się patrzy.

- Jeśli tak będziemy leżeć jak stoisko mięsne w kąpielówkach, to do sądnego dnia nie wyzdrowiejemy! - syknęła do pacjenta otulonego milczeniem zamiast porządną pizamą.

Stoisko mięsne w kąpielówkach! Założyłbym się, że zakonnica naprawdę musiała tak powiedzieć, bo przecież normalny człowiek by czegoś takiego nie wymyślił. Pewną rolę mógł tu też odegrać specyficzny tors Brennera. Nie żeby nienaturalnie umięśniony, jak u Renego, co to, to nie. Ale miał dokładnie taki sam tors jak jego dziadek, któremu zawsze brakowało

dwóch górnych guzików u koszuli. To tylko żebyś rozumiał, dlaczego matka przełożona zareagowała tak agresywnie. Bo naczelną zasadą: diabeł nie śpi.

Jak kurujesz człowieka, który stracił mowę pod wpływem szoku, takie agresywne odzywki to oczywiście najgorsze, co możesz zrobić. W tym wypadku też idealnie pasuje reguła starego Jacka Peta. No bo pacjent jest z natury podejrzliwy. Jedną agresywną odzywką i ukryje się w swoim świecie, że niech się schowa ślimak w skorupce.

Ale u Brennera natychmiastowy sukces leczniczy. Plotka o tym stoisku mięsnym w kąpielówkach musiała jakoś dotrzeć aż do jego mózgu, bo nagle roześmiał się na całe gardło.

- Jeszcze nam przejdzie ochota do śmiechu! - syknęła wściekła siostra i wypadła z pokoju.

Muszę powiedzieć, że ją rozumiem, poczuła się po prostu wyśmiana. Najpierw przez tydzień ani słowa, a potem się jeszcze ten dziwny właściciel piersi z niej śmieje, nic przyjemnego. Można powiedzieć, tragiczne nieporozumienie, jako że właściwie powinna to potraktować jako swój sukces. Bo wraz z tym wybuchem śmiechu mózg Brennera wreszcie zaskoczył.

Ale ciekawa sprawa. Brenner był z gruntu zdrową naturą. W ciągu tego tygodnia, kiedy był mniej lub bardziej nieprzytomny, musiał jakoś przetrwać to potworne przeżycie w Pettingu, jako że teraz po obudzeniu miał już zupełnie inne problemy. No bo atmosfera i nuda na oddziale dla chorych przy pełnej świadomości - po prostu nie do wytrzymania. Nie było tam gazet ani normalnych magazynów, nic tylko czasopisma misyjne, żywoty świętych i modlitewniki, jeśli o mnie chodzi, to człowiek zdrowy w takiej sytuacji wykończy się w trymiga.

Lecz dla detektywa przeciwnie - nuda jest czasem nie najgorszą sprawą. Bo najlepsze myśli przychodzą człowiekowi do głowy z nudów. Uważam, że bez nudy człowiek niczego by nie wymyślił, ani lądowania na Księżycu, ani zamka błyskawicznego, ani perwersyjnych zabaw seksualnych z zamkami błyskawicznymi w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, nie! A najlepsze w nudzie jest to, że jest tym większa, im więcej ludzie wymyślają dla jej zabicia.

Ale w wypadku Brennera znowu wszystko na odwrót. Bo on z nudów nie wynajdywał nowych rzeczy, tylko z tej całej nudy dopuścił rzeczywistość do swego łoża boleści. I z wielkich nudów stopniowo zaczął sobie przypominać ludzi, którzy go w ciągu tego tygodnia odwiedzili. A właściwie nie tyle ludzi, ile ich głosy A może nawet nie tyle głosy, ile słowa, które do niego wypowiedzieli.

- Proszę spokojnie wypoczywać. Chciałem panu tylko powiedzieć, że nikt pana nie obwinia o ten wypadek. - (Słodki głos młodego księdza rektora).

- Niech się pan przestanie ukrywać, Brenner! Pan doskonale wie, że jest pan współwinny temu, że recydywista Renoldner zamordował Mary Ogusake. -(Głos dochodzeniówki).

Renoldner. I z tych nudów Brenner wykombinował sobie, że „Rene” to musiała być ksywka Renoldnera. Ale w archiwach dochodzeniówki ksywki oczywiście ważniejsze od prawdziwego nazwiska, więc wskazówka Brennera jednak im pomogła. Dochodzeniówka chciała mieć teraz prawdziwe zeznanie Brennera, to zrozumiała, a taki milczek wstrzymuje całe postępowanie.

Policjant musiał przemawiać do niego dość obcesowo, bo Brenner słyszał to teraz tak wyraźnie, jakby słowa były wygrawerowane w jego głowie:

- Nie udawaj, że śpisz, Brenner! I tak już wszystko wiemy. Znaleźliśmy zakrwawioną kurtkę Renoldnera, odciski palców. Sąsiedzi też go widzieli. Nie może być żadnych wątpliwości co do tego. Od ciebie chcemy tylko, żebyś nam powiedział, gdzie on jest.

Nie może być żadnych wątpliwości co do tego. Za to Brenner wątpił w zdrowy rozsądek oficera. O Jacku Pecie ten policjant też chyba nie słyszał, bo był tak nieuprzejmy, że aż strach.

Za to rektor sam miód. Nawet przepraszał za nieuprzejmych policjantów.

- Oni chcą tylko wiedzieć, gdzie się ukrywa podejrzany. Muszę powiedzieć, że ja

jestem całkowicie pozbawiony instynktu myśliwskiego. Bardziej mnie interesuje co innego. Jak pan wpadł na trop doktor Ogusake.

Rektor pewnie myślał, że interesującymi pytaniami wytrąci Brennera z letargu. Ale nic z tego, Brenner przecież w ogóle nie słyszał tych pytań. Dopiero teraz wygrzebał je z pamięci, żeby nie skisnąć w tej atmosferze domu starców. I rzeczywiście bardzo go zainteresowało, co mu ksiądz rektor opowiedział trzy dni wcześniej:

- O tym, że tytuł doktora nie należał do niej, tylko do jej zmarłego męża, wiedzieli nawet sąsiedzi. Ale niewielu ludzi wiedziało, że ten stary człowiek po ślubie przyjął nazwisko naszej byłej posługaczki Mary Ogusake. Strasznie jestem ciekaw, jak pan na to wpadł.

Ale wszystko na nic, bo Brennera to pytanie nie zdołało obudzić. Lecz ex post uznał, że jest rzeczywiście interesujące. No i tu mamy dowód na to, co zawsze powtarzam. Często z pytania dowiadujesz się więcej niż z odpowiedzi. Bo przecież Brenner w ogóle nie wiedział tego, co mu rektor właśnie powiedział. Rene wiedział, ale nie zdradził mu tego przez telefon.

- Zresztą to już piętnaście lat, jak doktor Guth poślubił naszą posługaczkę. Dr phil. Guth, ściśle mówiąc. Przywiązywał do tego dodatku dużą wagę, bo to go odróżniało od ojca, znanego ordynatora dr. Gutha. Ale ten człowiek zawsze miał problemy z nazwiskiem. Najpierw próbował zdobyć tożsamość, dodając do nazwiska phil., a w końcu całkowicie zmienił nazwisko.

Trudno się zresztą dziwić, że człowiek ma problemy z takim nazwiskiem. Jak się ktoś nazywa „Dobry”, to ma jak w banku, że dzieciaki będą go przezywały „Zły”. Ale ksiądz rektor miał co innego na myśli.

- Chociaż to nie ma związku z pańskim zleceniem, to jednak z czystej ciekawości rad bym wiedzieć, kto pana naprowadził na ten trop. Dr phil. Guth przez wiele dziesięcioleci prowadził wspaniałą działalność na rzecz naszej wspólnoty kościelnej. Założył agencję i skojarzył wiele wzorowych małżeństw. W instytucji kościelnej obowiązują surowsze reguły niż w biznesie prywatnym. Jest rzeczą niedopuszczalną, by kierownik takiej agencji zakochał się we własnej klientce.

W tej chwili Brenner coś usłyszał. Nie we wspomnieniach, tylko po raz pierwszy od tygodnia coś naprawdę usłyszał. Usłyszał matkę przełożoną kręcącą się za drzwiami. Jakieś posykiwania, pomruki, szelesty, które wydały mu się nienaturalnie głośne. No bo jak przez tydzień w ogóle nic nie słyszałeś, to teraz najcichszy szept wydaje ci się bardzo głośny. To jest tak samo, jakbyś przez kilka miesięcy nie brał do ust cukru, to potem najmniejszy kawałek ciasta przyklei ci się do podniebienia, a to jest znów taka sytuacja, jak kiedy przy czterdziestu stopniach gorączki próbujesz powiedzieć „Rene”.

No ale wreszcie szelesty ucichły, a w głowie Brennera znów zabrzmiał głos rektora:

- Biskup parokrotnie wzywał go do przerwania nielegalnego związku z naszą nieletnią posługaczką Mary. Prawdziwa tragedia zaczęła się, kiedy się okazało, że on naprawdę kocha tę dziewczynę. Inaczej ten stary człowiek nie zrezygnowałby z kierowania instytucją, aby móc ją poślubić. Wyjechał z miasta i przyjął jej nazwisko. To stara historia, a biedny dr phil. Guth od dawna nie żyje. A teraz Mary też nie żyje. Ale jego agencja kwitnie. To jego dzieło. Po człowieku pozostają uczynki. To najważniejsza prawda wiary, która nas odróżnia od luterańskich entuzjastów wiary. Liczą się uczynki. Nie wiara. Uczynki.

I znów szelest za drzwiami oderwał Brennera od wspomnień. Nie do wiary, ile hałasu może narobić taka chuda siostra zakonna przy najmniejszym poruszeniu! Rozwścieczony zerwał się z łóżka, żeby wreszcie zobaczyć, co ta siostra wyprawia za drzwiami. Oczywiście po tygodniu leżenia w łóżku był tak słaby, że musiał się przytrzymać żelaznego oparcia łóżka. Ale koniecznie chciał się dowiedzieć. Bo jeśli wiesz, skąd pochodzi hałas, to już cię to tak nie wyprowadza z równowagi.

Gwałtownym ruchem otworzył drzwi i w tym momencie krzyk, wyobraź sobie własną nogę, która składa się nie tylko z ciała, ale i z kości, a kości składają się nie tylko z kości, bo w środku jest szpik kostny, no i teraz wyobraź sobie krzyk tak przeraźliwy, że cię przenika, jak to mówią, do szpiku kości, to właśnie taki to był krzyk.

Ale to nie matka przełożona krzyczała ani nie szkielet stojący na korytarzu, taka demonstracja medyczna, modlimy się nie tylko za twoje zdrowie. To krzyczał bezdomny, który właśnie przeszukiwał stojącą tam szafę. Musisz wiedzieć, że bezdomni mają strasznie stargane nerwy, wiadomo, brak witamin, mikroelementów, minerałów, no i stąd ten okropny

krzyk, kiedy za jego plecami nagle otworzyły się drzwi, choć przed chwilą widział, jak matka przełożona opuszcza oddział.

- Człowieku, aleś mi napędził stracha! - krzyknął włóczęga na Brennera. - Aleś mi napędził stracha!

Ale tak naprawdę odczuł raczej ulgę niż złość, bo wziął Brennera za innego bezdomnego. I gdyby Brenner przedtem spojrział w lustro, toby wiedział dlaczego. Po tygodniu leżenia w łóżku nie wyglądasz tak jak chłopczyk, którego mamusia właśnie uczesała i wsadziła w garniturek do pierwszej komunii.

- Co ty tu robisz? - spytał Brenner.

Były to pierwsze słowa od tygodnia, więc jego głos brzmiał, jakby go przeszlifowano najgrubszym papierem ściernym dziadka.

A na to tamten z błyszczącymi oczami niby jak kolega do kolegi:

- Spójrz tylko na to! No spójrz tylko na to!

Wskazał na otwartą szafę, w której właśnie grzebał. Ale nie wśród lekarstw. Szafa była wypełniona po brzegi, jednak nie tabletkami.

- Reklamówki? - zdziwił się Brenner.

Jakoś nie podzielał entuzjazmu bezdomnego na widok prawdziwego muzeum reklamówek, które siostry zakonne urządziły w tej szafie.

- Stare!

- Rozumiem - powiedział Brenner, nic nie rozumiejąc.

- Stare torby plastikowe! Tu pod spodem są torby sprzed dwudziestu i trzydziestu lat!

Brenner nadal nie rozumiał, o co chodzi, i to go zdradziło. Ponieważ jak jesteś bezdomny, to choćby ci alkohol wyżarł ostatnie komórki mózgowie, jeszcze pamiętasz o tym, że stare reklamówki są o niebo lepsze od nowych, bo oczywiście ekologia doprowadziła reklamówki do ruiny.

- Kim ty właściwie jesteś? - spytał nieufnie włóczęga.

- Posłuchaj, jeśli mi dokładnie wyjaśnisz, o co chodzi z tymi reklamówkami, to ci pozwolę odejść i matka przełożona o niczym się nie dowie.

Wypowiedział te słowa głosem już prawie w pełni unormowanym, czytając: papier ścierny średniej grubości.

- Dlaczego nie poprosisz w kuchni, jeśli potrzebne ci są reklamówki?

- Przecież ci już mówiłem! Wszystko ci trzeba dwa razy powtarzać? Przecież tam mają tylko te białe szeleszczące reklamówki z recyklingu. Widziałeś kiedyś, żeby bezdomny używał tak bezwartościowych reklamówek?

- Ale te też szeleszczą, słychać było aż w pokoju.

- Tak, bo nowe są pomieszane ze starymi. A te stare są tak cudownie oleiste! - uśmiechał się promiennie włóczęga, jakby opowiadał o królewskiej uczcie. - Ani trochę nie szeleszczą! Te stare są takie mięciutkie, wytrzymają sto lat! A te nowe nie wytrzymają nawet tygodnia. Zwłaszcza te białe szeleszczące, które mają w kuchni. Jak się ktoś u nas pojawi z taką torbą, to od razu wiem, że to pracownik opieki społecznej. Po angielsku: streetwork! - roześmiał się bezdomny. - Oni się chętnie przebierają za bezdomnych. Ale po kiepskiej reklamówce od razu poznasz, że to dyrektor banku, który po pracy chętnie się zabawia w streetwork.

Musisz wiedzieć, że w dzisiejszych czasach tych wszystkich oszustów gospodarczych, syndyków, bankierów prywatnych, całego tego tałatajstwa nie wsadza się już do więzienia, bo państwo mówi: nie powinni demoralizować innych więźniów. Dlatego zadośćuczynienie, sąd powiada, popracujesz przez parę tygodni społecznie i będzie zgoda.

- Ale to nieprawda, że żaden bezdomny nie używa tych białych reklamówek - odważył się sprzeciwić specjaliście Brenner.

Bezdomny roześmiał się, ukazując bezzębną jamę ustną, Brenner dawno już nie widział, żeby ktoś śmiał się tak bezczelnie. I od czasu, gdy odszedł z policji, nikt jeszcze nie mówił do niego tak protekcyjnym tonem:

- On nie rozumie! On nadal nic nie rozumie!

Brenner już się bał, że tamten zrobi mu wykład filozoficzny, jak to teraz jest w modzie w jego grupie zawodowej. Ale dzięki Bogu bezdomny tylko pokręcił głową i z mgiełką w oczach powiedział:

- Te stare można podpalić i wachać, jak się podrą. A te nowe są kompletnie bezpłciowe.

- Ale twój kolega użył tych białych, kiedy trzy tygodnie temu pakował trupa. On też wykonywał pracę społeczną?

- On i praca społeczna! - roześmiał się bezdomny.

- To by chyba musiał długo udawać. Poznałem go na dworcu w jego czterdzieste siódme urodziny. A teraz skończył pięćdziesiąt.

- Miał dopiero pięćdziesiątkę?

- Wyglądał młodziej, nie? - roześmiał się bezzębny.

- A dożył chociaż do tej pięćdziesiątki?

- Dożył - to dobre! - nie przestawał chichotać śmierdzący włóczęga. - Dożył - to dobre!

- Ja też wkrótce skończę pięćdziesiąt lat - zwierzył się Brenner, bo ciężka choroba wprawiła go w kontemplacyjny nastrój.

- Mam nadzieję, że dożyjesz pięćdziesiątki.

- Pytanie jeszcze, jak się dożyje.

- Ten prezenter pogody dożył i nie dożył.

- Jesteś filozofem?

- Wiem to dlatego tak dokładnie, bo go poznałem na dworcu, kiedy właśnie kończył czterdzieści siedem lat. Schlał się jak prosię i powiedział, na pięćdziesiąte urodziny się powieszę.

Bezzębny śmiał się tak, jakby nigdy w życiu nie słyszał podobnej bzdury.

- A w swoje czterdzieste ósme urodziny schlał się na Wzgórzu Kapucynów i powiedział, na pięćdziesiąte urodziny się powieszę, a rok temu schlał się dokładnie tam obok bażanciarni i powiedział, za rok się powieszę.

- Czy on wszystko powtarzał trzy razy?

- No i w tym roku ukradł klucz od dawnych natrysków i powiedział: przez całe życie żyłem w brudzie, to chciałbym się chociaż powiesić w czystym miejscu.

Bezzębny roześmiał się z tego dobrego dowcipu, ale nie tyle filozoficznie, ile raczej jak kompletny debil.

- Tylko że skłamał - zadumał się bezdomny, przestając się śmiać.

- Nie powiesił się sam?

- Oczywiście, że się powiesił! Wiesz o tym dobrze. Owszem, powiesić to się powiesił.

Ale nie zrobił tego z powodu czystości. Tylko dlatego, że dawniej zapowiadał pogodę w telewizji. I dlatego chciał się powiesić tam, gdzie mógł sam zdecydować, czy pada, czy nie pada! - wybuchnął idiotycznym śmiechem, a Brenner miał ochotę palnąć go w tę głupią japę.

- I właśnie teraz miał urodziny?

- A co, myślisz, że by się powiesił na początku lipca, jakby miał urodziny w listopadzie?

- Zabieraj się - mruknął Brenner.

- On nie rozumie - mrucał bezdomny, oddalając się. - On nie rozumie!

Bo teraz to on nie rozumiał, jak ktoś może sobie wyobrazić, że jeden z jego kolegów mógłby używać dwudziestu trzech białych reklamówek.

Poszedł w kierunku kaplicy, a kiedy mijał szkielet, zaszutował i powiedział:

- Oswald, odmaszerować!

No i ciekawe, jak Brenner otworzył drzwi do łazienki, to bezdomny znowu się pojawił. Albo powiedzmy inaczej. W łazience matka przełożona dopuściła istnienie małego lusterka, w którym teraz Brenner po tygodniu z trudem się rozpoznał. Nie za bardzo był zbudowany swoim wyglądem, więc wykrzywił się głupkowato do lustra:

- On nie rozumie, ha, ha!

Cóż, nie tak trudno było zrozumieć, że to nie prezenter pogody zapakował Gottlieba w torebki foliowe, nie było tak trudno zrozumieć. Ale Brenner chciał wiedzieć, kto tak naprawdę miał na sumieniu Gottlieba i Mary Ogusake.

Czuł się teraz rześki, bo siedem dni snu, po prostu jak nowo narodzony. A po kwadransie wyglądał też jak w miarę cywilizowany człowiek, jako że matka przełożona z niewiadomych powodów zostawiła też w łazience przybory do golenia, nie będąc się próbował

domyślać po co, może do czyszczenia zębów.

- On nie rozumie! - robił miny do lustra. - On nie rozumie!

Teraz zadał sobie pytanie, dlaczego szkielet ma na imię Oswald. Dlaczego nie Jasio, Henio albo Johnny, dlaczego nie Nicole albo Natasza? Nic prostszego, w Marianum żywa tradycja humanistyczna, a os po łacinie znaczy kość, dlatego nazwali kościotrup „Oswaldem”. Brenner ze swoją łaciną z Puntigam powinien to właściwie wiedzieć.

Oczywiście, że nie miało to nic wspólnego z zabójcą Johna F Kennedy’ego, o którym Brenner uparcie myślał. I muszę powiedzieć, dzięki Bogu, że się pomylił. A swoją drogą, to ciekawe, jak często się zdarza, że coś fałszywego prowadzi do czegoś prawdziwego.

Więc kiedy wreszcie pojął prawdę, musiał być bardzo przerażony. Bo tak się zaciął przy goleniu, że grube krople krwi spłynęły do umywalki. No i wtedy oczywiście nieunikniony bieg wypadków.

11

Muszę powiedzieć, że te trzy krople krwi w białej umywalce miały w sobie coś bajkowego, bo każdy z tych czerwonych punktów dał początek jednemu etapowi w obrzydliwym biegu wypadków.

Punkt 1:

Brenner odnalazł w pokoju prefektów pomocniczych zdjęcie z powycinanymi twarzami, które zabrał na początku ze śmietnika za stolarnią. Z tym zdjęciem poszedł do stolarni i przycisnął stolarza. To znaczy nie dosłownie, tylko po prostu go wypytał. Ale wynik był równie mało apetyczny.

Uważaj, stolarz się przyznał, że powycinał twarze filipińskich dziewcząt i wkleił je w swoim sekszeszycie nad twarzami aktorek. Pomysł właściwie niegłupi, muszę powiedzieć. Ale Brennera nie interesował wcale zeszyt stolarza, potrzebne mu były tylko imiona dziewcząt. A zeszyt zabrał mu dlatego, że przedtem zmusił go, by nad każdą twarzą wpisał imię.

Punkt 2:

Brenner pofatygował się na Wzgórze Kapucynów do wdowy od dobroczynności. No bo to była jedyna osoba, co do której był pewien, że chce wiedzieć, kto ma na sumieniu jej Gottlieba. Poprosił ją, by wybrała dowolne imię z listy stolarza.

Wdowa: - Ale to obrzydliwy zeszyt.

Brenner: - Jedno imię.

Wdowa: - Wendy Li jest najprostsze do wymówienia.

Brenner: - Dobrze, niech będzie Wendy Li.

Wdowa: - I co dalej?

Brenner: - Niech pani zadzwoni pod ten numer i zapyta, czy Wendy Li może się zjawić za godzinę w operze.

Wdowa: - Pod ten numer?

No bo jasne. To był jej numer. W jej willi na Mnisim Wzgórzu. Tam, gdzie wtedy ta azjatycka dziewczyna otworzyłaby Brennerowi drzwi, gdyby jej ta kocica angora nie odwołała. A teraz rozpoznał ją w zeszycie stolarza.

Teraz wyobraź sobie Brennera jako starą lokomotywę do przetaczania wagonów. Trudno go ruszyć z miejsca, ale jak już ruszy, to opór jest bezcelowy. Więc wdowa zadzwoniła do własnego domu do kocicy i spytała o Wendy Li. W porządziu, usłyszała słodki głosik kocicy.

Fakt, że samoloty są teraz szybkie, ale w ciągu godziny nie przylecisz z Azji do Salzburga.

Punkt 3:

Brenner udał się prosto na plac Kapitulny i zadzwonił do agencji dr. phil. Gutha. Bo chciał zapytać pożar lasu, skąd nagle ten pomysł, żeby się zwolnić z pracy. Ale w biurze nie było nikogo. Oczywiście brak wyniku to też wynik, tylko że w tym momencie Brenner jeszcze tego nie mógł wiedzieć. Więc stał przed zamkniętymi drzwiami i dziwił się, jak cicho jest w całym gmachu.

Za to sto metrów dalej piekielny alarm. U panny Schuh zadzwonił telefon wewnętrzny ze skalnej karuzeli, zupełnie bez sensu, późnym popołudniem. No i panna Schuh od razu to dziwne uczucie. Nie powiem podniecenie, ale coś w tym guście. Sprzątaczką nie musiała jej wcale mówić przez telefon, że na scenie leży kolejny trup. Ona to czuła.

Nerwowo wydobyła klucze do tysiąca drzwi przejściowych prowadzących na scenę, potrącając przy tej okazji buteleczkę cointreau, a potem tak wolno udała się w kierunku

sceny, że można by pomyśleć, w ogóle nie stawia kroków, tylko trzęsące się kolana same pchają ją naprzód. Zresztą nie było powodu do pośpiechu, mówiło jej to długoletnie doświadczenie. No bo oczywiście, tych siedemdziesięciu metrów swobodnego spadku jeszcze nikt nie przeżył. Z jednym wyjątkiem oczywiście. To wtedy właśnie narodził się u panny Schuh ten szósty zmysł.

Bo pamiętaj o jednym. Panna Schuh bardzo wcześnie zaczęła pracować w operze, konkretnie w roku 1963, kiedy to zastrzelili tego Johna F Kennedyego. Wtedy właśnie mieli tam takiego pracownika od dekoracji, który do złudzenia przypominał tego amerykańskiego prezydenta. No i ten salzburski John F Kennedy wpadł w oko młodej pannie Schuh.

Na początku lat sześćdziesiątych oczywiście jeszcze nie każda sekretarka i nie każdy pracownik opery mieli luksusowe mieszkania. Więc tych dwoje spotykało się w godzinach pracy w skalnej karuzeli. Może to trochę przerażające, jak się oddajesz uniesieniom miłosnym w obliczu dwóch tysięcy pustych krzeseł teatralnych, ale z drugiej strony jest w tym też pewna doza romantyzmu.

Zwłaszcza latem, gdy dach nad sceną był otwarty, no i leżeli na zalanych światłem słonecznym deskach scenicznych, tak ciepłych jak deski pomostu prowadzącego do przystani, mając z jednej strony rzędy pustych krzeseł, a z drugiej litą skałę z arkadami, a w górze błękit nieba. Wieczorem profesjonaliści odgrywali tutaj historie miłosne wymyślone przez salzburskie cudowne dziecko, czytaj: Czarodziejski flet albo tę inną sztukę, która rozgrywa się w burdelu, a za dnia panna Schuh i John F. Kennedy, no mówię ci.

I za każdym razem było bardzo pięknie. Ale pewnego razu było zupełnie wyjątkowo. No i w pewnej chwili wyczerpana młoda panna Schuh odwróciła się nieco od swojego spoconego Johna F Kennedy ego i spojrzała na pustą widownię, niby: dreszczyk emocji, a nuż ktoś tam siedzi w ciemności i przygląda im się. No ale w życiu tak to już bywa, że niebezpieczeństwo przychodzi zawsze z zupełnie innej strony, niż się człowiek spodziewa.

I tak jak w wypadku tych dwóch smarkaczy grających w futbol stołowy, kiedy niebezpieczeństwo nie przyszło od strony schodów do piwnicy, tylko wyszło z samego stołu do gry, tak i w tej skalnej karuzeli nikt nie siedział na widowni, bo przecież panna Schuh za każdym razem dokładnie sprawdzała i zamykała wszystkie drzwi na trzy spusty. Ale

oczywiście na przeznaczenie nie pomogą zamki. Bo nagle panna Schuh poczuła lekkie trzęsienie ziemi.

Ale to nie było prawdziwe trzęsienie ziemi, niby: skala Richtera i Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Chociaż i na naszych szerokościach geograficznych odczuwamy czasem słabe odgłosy prawdziwych kataklizmów, a kilka lat później Salzburg porządnie odczuł straszliwe trzęsienie ziemi we Friaulu, pęknięte ściany kościołów, ochrona zabytków pełne ręce roboty, nie ma co. Ale trzęsienie ziemi latem 1963 to sobie panna Schuh po prostu wymyśliła.

Ani też nikt nie wyszedł ze skały. Z drugiej strony coś się musiało wydarzyć, inaczej nie miałyby takiego uczucia, jakby za jej plecami piorun uderzył. Odwróciła się, żeby spytać swojego Johna E Kennedy ego, a tu niespodzianka, Johna E Kennedy ego nie było. A na jego miejscu leżał obcy mężczyzna i, mrugając oczami ze zdumienia, przyglądał się nagiej pannie Schuh. Ale to nie był wcale trik teatralny, tylko po prostu kandydat na samobójcę. Wylądował tak miękko na Johnie F. Kennedym, że teraz tylko John F. Kennedy był martwy, on sam natomiast w pełni sił i zdrowia leżał sobie na czerwonym dywanie, który coraz bardziej się pod nim rozszerzał.

Potem panna Schuh pocieszała się duchowo, niby że nie tylko cointreau, ale i wzniosłe myśli: może tak musiało być, może on musiał umrzeć w tym samym roku co ten amerykański prezydent. A ten niedoszły samobójca żyje do dziś i zawsze na Wszystkich Świętych zapala znicz w intencji swojego zbawcy, chociaż znał go tak krótko.

To tylko żebyś rozumiał, dlaczego u panny Schuh już na zawsze skojarzenie dwóch jakże różnych spraw i dlaczego u niej zawsze ten szósty zmysł, jak ktoś na scenę. I dlaczego teraz jak lunatyk zmierzała do skalnej karuzeli, kiedy sprzątaczką zadzwoniła, że znowu ktoś wpadł na chwilę.

Gdyby szła odrobinę szybciej, Brenner by jej nie zobaczył w wejściu na scenę. I odwrotnie, gdyby Brenner szedł odrobinę szybciej, to być może ten człowiek, z powodu którego telefonowała sprzątaczką, uszedłby z życiem.

- Nie mam czasu - syknęła panna Schuh, czytając: słowa powitania. - Znowu ktoś

skoczył do manezu. Fen!

- Fen się skończył.

- Kto to powiedział?

- Moja głowa.

- Ach tak?

I panna Schuh po prostu odwróciła się do Brennera plecami i otworzyła kolejne drzwi. Kiedy tak hałasowała pęk kluczy, Brenner przypomniał sobie, jak pierwszego wieczoru w biurze rektora pęk kluczy podzwaniał w kieszeni prefekta Fitz'a. No ale w tym wspomnieniu odegrała pewną rolę jego obecna wiedza.

- Jeśli pani nie przeszkadza, chciałbym rzucić na to okiem - powiedział, wciskając się bezceremonialnie przez drzwi.

- To nie wygląda pięknie.

- Wiem, jak coś takiego wygląda.

Ale w tym momencie nie wspomniał jeszcze o Pettingu.

- Czego to pan nie wie!

- Wiem nawet, kto jest pani synem.

Panna Schuh nie zareagowała. Poszła dalej i hałasując kluczami, otworzyła kolejne drzwi.

- Sama mi pani wtedy powiedziała, że dała mu pani imię po Johnie F. Kennedym. Wtedy nie zwróciłem na to uwagi, bo angielskie imię John jest dość popularne. Ale nigdy bym nie wpadł na pomysł, że dała mu pani środkowe imię prezydenta.

- Fitzgerald! - uśmiechnęła się z dumą panna Schuh.

- Chociaż już pierwszego dnia w Marianum byłem bliski rozwiązania tej zagadki. Syna pani przedstawił mi prefekt z zajęczą wargą. Prefekt od wuefu Fitz. Najpierw myślałem, że zwracają się po imieniu do prefekta bez święceń kapłańskich, a stary prefekt z powodu zajęczej wargi nie mógł wymówić „r” w imieniu Fritz.

- Fritz! - parsknęła pogardliwie panna Schuh.

- Dlatego przez cały wieczór zwracałem pilną uwagę na jego wymowę.

- Sprytne!

- Rzeczywiście nigdy nie wymawiał „r”, więc pomyślałem sobie, że Fitz to nazwisko i dałem sobie spokój. Ale w głębi duszy musiałem czuć prawdę, bo przez cały czas mojego pobytu w Salzburgu ciągle miałem jakieś perypetie z brakującym „t” w wyrazach.

- Fitzgerald Schuh, wspaniałe, co? - upajała się matka brzmieniem nazwiska syna. - Mógł zostać biskupem, gdyby nie został uwiedziony.

- A tak pisze tylko przemówienia dla kandydata na biskupa Schorna.

- Pisze wspaniałe kazania - powiedziała z dumą matka.

- Na przykład o uszach.

- Słyszał je pan? Van Gogh!

- Słyszałem. I zrozumiałem.

- Pięknie pan to powiedział. Słyszałem i zrozumiałem. A to wielka różnica.

- Na przykład to, że pani dała synowi imię amerykańskiego prezydenta. Usłyszałem o

tym od pani wiele lat temu. Ale dopiero dzisiaj to zrozumiałem.

- Zrozumiałem! - parsknęła panna Schuh. - Zrozumiałem! - (Słowo to zabarwiła odrobiną goryczy). - Śmiechu warte!

I opowiedziała Brennerowi całą tę tragiczną historię, jak to wtedy spadł z nieba ten skoczek z Mnisiego Wzgórza, przez co jej syn stracił ojca kilka minut po zapłodnieniu.

- A jak pan doszedł do tego, że jest moim synem? Jest do mnie zupełnie niepodobny.

- Rzeczywiście. Ale do Johna F Kennedyego owszem.

Brenner nigdy jeszcze nie widział, żeby panna Schuh tak promieniała radością. Przy czym Fitz ani trochę nie był podobny do Kennedyego, miał wprawdzie nietypową fryzurę jak tamten, ale sterczące anteny na głowie miał po matce, dlatego szczyty włosów do tyłu aż do bólu.

A tak naprawdę Brennera naprowadził na tę myśl bezdomny, kiedy zsalutował przed Oswaldem. Ale nie miał serca wspominać pannie Schuh o bezdomnym.

- Szkielet w Marianum nazywa się Oswald - opowiadał, kiedy szli w kierunku skalnej karuzeli. - Tak jak morderca Johna F Kennedyego.

- Muhlbacher Erwin - powiedziała panna Schuh, bo oczywiście tak się nazywał morderca jej Johna F. Kennedyego.

- Lee Harvey Oswald. Imię jako nazwisko. Tak długo o tym myślałem, że w końcu zacząłem się zastanawiać, co się kryje za tym F prezydenta Kennedyego.

- Fitzgerald!

Panna Schuh wykrzyknęła to imię z takim promiennym zapalem, jakby zapowiadała jego występ na scenie, na którą właśnie wkraczali.

- To nie wygląda pięknie - po raz ostatni ostrzegła Brennera panna Schuh.

Właściwie to nie była prawda. Wiem, że nie będziesz chciał tego słuchać, ale w pewnym sensie to wyglądało naprawdę pięknie. Przede wszystkim ta ogromna scena, dziesięć razy większa, niż sobie Brenner wyobrażał. I te skalne arkady Mnisiego Wzgórza stanowiące tylną ścianę sceny. Błękitne niebo nad podniesionym dachem, oślepiające światło słoneczne, dzięki któremu rozgrzane deski sceny pachniały tak jak wyschnięte deski pomostu, kiedy kładziesz się na nich mokry po wyjściu z wody. Bo muszę powiedzieć, że scena była trochę mokra.

Ale najpiękniejszy był czerwony wieniec, który się utworzył wokół głowy trupa. Normalnie włosy wyrastają z głowy, a jak skoczysz ze skały, to jest odwrotnie, głowa wyrasta z włosów. Ale w tym wypadku nie było różnicy. W oślepiającym blasku pełni lata włosy wyrastające z głowy miały taki sam piękny kolor jak głowa wyrastająca z włosów. Niech się schowa pożar lasu.

Dlatego mówię, gdyby Brenner przyszedł kilka godzin wcześniej, może pożar lasu nie musiałby tak srogo odpokutować.

- Żona doktora Pradera - westchnęła panna Schuh, siadając obok zwłok.

A potem zaczęła cicho płakać.

Tylko nie pomyśl czasem, że to była fałszywa litość. Nie, to były wspomnienia.

- Dokładnie w tym miejscu ja wtedy leżałam - wskazała na trupa. - A dokładnie tu leżał mój przyjaciel. - (Czyli tu, gdzie ona sama teraz siedziała). - Spadają zawsze w tym samym miejscu - opowiadała. - Dlatego, że w ogóle można skoczyć tylko z jednego jedyne występu skalnego. Z góry wiem, gdzie leżą, jak tylko zadzwoni telefon.

- Zawsze w tym samym miejscu - powtórzył Brenner. - Ale przecież ludzie są różni.

- Ludzie, ludzie.

- Pani Praderowa była najbliższą współpracownicą pani syna. Prawdopodobnie zorientowała się, że teraz się wszystko wyda. Lukratywny handel dziewczycami, który rozkręciła pani z synem.

- Musi to pan najpierw udowodnić - powiedziała obojętnie panna Schuh, jakby chodziło o pogodę.

- To całkiem proste.

- Proste?

- Przed laty wmawiała mi pani, że Carlos Jose sfingował telefony po to, by ukryć swój marny śpiew.

- Bo marnie śpiewał. Miał zupełnie zdarty głos.

- Dlatego tymi telefonami chciała go pani skłonić, by rozwiązał kontrakt zawarty na wiele lat. Pani telefony to nie było naprzykrzanie się, jak myślałem wówczas, tylko szantaż.

- Przecież się przyznał, że sam do siebie dzwonił.

- I to właśnie powinno mi było wtedy dać do myślenia, że się tak szybko do tego przyznał. Ale uświadomiłem to sobie dopiero teraz, kiedy mi pani dawała ten bilet wstępu. Jak perfekcyjnie potrafiła pani naśladować głos tej dzwoniącej osoby.

- O la, la! Pan detektyw ma słuch absolutny - zadrwiła melodyjnie panna Schuh, po czym dodała głosem ostrym jak dźwięk raszpli: - Nikt nie może tak długo pamiętać głosu!

Ale tym razem Brenner nie dał się zwieść jej chropawemu głosowi. Więc powiedział spokojnie:

- Pan Jose wolał stracić głos niż spodnie.

- Kto traci chętnie spodnie?

- Zwłaszcza gdy są w to zamieszane nieletnie dziewczęta. Które pani z synem mu podrzuciła.

Ale panna Schuh wzruszyła ramionami:

- To było dawno. Po co pan odgrzewa te stare historie?

- Stare historie są najlepsze. Na przykład to, że pani syn przejął handel dziewczętami po starym dr. phil. Gucie, jak go pani wysłała na dożywocie do Pettingu.

Po czym Brenner opowiedział jej kilka nowych historii. Że dzwonił do willi na Mnisim Wzgórzu, gdzie panna Schuh z synem trzymali przez lato filipińskie dziewczęta jak w tajnym obozie pod pieczę kocicy angory. Że Gottlieb został zabity, bo wywąchał sprawę odesłania Mary Ogusake do Pettingu. A Mary dlatego, że on i Rene szli tropem Gottlieba. Że teraz sekretarka jej syna skoczyła ze skały, bo wmanewrował ją w sytuację bez wyjścia.

- Mój syn! - westchnęła panna Schuh.

Ale westchnęła nie nad losem syna, tylko nad głupotą Brennera.

- Niech pan da spokój mojemu synowi. Niech pan się przestanie zajmować plotkami!

I nagle zerwała się z miejsca, jakby dopiero teraz sobie uświadomiła, że siedzi obok trupa.

- To, że dotacje przeznaczone dla kaplicy trafiły do agencji mojego syna, to oczywiście pana nie interesuje. Niech pan lepiej spyta, w jaki sposób mogliśmy przez tyle lat bezpiecznie kręcić interes pod nosem szefostwa festiwalu!

Znów to samo. Panna Schuh sama sobie stawiała pytania.

- Niech pan spyta, dlaczego tak korzystnie kupiliśmy od zastępcy dyrektora tę starą budę w Pettingu...

- Korzystnie dla pani czy dla niego?

Ale do panny Schuh nic już nie docierało.

- Niech pan spyta, dlaczego zastępca dyrektora festiwalu w Salzburgu był taki wściekły na zięcia. Chyba nie myśli pan na serio, że „Wszystko dla Hugona” to było wszystko.

- Wie, że ukradł dyskietki.

- Ale chce pan wiedzieć, co było na tych dyskietkach. Mogę to panu powiedzieć.

- Wiem, co było na tych dyskietkach. Daty urodzenia i darmowe kosmetyki.

Teraz panna Schuh wybuchnęła takim śmiechem, jakby wszystkie diwy operowe, które kiedykolwiek śmiały się na tych deskach, zaśmiały się razem z głębi płuc starej panny.

Efekt był doprawdy teatralny Błękitne niebo, arkady skalne, a na deskach scenicznych panna Schuh w wystrzałowej bluzie jak pozwolenie na broń obok trupa śpiewała, że aż miło.

Wyśpiewała wszystko, co było na dyskietkach skradzionych teściowi przez Gottlieba, oprócz dat urodzeń i marek kremów do rąk. Wyśpiewała, że w dzisiejszych czasach żaden międzynarodowy festiwal nie może się obejść bez tych usług. Wyśpiewała, że bogatą publiczność można przyciągnąć tylko wielkimi gwiazdami. Że samymi pieniędzmi nie da się skusić żadnej wielkiej gwiazdy No bo jasne. Pieniądze oferuje także konkurencja w Baden-Baden.

Dlatego trzeba znać najskrytsze pragnienia gwiazdy Bo gwiazda mówi sobie, wolę pojechać tam, gdzie potrafią zaspokoić moje najskrytsze pragnienia. I dlatego właśnie te informacje, które zięć ukradł zastępcy dyrektora, były tak cenne.

I teraz najskrytsze pragnienia. Co to takiego? Panna Schuh odpowiadała sobie na stawiane przez siebie pytania w takim tempie, że żadna orkiestra symfoniczna świata nie

byłaby w stanie jej towarzyszyć. Najskrytsze pragnienia - śpiewała panna Schuh - zależą oczywiście od człowieka. Jeden lubi dobrze zjeść i trzeba mu sprowadzać samolotem najlepsze pasztety z wątróbki na śniadanie. Inny lubi wypić, jeszcze inny pali cygara. Panna Schuh sypała przykładami jak z rękawa.

Wreszcie przeszła do spraw najbardziej ludzkich, czyli szczytowanie. Jeśli dobrze znasz gwiazdę w zakresie najbardziej ludzkich potrzeb i masz dokładne notatki na ten temat, to jasna sprawa. Będzie przyjeżdżała co roku.

Brenner spojrział na swój zegarek kwarcowy. Nie żeby znów rozdzwonił się budzik. Po prostu się nudził. To całe przedstawienie nic mu nie dało i zrozumiał, że ta amatorska diwa chce tylko zyskać na czasie.

- Bez naszej pracy wszystkie gwiazdy już dawno uciekłyby do któregoś z tych nowobogackich festiwali, jak choćby Baden-Baden! - aż się zachłysnęła i jej dramatyczny sopran przeszedł w pisk, gdy spostrzegła, że Brenner patrzy na zegarek. - Na stadiony! Myśli pan, że chociaż jedna pofatygowałaby się jeszcze do Salzburga?

I dlatego zawsze mówię: słuch ważniejszy od głosu. Bo panna Schuh dobrze śpiewała, stawiała precyzyjne pytania i dawała precyzyjne odpowiedzi, wypowiadała się jasno i wyraźnie, już za samo to zasługiwała na pozwolenie na broń. I tak wszystko, co mówiła, było dla Hugona. Bo jak się rzekło. Sam pytasz - kłamiesz.

Ale Brenner miał teraz cudowny słuch. Okazało się to z korzyścią dla niego, że prefekt Fitz ostatecznie nie obciął mu wtedy ucha. Bo teraz jego matka stała na scenie i napelniała uszy Brennera śpiewem, tyle że Brenner się nie zachwycał. Bo ona śpiewała po to, żeby go przekonać, że ten jej Fitzgerald był tylko narzędziem. I choćby się nie wiem jak starała, Brenner słyszał każdy fałszywy ton.

Może powiesz, futbol stołowy to nie jest gra dla jednej osoby. I w zasadzie będziesz miał rację. A jednak było to zdecydowanie najprzyjemniejsze przeżycie Brennera tego dnia.

Bo natychmiast od panny Schuh poleciał na Mnisie Wzgórze obejrzyć sobie ten występ skalny. Może nawet miał cichą nadzieję, że spotka tam Fitzę, czytaj: złoczyńca płaczący na miejscu zbrodni. Ale nic z tego, a kiedy wrócił do Marianum, portier powiedział mu, że prefekt Fitz właśnie zszedł do piwnicy.

No i pytanie, czy prefekt jest w ciemni fotograficznej, czy w modelarni, czy w czytelnicy, czy w pokoju maluchów, a może w jednej z pracowni muzycznych, istniało tysiąc możliwości. I właśnie dlatego Brenner zatrzymał się przy stole futbolowym, chociaż to nie jest gra dla jednej osoby, bo Fitz w drodze powrotnej musiał tędy przejść.

Gdyby Brenner tego nie zrobił, to prawdopodobnie nigdy w życiu by się nie dowiedział, że futbol stołowy to najlepsza pomoc w myśleniu pod słońcem. No i tak sobie grał, a to strzelił bramkę, a to wyjął piłkę z podajnika i sobie rozmyślał.

No i sam czuł się dzisiaj jak taka figurka futbolowa. I Rene figurka, i ta dr Ogusake figurka, i Gottlieb figurka, i pożar lasu figurka, i wszyscy inni też tylko figurki, którymi grał prefekt Fitz.

Teraz Brenner oddał tak mocny strzał, że aż go nadgarstek zabolął. Grał niebieskimi, bo po tej stronie znajdował się podajnik na piłki, a bezpieczne czerwone figurki tkwiły nieruchomo. Jedynie wtedy, gdy wybita piłka potrafiła którąś z nich, obracała się bez sensu na pałku jak detektyw, który nie ma żadnego planu i porusza się od przypadku do przypadku, zdając się na chaotyczne impulsy myślowe.

Ale ciekawa sprawa! Już dwie godziny temu, opuszczając skalną karuzelę, powziął podejrzenie, że to prefekt Fitz zepchnął pożar lasu ze skały. Ale uzasadnienie dopiero teraz przyszło mu do głowy, podczas gry w futbol stołowy. Dlatego mówię futbol stołowy! Troszeczkę pomogła mu też inspekcja występu skalnego. Romantyczny zakątek z drewnianą

ławeczką, ale lepiej tego nie opowiadać, bo zaraz się wszyscy zlecą. Dopiero tam na górze Brenner zrozumiał, dlaczego samobójcy lądują zawsze w tym samym miejscu, że to wynika z logiki całego tego miejsca.

Ale dopiero zabawiając się futbolem stołowym, zrozumiał, skąd u niego ta pewność, że to Fitz zepchnął ze skały swoją asystentkę. Nie tylko dlatego, że wiedział o planowanym odejściu kobiety z agencji.

- Tutaj leżałam ja, a tutaj mój przyjaciel - powiedziała panna Schuh.

Znaczy pożar lasu wylądował dokładnie tam, gdzie wtedy przed laty leżała ona sama. Ale jeśli samobójcy lądują zawsze w tym samym miejscu, to powinna była zginąć panna Schuh, a nie John F Kennedy. Co by zresztą było o wiele rozsądniejsze, dodajmy na bazie dzisiejszego stanu wiedzy. Ale nie o to w tej chwili chodzi, chodzi o to, że pożar lasu skoczył o metr za daleko.

Uch! A to się Brenner goli nastrzelał, zanim sobie to wszystko tak pięknie ułożył, jak ja ci to teraz opowiadam.

No i tu się znowu pokazuje, jak ważne jest, żeby detektyw się wszystkiemu dobrze przysłuchiwał. Bo teraz ludzie mówią coraz szybciej i szybciej, a młodzi zaraz krzyczą: już wiem, już wiem! Muszę przyznać, że to rzeczywiście nie była najmocniejsza strona Brennera. Ale słuchanie tak. Ucho.

Więc prefekt Fitz sobie to całkiem sprytnie ułożył, że mu akurat ucho położył przy łóżku. Brenner znowu wybił piłeczkę, prowadząc ją bezmyślnie po boisku, od lewego obrońcy do prawego i z powrotem, do przodu do pomocnika i jeszcze raz do tyłu na linię własnej obrony. Ale nie zdawał sobie w ogóle sprawy z tego, co robi, tak był zajęty przesuwaniem w tę i z powrotem swoich myśli:

Jak to Marianum od niepamiętnych lat było finansowane z pieniędzy za handel dziewczycami dla gwiazd festiwalowych. Jak wreszcie stary dr phil. Guth złamał niepisane reguły, zatrzymując dla siebie piętnastoletnią Mary Ogusake, zamiast przekazać ją dalej. Jak musiał się zabierać z agencji, a panna Schuh jako odszkodowanie zaoferowała mu stary dom

w Pettingu, którego zastępca dyrektora i tak by nie sprzedał. Jak wyjechał do Bawarii i przyjął nazwisko żony: dr Ogusake.

A agencję przejął partner w pełni godny zaufania: syn panny Schuh.

I jeszcze raz wyjąć piłkę z podajnika i wybić na boisko. Bo dopóki piłka toczyła się pod stołem, myśli Brennera też się jakoś zataczały bez sensu.

Przez lata interes się kręcił bez zakłóceń, aż któregoś dnia Gottlieb z czystej pasji badawczej wyciągnął z archiwum kartę z adnotacją „Petting”. Tragiczna sprawa w gruncie rzeczy, bo ze spowiednikiem Schornem nie miało to nic wspólnego.

Brenner tak był pogrążony w rozmyślaniach, że przez pomyłkę wybił dwie piłki naraz.

Peng! Peng! Peng!

Dziwne, strzelił tylko dwa razy i dwukrotnie piłka z hukiem wpadła do bramki przeciwnika, ale rozległo się trzykrotne „peng”. Oczywiście, jak strzelisz dwa razy, a trzy razy zrobi peng!, to coś musi być nie w porządku. I pewnie właśnie dlatego odezwał się jakiś głos za jego plecami:

- Nie ruszaj się albo zginiesz.

Brenner znał ten głos, ale za żadną cenę nie mógł sobie przypomnieć, do kogo należy. Ten zapach, to mamrotanie też mu kogoś przypominały.

Peng!

Wypróbowana reguła, jak się przestraszyłeś, to znaczy, że jeszcze żyjesz, bo kuli, która cię zabija, już nie słyszysz. Mimo to było niebezpiecznie, nie ma co. Bo Brenner był po prostu o włos od zawału, jak bezdomny po raz drugi rozwalił torebkę po mleku. Przez wiele lat obserwował, jak to robią dzieciaki, a teraz chciał to osobiście wypróbować: wypijasz mleko, nadmuchujesz torebkę, bach! i czekasz, czy ktoś nie dostanie zawału. Wprawdzie do końca mu się nie udało, ale Brenner najadł się strachu.

A teraz bezdomny stał z naręczem toreb plastikowych i ze złośliwym uśmiechem gapił się na detektywa. Ale jego radość nie trwała długo. Niechętnie o tym opowiadam, jednak Brenner trzasnął go w papę i po sile uderzenia można było poznać, w jaki stres wprawiła go ta cała sytuacja.

Ale nie do wiary, policzek wymierzony włączędze wcale nie rozładował stresu, tylko go jeszcze pogłębił. Bo tamten zauważył spokojnie:

- Prefekt Fitz ma mocniejszą rękę.

No i okazało się, że przed chwilą prefekt Fitz wywalił go z natrysków, gdzie zajął legowisko powieszzonego prezentera pogody.

- Dam ci dobrą radę - powiedział Brenner. - Spadaj!

Ale gdyby bezdomny był człowiekiem, który pozwala sobą komenderować, toby był wybrał normalny zawód, gdzie przez cały dzień musisz czytać z czoła życzenia szefa cierpiącego na wrzody żołądka. Z drugiej strony trochę się bał Brennera. No a jak można odmówić wykonania rozkazu kogoś, kogo się boisz: musisz mu coś podarować.

- Możesz to zatrzymać - zawołał bezdomny, rzucając mu stertę reklamówek. - Same nowe.

I pognał schodami na górę tak chyżo, że Brenner nie mógł się nadziwić. A Brenner został z naręczem toreb plastikowych. A potem też ruszył biegiem. Ale nie pobiegł na górę, tylko do pomieszczeń natryskowych, nie wypuszczając z rąk reklamówek. Nie biegł wprawdzie tak szybko jak myśl, w każdym razie, jak to się mówi, na złamanie karku.

Za pierwszymi drzwiami, które otworzył, nie było natrysków, tylko zaniedbany warsztat ślusarski, następne drzwi prowadziły do pomieszczenia grzewczego, więc biegł dalej korytarzem i za każdym razem, kiedy mu się zdawało, że korytarz się kończy, okazywało się, że tylko skręca w lewo albo w prawo. I gdyby nie rury wodociągowe i centralnego ogrzewania, toby dał sobie głowę uciąć, że już dawno opuścił teren seminarium i znalazł się

w podziemiach w zupełnie innej części miasta.

Ale nie, bo wreszcie korytarz się skończył, a na końcu korytarza były białe drzwi. Kiedy Brenner je otworzył, przypomniał sobie wielkoprzemysłową rzeźnię, którą raz zwiedził z wycieczką szkolną, gdy był w szkole policyjnej. Tam też od podłogi do sufitu wszystko było wykafelkowane na biało. Tak samo i tu: podłoga biała, sufit biały, ściany białe, nawet rury od wody zimnej i ciepłej były zarzucone białym tynkiem, bo kiedyś taka była izolacja, zanim cały świat został owinięty folią aluminiową.

Ale jeszcze większe wrażenie zrobiło na nim to, co dochodziło do jego uszu. Bo tam był taki szum wody, jakby dziesięć klas naraz brało prysznic, niech się schowa Niagara. A prócz szumu wody absolutna cisza.

- Panie prefekcie? - zawołał Brenner.

Zdziwił się, że zobaczył tylko troje białych drzwi prowadzących do kabin. No bo nie do wiary, żeby w tej pięknie wykafelkowanej rzeźni trzy prysznice robiły tyle hałasu. A te wszystkie urządzenia techniczne wydały mu się też przesadne jak na trzy kabiny prysznicowe, bo technika przedwojenna wygląda imponująco: monstrualne rury wodociągowe, piękne cylindry szklane mieszczące wskaźniki ciśnienia i temperatury, dwa koła wielkości kierownicy w charakterze kurków, czerwone do wody ciepłej, zielone do zimnej, widocznie niebieskie zamarzło, więc przykręcili zielone. I taki blask od nich bił w tej nieskazitelnie białej przebieralni.

- Panie prefekcie?

Żadnego odgłosu poza szumem wody I dopiero jak prześliznął się przez wąskie, białe wykafelkowane przejście, ujrzał natryski w całej ich krasie: co najmniej czterdzieści, jeśli nie pięćdziesiąt kabin prysznicowych, jedna obok drugiej, wszystkie bez drzwi, nic tylko kafelki, kafelki, kafelki i strzępy plastikowych zasłon. Po lewej kabiny, po prawej kabiny, z przodu kabiny, z tyłu kabiny, korytarze biegnące we wszystkich kierunkach, a wszędzie kabiny prysznicowe i wyobraź sobie, że z wszystkich natrysków leciała woda. Żadnych kurków w kabinach nie było, więc widocznie jakiś prefekt od natrysków regulował te sprawy centralnie tymi dwoma kołami.

W korytarzykach pomiędzy kabinami można się było pogubić, całe szczęście, że nigdzie nie było luster, bo wtedy człowiek do końca życia by się nie wydobył z tego labiryntu. Chociaż - mówiąc symbolicznie - Gottlieb Meller rzeczywiście do końca życia się nie wydostał z tego lustrzanego gabinetu lekcji higieny. Ciekawe, że zacząłem filozofować, widocznie bezdomny był dla mnie za mało filozoficzny.

No i nie zapominajmy o duchach, bo nagle we wszystkich kabinach woda przestała lecieć, jakby jakiś niewidzialny duch pozakręcał kurki.

I jak Brenner wyszedł z tego labiryntu kabin, to jedne z trojga białych drzwi w przebieralni były tylko lekko przymknięte. Świeże plamy wody na podłodze prowadzące od armatury do drzwi kabiny oraz odgłosy dochodzące z kabiny świadczyły o tym, że ktoś się tam ubierał.

- Pochwalony - powiedział prefekt Fitz, wychodząc z zaparowanej kabiny.

Ubrany był w elegancki czarny garnitur, mokre włosy były zupełnie przyklepnięte, tak że Brenner ledwie go poznał.

- Tutaj nie można uruchamiać pryszniców pojedynczo - wyjaśnił prefekt. - Wszystkie albo żaden. Oczywiście to marnotrawstwo. Ale czasem mam potrzebę, żeby wziąć prysznic właśnie tutaj.

- Wszystkie albo żaden - powtórzył Brenner. - To tak jak w futbolu stołowym, gdzie można poruszać tylko wszystkimi figurkami na pałaku naraz.

Prefekt skinął głową i spytał, wskazując na plastikowe torby:

- Pan też się zastanawia, co ci bezdomni noszą w tych wszystkich reklamówkach?

- Jak to się stało, że pański garnitur nie jest ani trochę mokry? - spytał Brenner.

Bo rozmawiali trochę obok siebie, jak to jest, kiedy się wie: zaraz przejdziemy do

poważnych spraw, więc jeszcze przez chwilę pokluczmy dookoła tematu.

Prefekt otworzył drzwi i pokazał wnętrze kabiny, w tylnej ścianie umieszczone były wąskie białe drzwi prowadzące do garderoby.

- Nie wolno się pokazywać nago poza kabiną.

Brenner zdziwił się, po co w takim razie w korytarzu stała drewniana ławeczka jak na pływalniach, usiadł na niej, jakby czekając na rozwój wypadków.

Postawił między nogami wypchaną reklamówkę i sięgnął do środka.

- Kolejna reklamówka - powiedział rozczarowany do prefekta.

- Dawno już zrobili plajtę - zauważył prefekt, wskazując na reklamówkę, którą Brenner trzymał w ręce.

Na reklamówce pysznił się wesoły napis „Prosto z Konsumu”, Konsum oczywiście zbankrutował przed laty, ale jego reklamówki nadal były w cenie.

Z reklamówki Konsumu Brenner wyjął reklamówkę firmy Spar, w której znów nie było nic prócz reklamówki firmy Humanic.

- Wiele lat temu znałem ekspedientkę ze sklepu obuwniczego firmy Humanic w Grazu
- zwierzył się Brenner.

Chciał choć jeszcze trochę odsunąć chwilę, kiedy będzie musiał porozmawiać z prefektem o tej drugiej sprawie.

- No i przymierzając buty, mówię do niej: To pani jest tą dziewczyną z reklamy Humanica.

Prefekt uśmiechnął się.

- Musiała się ucieszyć.

- O mało mnie nie udusiła. Bo każda inna reklama jest z pięknymi dziewczynami, a reklama Humanica z „naturalnymi”.

- To można od razu powiedzieć do kobiety: wyglądasz, jakbyś uciekła z domu wariatów.

- Otóż to. No i o to mi właśnie chodziło. Bo komplementami u pięknych kobiet nic nie wskórasz, za bardzo są do tego przyzwyczajone. A ta sprzedawczyni była superklasa. Trzy tygodnie z nią chodziłem, a później nigdy więcej jej nie spotkałem. Ale za każdym razem, jak widzę reklamę Humanica, to mi się przypomina.

W reklamówce Humanica nie było nic więcej prócz tego wspomnienia. I kolejnej reklamówki - pończochy Palmersa, a w niej reklamówka C&A i tak dalej, i tak dalej.

Te torby wyciągane z innych toreb musiały jakoś wprawić Brennera w nastrój medytacji. W ogóle przestał się spieszyć i nabrał głębokiego przekonania, że z prefektem Fitzem teraz już wszystko pójdzie gładko.

- Wie pan, jaki robię zawsze błąd w myśleniu? - spytał. - Kiedy człowiek rozmyśla, to jest tak, jakby zaglądał do reklamówki. Otwiera ją w nadziei, że w środku coś znajdzie, a tam jest tylko kolejna reklamówka, a jak otworzy tę drugą, w środku jeszcze jedna reklamówka i tak bez końca.

- Myśleniem człowiek daleko nie zajdzie - kiwnął głową prefekt Fitz, ale jego mokre antenki na głowie ani drgnęły.

- A mimo to warto myśleć - poprawił go Brenner. - Bo rozwiązanie znajduje się na wierzchu reklamówki.

Kodak

Billa

Lego

Bank Austria

- Zastanawiam się, po co bank produkuje własne reklamówki - mruzczał Brenner, wyciągając z reklamówki Banku Austria reklamówkę Billi. - Czy teraz ludzie odbierają z banku swoje miliony w reklamówkach?

- Prawdopodobnie dla bandytów napadających na bank - uśmiechnął się prefekt.

Perfumeria Elke

H&M

Libro

ORF

- Ale telewizja też ma swoje reklamówki. A jej produktów też się nie nosi do domu w torbach plastikowych. Więc dlaczego bank nie miałby mieć reklamówek? Mogłoby się wydawać, że bezdomni noszą w reklamówkach rzeczy, od których zależy ich życie, drugą parę butów albo wódkę, albo ciepły płaszcz na zimę. Ale nie wyobrażałem sobie czegoś takiego.

Budowlaniec

Ubrania Bauer

Interstar

- Co pan przez to rozumie, że rozwiązanie znajduje się na wierzchu reklamówki?

- Chodzi mi o to, że po fakcie człowiek dochodzi do wniosku, że szukał nie tam, gdzie

trzeba. Szuka tajemnic, a sprawa jest jawna. Najważniejsze rzeczy nie są ukryte głęboko, tak jak rzeczy w reklamówce, tylko są jasne jak na dłoni.

- A co jest napisane na pańskich reklamówkach?

- Petting.

Prefekt tylko lekko zmarszczył czoło i powiedział cicho:

- Ten idiota.

- Gottlieb denerwował pana tą historią z Schornem. Ale z tego powodu by go pan nie zabił. I tak by nikt niczego nie potrafił dowieść. A poza tym przecież wszyscy wiedzą, że każdy ksiądz... - Brenner nie dokończył, tylko spytał prefekta: - Zna pan ten dowcip, jak ministrant nadstawia księdzu drugi policzek?

- Przecież to ja panu opowiadałem.

- A, prawda. No właśnie o to mi chodzi. Z powodu takiej historii, o której pan sam dowcipy opowiada, nie zamordowałby pan Gottlieba. Co pana obchodzi prałat Schorn? Tylko dlatego, że napisał pan dla niego parę kazań. W najgorszym razie ktoś inny zostałby awansowany.

- Mianowany.

- Co?

- Mianowany, nie awansowany.

- Ale wtedy Gottlieb wygrzebał ten dokument na temat Mary Ogusake.

- Ten pomyleniec - powiedział prefekt, ocierając wodę na karku, by nie spłynęła mu pod koszulę.

- Zaczął coś podejrzewać i udał się do doktora Pradera. Ale nie chciał rozmawiać z nim, tylko zasięgnąć informacji od filipińskiego ambasadora. Na nieszczęście pożar lasu natychmiast panu wszystko wyklepał.

- Kto?

- Kobieta, którą pan dzisiaj zepchnął ze skały.

- Pożar lasu - uśmiechnął się prefekt.

- Po tym, jak się pan dowiedział na party, że chce się wycofać z interesu.

Prefekt z mokrymi włosami znów otarł kark z wody.

- Tylko że pan ją trochę za mocno popchnął. Dlatego spadła nie na tym miejscu, co trzeba. Spadła na miejscu pańskiej matki zamiast na miejscu pańskiego ojca.

- Wylądowała na miejscu mojej matki?

Brenner miał wrażenie, że była to pierwsza rzecz, która wyprowadziła z równowagi prefekta od wuefu.

- Gdyby ten idiota nie wpadł na ten Petting.

- Gottlieb nie miał pojęcia, że poruszył gniazdo os. A kiedy pan znalazł w piwnicy martwego bezdomnego, uświadomił pan sobie, że nigdy więcej nie będzie pan miał tak świetnej okazji, żeby się pozbyć tego ciekawskiego pyszałka.

- To był jakiś znak, że pani Prader poinformowała mnie akurat tego dnia, kiedy znalazłem powieszzonego.

- Ale Gottlieba sam pan musiał zwabić na dół.

Nie wiem, czy Brennerowi się tylko zdawało, czy rzeczywiście prefekt się uśmiechał,

mówiąc:

- Zadzwoiłem do niego i spytałem, czy nie chciałby jeszcze raz obejrzeć natrysków, bo może mu to pomoże sobie wszystko przypomnieć.

- Nie powinien pan być tylko używać tych białych toreb z kuchni. One nie mają napisów. Takich reklamówek bezdomni nie używają.

- Nie mają napisów? I to mnie zdradziło?

- Ale zaświtało mi dopiero wtedy, kiedy sobie przypomniałem, że panna Schuh była tak wielką wielbicieleką prezydenta Johna Fitzgeralda Kennedyego.

- Panna! - obruszył się prefekt. - Mówi pan o matce.

- Pańska matka zadbała o to, żeby pan został dyrektorem agencji, kiedy pański poprzednik zrobił sobie tyły.

- Podesbrał nam akurat tę dziewczynę, która była zarezerwowana dla najsłynniejszego w tamtych czasach tenora. To był pierwszy, którego tylko dziewczycami można było zwabić do Salzburga. Dzisiaj to prawie reguła. Gdyby nie te usługi, szybko inne miasto miałyby najsłynniejszy festiwal operowy.

- Dlatego to był taki kłopot, że Gottlieb ukradł dane.

- Dane były tak zaszyfrowane, że i tak nikt by nie mógłby z nich skorzystać. Niebezpiecznie zrobiło się dopiero wtedy, gdy pan znalazł tę Mary Ogusake.

- To Rene ją znalazł.

Prefekt się uśmiechnął.

- Osilek! Musiałem poczekać, aż pójdzie po zakupy.

- Ale nie poprzestał pan na zabiciu Mary. Dlaczego ją pan tak urządził?

Prefekt tylko lekko potrząsnął głową.

- Gottlieba pan chociaż elegancko zapakował.

- Miałem nadzieję, że znajdą go dopiero po zakończeniu roku szkolnego. Chodziło mi o dzieci.

Bo oczywiście miłość do dzieci zawsze na pierwszym miejscu, więc nawet w tym trudnym momencie prefekt od wufu pozostał sobą. A Brenner nie pytał już dalej, dlaczego tak urządził Mary. Wolał nie znać prawdy. Wyciągnął jeszcze kilka reklamówek, bo mu się wydawało, że na samym dnie jednak jest jakiś przedmiot.

- Pokusa - zdecydował się odpowiedzieć prefekt. - To jest hydra, jeśli się jej obetnie głowę, wyrosną zaraz dwie na jej miejsce.

- Pan musi to wiedzieć najlepiej. Jako sutener odnosił pan ogromne sukcesy.

- Sutener! - prychnął pogardliwie prefekt. - A jak pan myśli, z czego mieliśmy to wszystko finansować? Park, lasek brzozowy, boiska do piłki nożnej i lekkiej atletyki, kryta pływalnia, hala sportowa. Wszystko to nabyliśmy w ciągu ostatnich kilku lat w najdroższej dzielnicy Salzburga. Sama tylko kaplica na poddaszu pochłonęła pięcioletnie dochody netto naszej agencji. Myśli pan, że to można opłacić ze składek rencistek?

- Chciał pan coś zrobić dla przyszłych księży, skoro panu nie udało się zostać księdzem.

- Mój najstarszy syn ma dwanaście lat. I ma powołanie.

- A tych dziewcząt nie było panu szkoda?

- To jest właśnie najgorsze - powiedział prefekt. - Im to sprawiało przyjemność.

Gdyby twardy przedmiot na dnie ostatniej reklamówki okazał się pistoletem, Brenner na pewno zastrzeliłby prefekta w tym momencie. Ale to nie był pistolet. Im więcej reklamówek wyciągał, tym bardziej miękki robił się środek. A na koniec okazało się, że była to tylko ostatnia reklamówka złożona ciasno w kostkę, tak że wydawało się, że to jakiś twardy przedmiot.

- Dlaczego właściwie przebierał się pan tam w środku, skoro miał pan tu tyle miejsca? Musiał się pan w tym celu wrócić - pokazał mokre plamy między armaturą a kabiną - po odkręceniu wody.

- Siła przyzwyczajenia. Garderoby są tylko w tych trzech kabinach dla prefektów. W kabinach dla chłopców dawniej wisiały gumowe worki, w których trzymali odzież w czasie kąpieli. Było źle widziane, aby chłopcy pokazywali się nago.

- Pokusa - kiwnął głową Brenner.

- Nawiasem mówiąc, w środku jest jeszcze coś - wskazał na drzwiczki do garderoby prefekt. - To może panu wiele wyjaśnić.

Brenner wszedł do wciąż jeszcze zaparowanej kabiny i otworzył wąskie drzwi prowadzące do garderoby. I teraz po pustej reklamówce doznał kolejnego rozczarowania. Bo garderoba była też pusta. Ale tak to już w życiu bywa. Czasem tak czegoś wypatrujesz, że nie zauważasz, że za twoimi plecami dzieją się interesujące rzeczy. I teraz Brenner za późno się zorientował, że prefekt zamknął drzwi do kabiny.

Najpierw przemknęło mu przez myśl pytanie, dlaczego właściwie kabiny zamyka się od zewnątrz. Ale już słyszał, jak prefekt kręci kołem armatury. Po chwili usłyszał szum wody, zaraz potem poczuł ją na własnym ciele, a za moment pomyślał sobie, że prefekt musiał odkręcić tylko czerwone koło, a o zielonym całkiem zapomniał.

A jak się zrobiło jeszcze cieplej, to Brenner pomyślał, cieplej już nie może być. Jak pamiętasz, Brenner za wysoki nie był, kobietom podobała się jego kwadratowa grubo ciosana głowa, blizny po ospie, głębokie na centymetr pionowe bruzdy w policzkach, śmiesznie niebieskie oczy, a jak która koniecznie poszukiwała silnego ramienia, to Brenner miał dwa na

podorędziu. Ale z wysokiego wzrostu nigdy nie sływał i dlatego wolał nie brać zbyt gorącej kąpieli i do końca nie szczeznąć.

Nie uwierzyłbyś, ale zanim poczuł na własnej skórze, że woda osiągnęła punkt wrzenia, najpierw to usłyszał. Bo ukrop tak szalał w starych rurach, że Brennerowi aż żal było tych rur. Współczuł też kafelkom i białym drzwiom kabiny prysznicowej, kiedy wrzątek pryskał na nie z jego ciała.

O Brennerze można wiele złego powiedzieć, ale na pewno nie należał do ludzi przesadnie litujących się nad sobą. A tymczasem z powodu ciasnoty w kabinie nie było ucieczki przed cudowną szeroką strugą życiodajnej wody, a sitko prysznicowe u góry kabiny stanowiło przykład solidnej przedwojennej roboty, więc mowy nie było o jego zniszczeniu. Jak już Brenner stracił czucie w pokrytych bąblami dłoniach, to wreszcie to zrozumiał.

No i teraz mimo wszystko poczuł litość dla swoich stóp, więc zaczął podskakiwać jak ten Amerykanin w tych starych filmach, co to mu te buty tak klapały o podłogę.

A potem poczuł litość dla swoich zbyt szerokich pleców, bo choćby nie wiem jak mocno przyciskał się brzuchem do ściany, to plecy i tak się gotowały, że aż Brenner wył z tej litości. I po raz pierwszy w życiu zapragnął być niższy chociaż o połowę, bo wtedy może by się jakoś wcisnął w tę śmiesznie małą wnękę garderobianą.

A jak się człowiek zaczyna nad sobą litować, to musi się zdecydować, czy ma sobie odpuścić plecy i chronić przód, czy dać sobie spokój z przodem i chronić plecy, czy może powinno się równomiernie rozłożyć obciążenia. Narazając się na to, że na łożu śmierci usłyszysz się od lekarza: gdyby pan miał oparzenia skóry tylko w 70%, to miałby pan jeszcze jakąś szansę.

Jak widzisz, litowanie się nad sobą doprowadziło Brennera do melancholijnych myśli. I z tej litości zaczął wreszcie obracać się w kółko w kabinie, jakby postanowił wystawić na działanie wrzątku możliwie jak najwięcej ciała, żeby możliwie jak najszybciej dostąpić wybawienia.

I możesz mi wierzyć albo nie. Ale w następnej chwili doznał objawienia maryjnego.

13

- Co za stary dureń! - zakląło objawienie. - Żeby się dać zamknąć w kabinie temu pomyłonemu! Czegoś takiego jeszcze nie widziałem!

Objawienie klęło i sapało jak, nie przymierzając, rozochocony piwosz wiodący prym w kompanii. I nawet trochę pachniało alkoholem. Ale Brennerowi to nie przeszkadzało, najważniejsze, że strumień wrzątku przestał lecieć. I muszę powiedzieć, że było to dla niego takie przeżycie, że pewnie jeszcze jako wiekowy staruszek będzie wspominał to ze wzruszeniem.

A najbardziej fascynowało go, że to objawienie przemawia takim grubym głosem.

- Ale głupi ma szczęście.

Złorzecząc, objawienie podrygiwało i podskakiwało śmiesznie, jak nadludzkich rozmiarów biceps dźwigający coś ciężkiego i drgający z napięcia.

- Mało brakowało, a byłby pan zdechł tam w środku - wściekało się objawienie.

A właściwie nie było to objawienie maryjne. To było raczej objawienie Marysi.

- Marysia - szepnął Brenner.

No bo dokładnie to wyobrażone było na drgającym z wysiłku muskule tuż pod jego lewym okiem. To jasne, ociekającego wodą, na pół przytomnego Brennera nie wyciągniesz przecież z kabiny prysznicowej bez wysiłku.

- Wydawało mi się, że jesteśmy już na ty - powiedział Brenner.

Wiadoma rzecz, ludzie, którzy byli już jedną nogą na tamtym świecie, wracając do życia, mówią coś najzwyczajszego w świecie.

- Stary durniu - odpowiedział Rene - jak mogłeś się dać zwabić do kabiny temu pomyłonemu?

Rene posadził na ławce rozmiękczonego Brennera w ociekającym wodą ubraniu i wskazał na mężczyznę leżącego na podłodze. To musiał być prefekt Fitz, chociaż teoretycznie rzecz biorąc, nie był widoczny w stu procentach.

- On nie jest taki znowu pomyłony - odparł Brenner, jakby to był najlepszy czas, żeby zastanawiać się nad psychologią przestępcy. - Jak myślisz, z czego została sfinansowana budowa kaplicy w seminarium? Lasek brzozowy? Boiska? W dzisiejszych czasach nie wystarczą na to datki wiernych, kiedy ludzie masowo występują z Kościoła. Czy ty na przykład płacisz podatek kościelny?

Ubranie Brennera wciąż parowało i właściwie lepiej byłoby zrobić, gdyby je zdjął. Po pierwsze przeziębienie zawsze niebezpieczne, kiedy się zgrzejesz, a potem zmokniesz, po drugie oczywiście oparzenia, wiesz, jak go potem piekielnie bolało, bo włókna tak się stopiły ze skórą, że miał trudności ze ściąganiem ubrania.

Ale na razie w ogóle nic nie czuł. Rozpraszał go mężczyzna leżący na podłodze. Który sfinansował lasek brzozowy i szklaną kopułę w seminarium i boiska. Prawdopodobieństwo, że był to prefekt Fitz, graniczyło z pewnością. Chodzi o to, że Brenner go nie widział bezpośrednio, bo ten mężczyzna miał na głowie białą torbę plastikową. Właśnie tę białą bez napisów, którą Brenner wyciągnął z przedostatniej reklamówki.

- Dla mnie to pomyłony. Szkoda, że nie widziałeś, jak urządził Mary Ogusake. Wskoczyłem na pół godzinki po zakupy, a jak wróciłem...

- Widziałem to.

Brenner wskazał na mężczyznę, który wciąż miał jeszcze białą reklamówkę na głowie. Mógłby ją sobie sam zdjąć, gdyby go Rene przezornie nie przywiązał żółtą reklamówką Billi

do przedwojennej armatury.

- Widzisz, że się zupełnie nie znasz na reklamówkach - powiedział detektyw. - Bo inaczej nie założyłbyś mu tej białej. Białe są nic niewarte, szybko pękają. Dlatego wiedziałem, że Gottlieba nie mógł zapakować bezdomny.

- To ten tam zrobił - w tej chwili Renemu wydawało się jeszcze, że może powiedzieć Brennerowi coś, czego tamten nie wie.

- Białe reklamówki są nic niewarte - wyjaśnił jeszcze raz Brenner.

- Na to wystarczą - wskazał leżącego na podłodze mężczyznę Rene.

I muszę powiedzieć, że reklamówka spełniła swoją rolę. Właśnie dlatego było to tak dobrze widać, że była kiepskiej jakości i zawartość przeświecała na niebiesko.

- Ten człowiek przez wiele lat opylał filipińskie dziewczęta gwiazdom festiwalowym - powiedział Rene.

To mówiąc, przyglądał się, jak biała reklamówka na głowie prefekta Fitza coraz bardziej zabarwia się na niebiesko, nie tak jak reklamówka firmy Ubrania Bauer, ale w każdym razie nie była już śnieżnobiała, lecz z sekundy na sekundę nabierała coraz wyraźniejszego niebieskiego odcienia.

Rene myślał, że zaimponuje Brennerowi tym, co mu opowiedziała Mary Ogusake. No i oczywiście wielkie rozczarowanie, że Brenner już wszystko wie.

- Jego matka jest sekretarką festiwalu salzburskiego - powiedział Brenner. - Razem rozdzielali dziewice.

Rene nie okazał zaskoczenia, żeby nie sprawiać przyjemności Brennerowi.

- A dzisiaj zepchnął ze skały żonę twojego opiekuna prawnego.

- Przynajmniej już nikogo nie zdradzi.

- Na deskach sceny, gdzie spadła, wyglądała jakoś tak nieprawdziwie.

- Koniec pożaru lasu - powiedział Rene, niby: raport straży pożarnej.

- Ona od początku była w to zamieszana. Za darmo nawet Kościół nie daje nikomu willi na Mnisim Wzgórzu.

- A mnie zamykają za to, że przez tydzień zabawiałem się z piętnastoletnią córką dyrektora więzienia.

- Nie miała jeszcze piętnastu lat - wtrącił Brenner małodusznie.

- A ci przez tyle lat opylali dziewice i nie ponieśli kary.

- Prefekt nie za bardzo wygląda na człowieka, który nie poniósł kary.

Tu Brenner wskazał na reklamówkę coraz mocniej zabarwiającą się na niebiesko. Wyglądało to teraz tak, jakby w białej reklamówce była granatowa reklamówka firmy Bauer albo, kto ma jeszcze niebieskie reklamówki, widziałem już niebieskie telefonii ONE albo Levi's-Jeans. Jeans tak, tu niebieski pasuje, ale do ludzkiej głowy niebieska reklamówka w zasadzie nie za bardzo.

- Może powinienes mu jednak odpiąć guzik - powiedział Brenner.

Przekręcił się na ławce, a jego spodnie zapiszczały mniej więcej tak, jakbyś szedł po bagnach, to tak piszczy.

Ale Rene nie zareagował. Nie wykonał najmniej - szego ruchu, tylko powiedział:

- Wskoczyłem tylko na pół godziny po zakupy, a jak wróciłem, salon wyglądał jak...

- Widziałem to - powiedział Brenner.

- A ty mówisz, że on nie jest pomyłony.

- Myślę, że on nienawidził kobiet.

Rene nagle wpadł w złość, że Brenner wyraził to tak oględnie. Ale na obronę Brennera muszę powiedzieć, że woda wciąż kapała z niego jak ze zmokniętego psa i po prostu nie miał już siły się oburzać. Podczas gdy Rene, który przez wiele dni ukrywał się w piwnicy, był teraz na pełnych obrotach. Najpierw obezwładnił Fitza i wsadził mu reklamówkę na głowę, potem uratował Brennera, a teraz opanowała go wściekłość, że Brenner broni takiego potwora.

- Może powinieneś mu jednak odpiąć guzik - powiedział Brenner. - Torba zrobiła się całkiem niebieska.

- Sam mu go rozepnij - odparował Rene.

Ale Brenner nie zareagował.

- Skąd się wziąłeś na dole? - spytał spokojnie.

- Ukrywam się tu od kilku dni. O mało nie umarłem z głodu.

Brenner się tym nie przejął. Było mu teraz tak zimno, jakby się wykąpał w lodowatej wodzie. Z jego ubrania padał prawdziwy deszcz, kiedy poczęły nim wstrząsać dreszcze.

- Ten drań byłby cię upiekł w tej kabinie.

- Upiekł i utopił jednocześnie - powiedział Brenner. - A ludzie się spierają, która śmierć jest gorsza.

Spróbował wstać. Ale tyśkilowe ubranie formalnie przykleiło się do ławki.

- Obawiam się, że sąd uznałby to za samosąd, jeśli mu nie odepniemy guzika.

- A ja mam zwolnienie warunkowe. Pięć latek za samosąd chętnie odsiedzę, ale tych trzech miesięcy warunkowego zwolnienia byłoby mi szkoda.

- No to bym mu teraz szybko odpiął guzik.

Ale Rene nie ruszył się z miejsca.

- Z drugiej strony myślę o jego żonie - zastanawiał się Brenner. - Ona już i tak nie widzi świata spoza prania.

- Jak wyszła za takiego typa.

- Zmajstrował jej piątkę dzieci, a w dodatku wini ją za to, że nie został księdzem.

- Dla niej byłoby lepiej, gdybyśmy mu nie odpięli guzika.

Brenner wzruszył ramionami.

- Jak trafi na dziesięć lat za kratki, nadal będzie się dla niego poświęcała, a w dodatku nie dostanie ani grosza. A jako wdowa dostanie porządną rentę.

- Masz na myśli, że moglibyśmy to przedstawić jako przypadek obrony koniecznej? - zinterpretował po swojemu uwagę Brennera Rene.

- Obrona konieczna przy użyciu torby plastikowej to brzmi mało wiarygodnie.

- Więc może chociaż przekroczenie granic obrony koniecznej.

- Przekroczenie granic obrony koniecznej - zastanawiał się Brenner. - To by od biedy mogło ująć. Jak weźmiesz dobrego adwokata.

- Znasz takiego?

- Adwokata zawsze znajdziemy.

- Ale ja nie mam ubezpieczenia od kosztów ochrony prawnej.

- To niedobrze. Każdy powinien mieć ubezpieczenie od kosztów ochrony prawnej.

Zawsze powtarzam, ludzie dyskutują i dyskutują, i nie zauważają nawet, jak świat wokół nich się zmienia. Bo reklamówka na głowie prefekta Fitza była już tak czy owak zupełnie granatowa, niech się schowają Ubrania Bauer! Więc prawdopodobnie teraz i tak nic by już nie pomogło, nawet gdyby mu tę reklamówkę zdjęli, czyli cała dyskusja psu na budę.

- No to odepnę mu guzik - powiedział Rene, podchodząc do prefekta Fitza.

- Właściwie miałem na myśli inny guzik - mruknął Brenner.

Ale był to słaby protest. No bo Rene odpiął prefektowi nie guzik reklamówki, tylko guzik od spodni.

- Rozepnę mu jeszcze zamek błyskawiczny.

Brenner skinął głową.

- W takim razie musisz mu też rozwiązać ręce.

- Co ty nie powiesz.

- I przyjrzyj się dobrze, czy nie ma śladów na przegubach.

- Żadnych śladów, przywiązałem go dopiero wtedy, jak się przestał bronić.

- A ja się tymczasem gotowałem?

- Co znaczy gotowałem? Przecież zakręciłem gorącą wodę, a odkręciłem zimną.

- Myślałem, że mi się tylko wydaje, że woda się nagle zrobiła lodowato zimna.

- Jajka po ugotowaniu też trzeba zahartować zimną wodą - roześmiał się Rene.

- Bardzo śmieszne.

Na to wspomnienie Brennerem znowu wstrząsnęły dreszcze i nowy deszcz z ubrania opadł na podłogę.

Rene wsunął uwolnione ręce zmarłego w slipy.

- Nie wiem, ale ostatnio stało się to modne - westchnął. - Żeby mieć więcej przyjemności podczas samogwałtu, ludzie wieszają się równocześnie albo nasadzają sobie na głowę plastikową torbę. Mój sąsiad w celi nawet umarł z tego powodu, bo nie był dość szybki.

- Czytałem w gazecie, że w Anglii to jest bardzo popularne.

- Prawie już nie mają posłów w parlamencie, bo się masturbują z plastikowymi torbami na głowie.

- U nas też już się to zaczyna.

- Czy ty to rozumiesz? Tobie by to coś dało?

Brenner tylko potrząsnął głową.

- Trzeba było spytać prefekta Fitzę, dlaczego to robi. Co mu się w tym tak podoba, że ryzykuje życie dla odrobiny samozaspokojenia.

- Tak, trzeba go było spytać.

- Ale teraz już jest za późno.

- Niestety tak. Trzeba się było wcześniej nad tym zastanowić. Najczęściej dowiadujemy się o takich upodobaniach człowieka dopiero wtedy, kiedy jest już za późno.

Brenner skinął głową.

- Pójdę teraz na górę i zawiadomię rektora. Niech to załatwią po cichu, żeby się nie dostało do prasy. Ucierpiałaby na tym renoma Marianum, że prefekt seminarium robi coś takiego.

- A co ja mam robić?

- Najlepiej będzie, jak znikniesz jeszcze na parę dni. Aż się wszystko wyjaśni.

- Chcesz to sam rozegrać?

- Pogadam sobie z rektorem przy piwku. Zaproponuję mu, żebyśmy wspólnie przedstawili sprawę jako samobójstwo. Że prefekt zrozpaczony swoimi uczynkami sam się osądził. Żeby ta nieapetyczna sprawa z masturbacją nie dostała się do prasy.

Ale zanim udał się do rektora, naciągnął na siebie suche ubranie.

O tej plastikowej torbie Brenner oczywiście nie powiedział aptekarce. Opowiedział jej wszystko dokładnie tak samo, jak on i rektor przedstawili to policji.

- I po Gottliebie, i dr Ogusake, i pożarze lasu jeszcze i siebie?...

- Tak, zabił - skinął głową Brenner.

Gdyby go trochę lepiej znała, to jego pewna i jednoznaczna odpowiedź wydałaby jej się podejrzana. Ale tak naprawdę poznała go dopiero kilka godzin temu. Dlatego rozumiem, że Brenner nie powiedział jej całej prawdy, jak to on i Rene świadomie pomogli pani Fitz i jej pięciorgu dzieciom dostać solidną wdowią rentę. O czymś takim lepiej nie opowiadać na prawo i lewo mimo całej miłości.

Chociaż to jeszcze nie była miłość w tym sensie. Tylko dlatego, że Brenner leżał w łóżku z aptekarką. Musiał nawet uważać, żeby nie usnąć. No bo przez całą noc pertraktacje najpierw z rektorem, potem z policją. A o piątej nad ranem jeszcze mu zaproponowali, że go zawiozą do szpitala, żeby tam obejrzeli jego oparzenia. Musiał się przed tym bronić, że niby to porażenie słoneczne nie jest jeszcze takie najgorsze, po prostu zasnął pod nocną lampką matki przełożonej.

Ale o spaniu oczywiście nie mogło być mowy. Kompletnie się wybił ze snu. Poza tym nie miał zaty-zek do uszu, bo woskowe ucho naturalnie zabrała policja jako dowód rzeczowy. A wiedział, że za godzinę w Marianum pierwszy dzwonek.

A poza tym przyszła mu do głowy znajoma aptekarka. Jeśli ma nocną zmianę, rano będzie szła do domu, a jeśli ma dzienną zmianę, rano przyjdzie do pracy - tak sobie to Brenner wykombinował. A jeśli ma wolne, to mam pecha.

Ale nie miał pecha. Miał szczęście! Bo rzeczywiście miała nocny dyżur, a wiadomo, nocny dyżur, bez przerwy cię budzą, to rano człowiek jest w nie najlepszej kondycji, no i wtedy psychika łaknie dobrego słowa. No i Brenner powiedział aptekarce dobre słowo.

Kwadrans przed normalnym otwarciem apteki zadzwonił do znajomego okienka. Zaspana podeszła do okienka i spytała, czego żąda.

- Środka na uspokojenie.

- Środka na uspokojenie? Skoro świt?

- Valium albo coś takiego.

- Na to potrzebujemy recepty.

- My?

- My! - powiedziała z odrobiną surowości w głosie. - Pan potrzebuje recepty, żeby otrzymać valium, a ja potrzebuję recepty, żebym je panu mogła wydać. Bez recepty mogę panu sprzedać herbatkę uspokajającą albo na przykład krople walerianowe.

- To nie pomoże, potrzebuję czegoś silniejszego.

Oczy jej odrobinę pociemniały, chyba w tej chwili ten klient za okienkiem nie budził jeszcze w niej zbytnej sympatii.

- Na co panu mocniejszy środek?

- Czeka mnie ciężkie zadanie.

- I nie da pan sobie rady bez valium?

- Może być coś innego.

- Powiedziałabym, że wygląda pan na człowieka, który sobie poradzi bez wsparcia medycznego.

- Bez wsparcia medycznego?

Skinęła poważnie głową. Ale nie rozgniewała się, że Brenner ją trochę przedrzeźnia. Nie zapominaj, że w aptece na nocnym dyżurze podchodzą do okienka najokropniejsze typy, pijacy, narkomani, prostytutki, cierpiący na depresję, aktorzy, wszystko. Więc ten pan z dziwnymi bruzdami na policzkach był właściwie promykiem światła.

- I tak ma pan już problemy z żołądkiem.

Bo aptekarki uwielbiają stawiać diagnozy.

- Nie, nie, mój żołądek jest w porządku. A te bruzdy w policzkach to tylko po to, żebym mógł mieć zawsze przy sobie dwie zapasowe brzytwy.

- To bardzo roztropne. Przynajmniej nie musi pan przychodzić do nocnej apteki po brzytwy.

- Ale za to po środek uspokajający.

- Po co panu środek uspokajający?

- Obawiam się kompromitacji.

- Ale co tam. Obiecuję panu, że nie będzie żadnej kompromitacji.

- Obiecuje mi pani? Mogę się na panią powołać?

- Bardzo proszę - powiedziała z uśmiechem i zamknęła okienko.

Po prostu cieszyła się, że za pięć minut kończy dyżur.

Jak trzy minuty po ósmej wyszła z apteki, to Brenner stał przed drzwiami i mówi:

- Pójdzie pani ze mną na śniadanie?

Odwróciła się na pięcie i wsiadła do samochodu.

- A co z tą pańską ciężką próbą? - spytała przez ramię.

- To była właśnie ta próba - odparł Brenner. - Myślałem, że bez środka uspokajającego nie odważę się pani o to zapytać.

Tylko nie myśl sobie czasem, że dzięki takim głupim gadkom możesz wylądować w łóżku jakiejś aptekarki. Po prostu dopiero w tym momencie odkryła przepiękne oparzenia Brennera. Oczy jej zabłyśły radośnie, żebyś wiedział.

Ale z drugiej strony nie była to też chyba czysto medyczna sprawa, skoro trzy godziny później położyła go do własnego łóżka. No bo w przeciwnym razie dlaczego ona też by leżała nago obok niego? To tak jak wtedy ze spowiednikiem Schornem, który też się rozebrał. Dzięki Bogu, bo w cywilnym ubraniu nie podobała się Brennerowi tak bardzo jak w fartuchu aptekarskim. Może ze względu na służbę w policji miał jednak jakąś nienaturalną skłonność do mundurów.

A aptekarka naturalnie podniecona okropną historią morderstw, jaką jej Brenner przez całe przedpołudnie opowiadał. Zwykle nie chwalił się swoimi przypadkami, ale tym razem odczuwał chyba potrzebę zrzucenia z siebie ciężaru, prawdopodobnie jednak było to nadmierne obciążenie, bo to z zamordowaniem sprawcy nie było jednak tak całkiem w porządku.

Wcale nie było tak łatwo zrzucić z siebie brzemię, bo ta młoda dama się co chwila wymądrzała. Na przykład uparła się, że ta marmurowa tablica na moście to wcale nie prognoza pogody. Tylko że to podobno jakiś jej kolega po fachu napisał, salzburski aptekarz uzdolniony poetycko, i tak się zapała, że Brenner dał spokój.

- Ale skąd ten cały prefekt Fitz w ogóle wiedział, że Gottlieb znalazł tę kartkę w kartotece, na której było napisane „Mary robi petting”? - przeskoczyła do następnego punktu rozgorączkowana aptekarka.

- Mary robi petting! - roześmiał się Brenner.

- Ha, ha, ha!

- Gottlieb poszedł do swojego terapeuty na Mnisim Wzgórzu. Tylko że nie chodziło mu o terapię. Chodziło o tego filipińskiego ambasadora, który mieszka w willi doktora Pradera. Ale rozmowę słyszeli wszyscy, w tym żona doktora.

- Pożar lasu - drwiąco przewróciła oczami aptekarka.

Bo ona sama miała długie kasztanowate włosy, też niezłe, ale nie podobało jej się, że Brenner z takim entuzjazmem opowiadał o pożarze lasu.

- Otóż to. No i ona oczywiście natychmiast nakablowała Fitzowi. A ten przestał się patyczkować z Gottliebem, bo nadarzyła się idealna okazja. A jak na dodatek Rene ukradł jej klucze od agencji, to Fitz oczywiście od razu się połapał, że trafiliśmy na trop Mary Ogusake w Pettingu.

- Petting, wiesz, o czym mi to przypomina?

- Że musisz sobie jutro kupić nowy numer „Bravo”.

- Otóż to! - roześmiała się aptekarka.

Miała śnieżnobiałe zęby, tak przepięknie białe jak jej kitel aptekarski, a jej apetyczna skóra przez kontrast lśniła jeszcze bardziej intensywnym brązowym blaskiem, w tej sytuacji każdy normalny człowiek natychmiast poczułby ochotę na petting.

A teraz dlaczego Brenner nie wpadł na ten pomysł? Zresztą „nie wpadł na pomysł” to za mało powiedziane. Oddałby wszystko, żeby tylko nie wejść w kontakt cielesny z tą królową piękności.

Jak mówię, że jej skóra lśniła apetycznie brązowym blaskiem, to muszę dodać, że Brenner też lśnił. A mianowicie tak, jakby zdarto z niego skórę i gołe mięso świeciło.

Aptekarka przyglądała mu się fachowym okiem, ale Brenner się wzbraniał, bo oczywiście męska duma nienaruszona, tylko skóra naruszona, nie chciał odgrywać roli jej pacjenta. Ale aptekarka oczywiście napalona na diagnozę i nie dała się zbyć.

- Łydki: oparzenie pierwszego stopnia - po raz kolejny weszła w rolę lekarki. - Uda: oparzenia pierwszego stopnia, podeszwy: oparzenia drugiego stopnia, brzuch: oparzenia pierwszego stopnia, plecy: oparzenia pierwszego stopnia, ramiona: oparzenia drugiego stopnia.

- Idź ty, przestań - bronił się Brenner, bo chciała go koniecznie posmarować, a Brenner nienawidził, jak się go smarowało. - Nie jest tak źle.

- Co to znaczy przestań? Silne oparzenie słoneczne podpada pod oparzenia drugiego i trzeciego stopnia.

- No właśnie. Od tego się zaraz nie umiera.

- Tylko później.

Aptekarka smarowała go tak fachowo, że o mały włos byłby wpadł na pomysł pettingu. Ale już najdrobniejszy ruch w pościeli sprawiał mu ból.

- Uszy: oparzenie trzeciego stopnia.

- Idź ty, przestań.

- Pupa: oparzenia pierwszego do drugiego stopnia.

- A idź ty!

- Penis...

- Idź, przestań! Jak ty się wyrażasz.

- Penis! - roześmiała się.

- Przestań, to brzmi tak medycznie. Wy zawsze z tą waszą łaciną.

- No to jak mam mówić?

- Skąd mogę wiedzieć?

- A jak ty mówisz? Fallus?

- Idź!

- Członek? Męski narząd płciowy?

- Przestań.

- Marchewka? Wał? Pała?

- Wystarczy. Wierzę ci na słowo.

- Siusiak? Drąg? Stojak?

- Tego wszystkiego nauczyłaś się z „Bravo”?

- Fujara? Ogór? Pyta?

Nie do wiary, ta dziewczyna był o połowę młodsza od Brennera, uduchowiona twarz, a wyrazy znała takie, że Brennerowi aż się w głowie kręciło.

- Ptaszek? Pint? Cock? Dick?

- Co?

- To po angielsku, jak ci łacina nie pasuje.

- Po angielsku też umiesz?

- Oczywiście - zaśmiała się. - Prick, Pecker, Dr Feelgood.

Brenner zamknął oczy i jęknął z cicha.

- Już się zamykam! - uśmiechnęła się. - Ale skoro nie mogę cię zaatakować, muszę uzyskać werbalne zadośćuczynienie.

Ale Brenner nie otwierał oczu, tylko cicho pojękiwał.

- Tak cię boli?

Brenner się nie odzywał. Przestał nawet jęczeć. Tylko gwizdał coś przez zęby.

- Co to za melodia?

- Powiedz to jeszcze raz - szepnął.

- Co to za melodia?

- Nie, to drugie.

- Tak cię boli?

- Nie, to drugie! - zdenerwował się Brenner.

Teraz oczywiście czoło zmarszczone, nie do wiary, że taka gładka brzoskwiniowa skóra może się w ogóle tak marszczyć, a wszystko po to, żeby zasignalizować temu obcemu mężczyźnie: nie będziesz ze mną rozmawiał tym tonem.

Ale Brenner zaraz złagodniał:

- To drugie.

- Co? Wszystkie określenia jeszcze raz?

- To po angielsku.

- Cock, dick, prick.

- Dalej.

- Jeszcze coś mówiłam?

- Tak, do diabła! - wybuchnął znowu Brenner.

- Pecker.

- Nie.

- Dr Feelgood.

- O właśnie! - westchnął z ulgą Brenner - Dr Feelgood. Czy to jest rzeczywiście określenie na...

- Oczywiście, chyba pasuje?

Zamiast odpowiedzi Brenner opowiedział jej historię. Z czasów, gdy aptekarki w ogóle jeszcze nie było na świecie. Szkoła policyjna. On i Irrsieglar mieli fuchę na jakimś koncercie rockowym jako ochroniarze. I ten angielski zespół nazywał się właśnie Dr Feelgood.

To był superkoncert, a po koncercie skoczyli jeszcze z muzykami na piwko. A właściwie „piwko” to niezbyt dokładne określenie. Bo ten ich solista, niby ten Dr Feelgood, miał taki spust, że Brenner wcale nie był zdziwiony, jak któregoś dnia zobaczył w gazecie jego nekrolog. Z drugiej strony Irrsieglar umarł dużo wcześniej.

- Oni wtedy właśnie grali tę piosenkę - powiedział Brenner.

- Którą przed chwilą gwizdałeś?

- I'm crazy about girls, I'm crazy about women. Świetna piosenka. Powtórzyli to na bis.

- To właśnie ta melodia? O której mi mówiłeś, że w tekście nie było wskazówek?

- Dr Feelgood - powiedział Brenner. - To właśnie była ta wskazówka.

- Dr phil. Guth - przesyłabizowała aptekarka, jakby odczytywała niewyraźnie napisaną receptę. - Szkoda, że wcześniej na to nie wpadłeś?

Brenner nic na to nie odrzekł.

- I co teraz będzie z tą agencją matrymonialną?

- Nie wiem. Ktoś będzie nią dalej kierował. Może doktor Prader, żeby mógł zostać w swoim domu.

- Przecież mówiłeś, że on nie miał nic wspólnego z handlem dziewczycami.

- Bo nie miał. Mógłby z tego zrobić normalne biuro matrymonialne. Trzeba wierzyć w dobro.

- Myślisz, że jego żona nadal by żyła, gdybyś się posłuchał Dr. Feelgooda?

- Trudno powiedzieć.

- I Mary Ogusake?

- Po fakcie człowiek zawsze jest mądrzejszy.

Brenner odpowiadał monosylabami. Nie przestawał gwizdać melodii, którą jego mózg pamiętał przez tyle lat.

- A co będzie z panną Schuh?

- Za stręczycielstwo niewiele dostanie. Adwokat zwali całą winę na jej syna.

- A Schorn?

- Zostanie biskupem.

- Wiesz co? - nie dawała mu spokoju aptekarka. - Połowa chorób, na które ludzie kupują u nas lekarstwa, bierze się z nadmiaru higieny.

- Mhm - mruknął Brenner, zasypiając.

- I wiesz co? To typowe, że ta okropna historia z Schornem zaczęła się od natrysków. „Lekcja higieny”.

- Hieny - mruczał Brenner. - W dzieciństwie zawsze myliłem higienę z hieną.

Troszkę sobie ubarwił życie dzieciństwem wdowy po Gottlieb.

- Higiena i hiena! - wykrzyknęła z entuzjazmem aptekarka. - Wiesz co? Byłeś cudownym dzieckiem!

- Jasne.

- Nadmiar higieny to dla ciała rzeczywiście hiena - oświadczyła. - Przede wszystkim dla skóry A sądząc po twoim dziewiczym seminarium - także dla duszy.

- Jak się zamknie oczy, to można by pomyśleć, że jesteś bezdomną.

- Co proszę? Tak śmierdzą?

- Tak filozofujesz.

- Uważaj - ostrzegła go aptekarka - jak będziesz niegrzeczny, urządzę ci zaraz lekcję higieny.

- Lekcję higieny - mruzczał Brenner z zamkniętymi oczami.

Aptekarka nareszcie ucichła. Nie żeby zapanowała groźna cisza. Ale choćby się ktoś nie wiem jak ostrożnie pochylał nad tobą, choćby cię nawet nie dotknął, i tak czujesz, że coś wisi w powietrzu.

To brzmiało tak, jakby prefekt z zajęczą wargą zapomniał wymówić „g” - doszedł go nagle jej głos z zupełnie innego kierunku, tak jakby była raczej nad nim niż obok niego. Brenner bezbłędnie wychwycił tę zmianę, bo jak masz zamknięte oczy, to inne zmysły zaraz się wyostrajają, zapachy, szelesty, wszystko. Ale wciąż jeszcze nic nie czuł i nie otwierał oczu.

- Zajęcza warga jest z przodu - powiedział z zamkniętymi oczami. - A „g” nie wymawia się wargami, tylko języczkiem na końcu podniebienia.

- Co ty nie powiesz.

- Ale siostra mojego dziadka nie miała języczka i rzeczywiście nie wymawiała „g”.

- Głuptas!

- Dokładnie, tego wyrazu właśnie nie potrafiła wymówić.

Wciąż jeszcze go nie dotykała. Mimo to czuł ją od koniuszków palców u nóg aż po głowę, tak jakby aptekarka zamieniła się w rodzaj gęsiej skórki na jego ciele. Ale nadal z żelazną konsekwencją nie otwierał oczu.

- Jak nie będziesz uważał, to zaraz tobie odgryzę języczek - ostrzegła aptekarka z

odległości mniej więcej zero centymetrów.

- Głuptas - uśmiechnął się Brenner, nie otwierając oczu.

A potem aptekarka nic już nie mówiła.

A potem się na niego rzuciła. Jak całe stado hien.